

Ž Y D

~~~~~  
*Przedruk wzbroniony.*  
~~~~~

B. BOLESŁAWITA

(J. I. KRASZEWSKI)

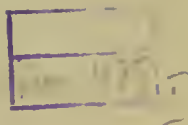
ŻYD

OBRAZY NA TLE WYPADKOW 1863 ROKU

All is true

TOM PIERWSZY

WARSZAWA
DRUKSIYŃÓW ST. NIEMIRY
Plac w arecki 4



1895 L C

„Wszakże też, gdy byli w ziemi nieprzyjacielskiej, nie do końcam ich odrzucił, anim ich tak wzgardził żeby wyniszczeni byli i żebych zrzucił przy mierze moje z nimi. Jam bowiem jest Pan Bóg ich.“

Księgi III Mojżeszowe.

Leviticus roz. XXVI 44.

Po wszystkich świata gościach pełno dziś błakających się wędrowców... idą, lecą, śpieszą, pędzą, a tak im pilno po za sobą zostawić kątek rodzinny, troskę domową, wspomnienia życia i groby jeszcze nieporośnięte zielenią; tak im pilno nie widzieć twarzy swoich, a przyglądać się obcym; tak im potrzeba utonąć w tłumach nieznanych, ginąć we wrzawie bezimiennej ciżby — jakby się siebie wstydzili, jakby o sobie samych zapomnieć chcieli.

Dawniej, dom, strzechę ukochaną, opuszczano ze łzami, z niepokojem: dziś ją rzucamy z radością. Znikło owe ciche, spokojne, szczęśliwe życie rodzinne stało się wyjątkowem zjawiskiem, prawie śmiesznością, zakopaniem... wszyscy uciekamy od ciszy, aby hałasem zagłuszyć wewnętrzny ból, znużenie, niepokoje i tęsknice.

I być nie może inaczej: cała społeczność cierpi, rzuca się, miota: jest to chwila niepokoju, poprzedzająca śmierć, a raczej nową życia formę.

Ale pośród tłumy wygnańców z dobrej woli — iluż wygnanych z musu! wlokących się, choć ich tęsknica ciągnie nazad, do zamkniętego, opustoszałego, lub w gruzach leżącego domu, do rozwalonej

przeszłości. Ci, znęcani, szukają napróżno kąta, przytułku, ręki przyjaznej, wejrzenia braterskiego, słowa bratniego... wszyscy i wszystko ich od siebie odpycha.

Dla tych, co biegną z uśmiechem, drzwi każde stoją otworem, pokłon uniżony, służebny, czeka ich w progu...

Od pierwszych odwracają się dłonie i twarze, świat się ich lęka: wydziedziczeni, wygnani, bez-ojczyźniacy, rzekłbyś, że dotknięcie ich parzy, że oddech zaraża: pustkę sięją dokoła — ludzie się rozstępują, bo obawia się każdy, aby mu ten biedak odarty i nagi, potrzebujący wszystkiego, nie wydychał jego powietrza, nie zjadł jego chleba, nie wydarł zarobku.

I gnają ich różgą pogardy, szyderstwa, dalej a dalej... w stepy i pustynie...

Oddawna świat takiego niepokoju i zamętu nie doświadczał: narody podobne są do porozbijanych mrowisk, z których tysiące drobnych istotek rozlatują się przerażone. Tęsknota, ciekawość, nieokreślone żądze, nienasycona ciekawość, pragnienie nauki, głód grosza, znudzenie sobą, rozpędzają na wsze strony.

Zyska zapewne na tem ostatecznie ludzkość, ale tymczasem jednostki, zamiast zbliżać się do siebie, żyć się z sobą oduczają: pękają węzły, co ich gromadkami trzymały powiązanych, nawykają wszyscy uważać się za gości jednodniowych, zastygają serca, obojętnieją stosunki. Podróż życia, i tak już krótką, jeszcze sobie tą włóczęgą skracamy.

Niema nic dziwnego, że w takim stanie ducha—na głównych gościńcach Europy, trafiają się nieraz najdziwniejsze, najniespodziewańsze spotkania. Tam, gdzie tłumy przepływają bez ustanku, fala przynosić musi często rozbitków z różnych świata krańców, skorupy z głębin wyrzucone burzą, złomy koralów i strupieszale polipy, i dyszące rybki, i zielone alg gałęzie.

Jednego skwarne go popołudnia poczynającej się jesieni 1860 roku, najślawniejsze, a raczej jedyne: *Albergo e trattoria della Grotta* w Sestri Ponente pod Genuą, na drodze wiodącej do Savony,— oberża, utrzymywana przez szanownego Gaëtano Firpo, który jest zarazem restauratorem klubu przy Teatro Carlo Felice w Genui, napełniła się liczbą gości, w dni powszednie nadzwyczajną.

W niedzielę nie byłoby to wcale dziwnem, bo naówczas Trattoria della Grotta rachuje na zwykłych swych gości genueńskich, ale we czwartek niespodzianka ta, wcale miła, rozjaśniła rumiane i opalone lica gospodarza.

Sestri Ponente leży pod Genuą, o niespełna godzinę drogi nad samem morzem (*in vicinanza del mare*, opiewają prospekta pana Firpo), na sławnym gościńcu, wiodącym do Savony i Nizzy, w dosyć wdzięcznem położeniu. Genova la Superba, której na niczem nie zbywa, nawet na zielonych drzewkach wśród przepysznych jej murów, nie ma tylko jednej rzeczy... Oblanej morzem, braknie jej mor-

skich kąpielii. Port ma doskonały, ale to, co tu kąpielami zowią, szkaradne. Kto się chce koniecznie wykapać w morzu, najmuje łódkę, wyjeżdża nieco z brudów portowych; tam przywiązują mu sznur do pasa, z łódki spuszczaają wschodki i biedak, siedząc na śliskich ich stopniach, musi się w wodzie pluskać ostrożnie, ale z tą pociechą wewnętrzną, że jeźliby się wschodki lub nogi ośliznęły, pocciwy przewoźnik, jak rybkę wędką, za sznurby go z głębiny wyciągnął. Jeżeli się ten sposób nie podobą, można się jeszcze kąpać w brudnej wodzie portu, siedząc na śliskich skałach, lub naostatek w marmurowej wannie na Piazza Sarzana.

Więc też ci, co do drogiego, modnego Livorno, lub do prześlicznej Spezyi pojechać nie mogą, wyruszają do ubogiego Sestri, albo innej małej jakiejś miejsciny pod Genuą i tam biorą kąpiele, na mniej więcej kamienistem wybrzeżu. Rozumie się, że bogatsi, którym równie chodzi o wygodę, jak o towarzystwo i o sławę miejsca, przez nich zaszczyconego pobytem, szukają sobie innych, wymyślniejszych kąpielii, przyjaźniejszego piasku i arystokratyczniejszej fali. Sestri służy oszczędnym, cichym, którzy więcej morza niż ludzi potrzebują, więcej spokoju i rozrywki.

Oprócz tego Sestri ma znaczne bardzo warstaty do budowy mniejszych statków kupieckich, i to podobno głównie żywi je i bogaci. Okolica smętna jest, ale poważna i piękna, dokoła wstają wzgórza linii surowych i klasycznych Poussinowskich profilów, strojne w winnice, gaje, ogrody,

wille, niegdyś wspaniałe, a dziś puste, jak większa ich część we Włoszech, klasztory i kościołki. Z pięknie wykrawanego bizenu, widok sięga w jedną stronę ku Genui, w drugą daleko, aż ku Savonie. wzgórza sine giną we mglistych morza wyziewach... Na prost nie nie postrzegasz, tylko niezmierzoną przestrzeń lazuruwej i zieleniejącej fali.

Niedaleko od wybrzeża stoi, dosyć wykwintnie wyglądające z dala, *Albergo della Grotta*. Niema najmniejszej wątpliwości, że piękny ten pałacyk nie był na gospodę zbudowany; jest to willa jakiegoś możnego pana, później sprzedana i przerobiona na dom zajezdny.

Podwórzec pełen laurów, granatów, pomarańcz... wschody, wiodące na górne piętro, przystojne; wszędzie ślady fantazyi pańskiej i zbytku, na których gruzach usiadł dziś spekulujący restaurator, nie poszanowawszy pańskiego dworca... Zmieniły się warunki życia, wszędzie z gmachami dawnymi tak się też dzieje, nie tylko we Włoszech: nie odpowiadają one wymaganiom i potrzebom dzisiejszej społeczności, więc niejeden pałac przerobiono na browar, niejedną willę na gospodę, a rozkoszny ogród na plantację burakową... Ocalały tylko te, które nabyli ludzie nowego mienia i imienia... Gdzie w opuszczonej skorupkę zdechłego magnata wlał paszyt bankier... lśni się jeszcze i porusza stara muszla arystokratyczna, ożywiona istotą nową.

Główną ozdobą tej willi, jak jej nazwanie samo zwiastuje, była naturalnie grotta, która dziś dała imię gospodzie; jest w istocie osobiwą i bardzo

kunsztownie zbudowaną: przypomina ona stare rzymskie czasy i zbytki, przepych, ucztę i dziwactwa wymyślne Rzymian za cesarstwa, którzy chowali ostrzygi w sadzawkach na dachach i kochali się w przewyciężaniu natury... aż do szaleństwa... Grota jest na małą skalę takim snem wśród białego dnia... podziemiem na powierzchni ziemi, niespodzianką.

Jest to ogromny salon, całe tej willi skrzydło zajmujący, przerobiony, z pomocą trochę gipsu, farby i konceptu, na ludzącą w istocie i jakby naturalną pieczarę, stalagmitami okrytą. Wchodząc do niej, na pierwszy rzut oka można się sądzić w podziemiu i wiele osób z początku bierze ją za igraszkę natury, wykończoną i przyozdobioną przez sztukę. Ściany, zasklepienie, wszystko się wydaje jakby z jednej opoki, z kamienia. Głęb' tajemniczą, ciemną, poprzerywaną labiryntami, oświeconemi z góry, zajmuje umyślnie wpuszczona sadzawka i cicho szmerzący wodotrysk. Jest to coś w istocie uroczo pięknego, dziwnego, niezwykłego, w początkach czyniącego silne wrażenie, ale powoli, gdy się rozpatrzy gość, gdy oczy się oswoją, chłód owionie, ów urok pierwszy rozwiewa się i znika.

Dziś, niestety... jest to starą dekoracją pokryta, prosta, prozaiczna izba restauratora... Stoją w niej rzędami, usługujące i potulne, stoliczki i krzeselka dla gości: nawet w najciemniejszym, tajemniczym zakątku groty, nad skalami otoczoną sadzawką—postawiono stół, gwarzą, śmieją się, piją,

porozbierawszy z sukni, odpoczywają genueńczycy -- przejezdni woźnice, zażywający wczasu, lub na przemiany, jaka rodzina angielska, która po chwili ustępuje miejsca prostym parobczakom od warstotów. Bo w sali tej najzupełniejsza równość stanów, w obliczu makaronu i wina. Gospodarz z równą zabieглиwością posługuje lordowi i furmanom: kto wie nawet, czy dla drugich nie jest więcej uprzedzającym, i słusznie, bo lordowie rzadko dwa razy jednym przejeżdżają gościńcem, a woźnice, jak febra, wracają, jeśli nie codziennie, to przynajmniej przez dzień.

Kuchnia trattoryi nie jest ani gorszą, ani lepszą nad inne włoskie; wino dają znośne dla niezepsutych podniebień, chłód tu panuje miły, a gdyby jeszcze gazu nie było czuć przykro, który grocie wieczorami oświeca, możnaby ten kąć nazwać bardzo przyjemnem schronieniem.

Przez okienko, ukryte w skałach, z jednej strony zaglądają, cisnąc się, gałęzie granatów i liście drzew pomarańczowych, w chwilach ciszy słysząc szum niedalekiego morza, które z dachu płaskiego grotu widać doskonale: a w powszednie dni, gdy tłumy niema i szkaradnej muzyki ani wizerunku balu, bardzo przyjemną chwilę spędzić tu można. Sestri jest zresztą cichą miściną, którą tylko niekiedy ożywiają przejezdni, a kolej żelazna nieco, godzinami, gwarliwszą czyni. Mało się tu osób zatrzymuje, bo z dala widać już białą latarnię morską u portu genueńskiego; każdy spieszy do Superby. Najczęściej goszczą w Sestri ci, co zwie-

dzają okolice. słynne ogrody willi Palavicini, niedaleko miasteczka położone, lub pragnący spocząć na ustroni i nie obawiający się *brodo* pana Firpo...

Jednego tedy popołudnia skwarne, Albergo było nadzwyczaj przepełnione: z Genui nadjechała para niebiesko malowanych dyliżansów, kilka dorozek: jacyś podróżni przybyli od Nizzy – wszystko to odpoczywało w grocie. Zgłodniali wędrowcy powysiadali do restauracyi, a gospodarz i słudzy, naturalnie, zaprowadzili ich zaraz do tego salonu, będącego chlubą ich i dumą, jakiemu równego przynajmniej na kilkadziesiąt mil wokoło niema.

Większa część stoliczków była zajęta. obsadzona najróżnorodniejszymi przybylcami, dosyć rozpierchniętymi i zdającymi się z nieufnością wzajemną na siebie poglądać.

Przy jednym siedział średniego wzrostu, piękny mężczyzna, w sile i pełni lat, z twarzą wyrazistą, jakby włoskiego charakteru, w której się przecież cudzoziemski, wschodni typ, baczniej przypatrzwszy się, przypominał.

Czoło miał wyniosłe, pogodne, choć na niem wczesnie troska, czy praca, niejedną fałd narysowała; wejrzenie jasne, śmiałe, jakby o ukojeniu walk wewnętrznych świadczące, rysy wogóle piękne, uderzające wyrazem i energią. Znawca fizjognomij ludzkich, człowiek z uczuciem, wejrzawszy raz na to oblicze, musiał mu się baczniej i z zajęciem przypatrywać, coś ku niemu pociągało. Ubranie jego podróżne, bez wykwintności, ale smakowne a wygodne, dawało się domyślać, jeśli nie za-

możności, to przynajmniej przyzwoitej mierności i dostatku, starczącego potrzebom. Skromny posiłek stał przed nim, resztki malej przekąski, proste wino, owoców trochę i sera.

Przy tym, zapomnianym nieco, deserze, Gorgonzoli, figach, gruszkach i winie, dumal, powoli zabierając się do zapalenia cygara, które od dawna już machinalnie w rękę obracał.

Przy drugim stoliku obok, liczniejsze skupiło się gronko, któremu królowała piękna pani, brunetka, nie pierwszej już młodości, ale świeża, żywa, z różowymi ustami—ponętna bardzo, a nadzwyczaj śmiała. Po obu stronach tej królowej, siedziało dwóch mężczyzn. Jeden barczysty, słuszny, już szpakowacielający brunet, który zdawał się być jej mężem, a mógł być tylko statecznym przyjacielem... drugi wysmukły chłopak, blondynek, nieśmiały jak dziewczeczka na pozór, rumieniący się co chwila, w którym krew grała jeszcze żywo, to go oblewając falą rumianą, to uciekając do serca za najmnieszem słówkiem, głębiej dotykającym, zostawiając po sobie świeże, przejrzyste lice, puszkciem ledwie wiosennym okryte.

Trójka ta jadła obiad, dosyć wesołą ożywioną rozmową, rozglądając się po cudownej grocie, bawiąc tą niezwykłą fizyognomią sali jadalnej.

W przeciwnej stronie, nad butelką wina, podparty, zamyślony, z ręką w długich, czarnych włosach, rozrzuconych w nieładzie, dumal mężczyzna palący cygaro z brwią nachmurzoną, nawisłą, niemłody już, złamany życiem, jak się zdawało, zobo-

jętniały cały w sobie, choć widocznie szukał po za sobą rozrywki i łaknął roztargnienia. W jego twarzy i wejrzeniu było coś mimowolnie ściągającego uwagę, drażniącego, jak zagadka. Wyglądał jakby nieuropejskiego plemienia potomek, ciemnej płci, prawie czarny, opalony, ust nieco szerokich, niskiego, kwadratowego czoła: miał w rysach coś egipskiego sfinksa. Twarz była jakby z bazaltu wyrzeźbiona, ale życiem złagodniała i zmiękła. Wszakże w głębi fałdów tej maski dziwacznej, kryły się resztki ugaszonych, a niegdyś gwałtownych namiętności. Teraz to morze zburzone spało już cicho, kołysane wieczornym wiatru powiewem.

Jeszcze dalej siedzieli dwaj Włosi; poznać ich było łatwo naprzód po zrzuconych poufale sukniach, mimo, że w gronie były kobiety, i po wyrazistych twarzach, oliwkowej cerze, oczach pełnych ognia, naostatek po kruczych włosach, obficie spływających na ramiona. Jeden z nich, młodszy, miał wąsy i bródkę *à la Victor Emmanuel*, postrzyżone krócej pukle i wyglądał wojskowo; drugi otylszy, starszy, podobniejszym był do artysty. Wesołe oblicza obu świadczyły, że im nie dokuczała tęsknota, że byli u siebie w domu, na własnej ziemi, oddychali powietrzem, do którego piersi ich nawykły.

Za nimi znowu, o parę stolików dalej, siedział sam jeden mężczyzna blady, o włosach jasnych, wyraźnie potomek wielkiej germańskiej rodziny, spokojny na pozór, nie zważający na nic, ale widocznie też wychłostany biczem losu. Ubrany był dosyć ubogo, dość zaniedbanie; przed nim stała

flaszka białego wina, trochę chleba i sera kawałek. Patrzył na grootę obojętnie, na ludzi zimno, zdawało się, jakoby po za nim. za poręczą krzesła, stało widmo nadchodzącego jutra, na które obejrzyć się lękał.

Cicho było w podziemiu... rozmowa półgłosem toczyła się tylko przy tym stole, za którym siedziała kobieta; reszta towarzystwa spoczywała, poglądając ku sobie z daleka; szczęknięty czasem butelki i szklanki wina, to znowu przewiała cisza grobowa.

Wtem wszedł do groty jeszcze jeden gość, nie przez wielkie, paradne drzwi, wiodące do niej od środka domu, ale przez mniejsze drzwiczki od dziedzińca. Wszystkich oczy zwróciły się na niego. On także z podziwieniem, z przestrachem prawie, powlókł wejrzeniem po osobliwszem owem podziemiu sztucznem, które na każdym nowoprzybyłym czyni zrazu przejmujące wrażenie.

Był to chłopak młody, blady, widocznie przywlókł się pieszo, bo cały okryty był pyłem włoskiego gościńca, który czarną zarówno i białą odzież na szarą przemienia; na twarzy jego znój podróży, zmieszany z prochem, dziwne pokreślił rysunki, jakby indyjskie, wzorzyste wyklucia. Pomimo tej szpetnej maski, mimo wybladłego oblicza, był pięknym i miał w sobie ten urok, którym pociąga boleść wewnętrzna ku sobie tych ludzi, co ludźmi być nie przestali. Jasnowłosy, wybladły, osłabiony w ustach miał wiele słodyczy, w oczach omdłych

wyraz uczucia prawie niewieściego i domysleć się było łatwo, że przecierpiał wiele, prawie nad siły...

Strój jego ubogi, mały tłumoczek w rękę i laska podróżna. świadczyły, że z potrzeby więcej niż dla przyjemności, długą podróż odbył pieszo.

Wchodząc, oczyma począł nieśmiało szukać ustronnego kąta, a widząc pozajmowane dokoła stoliczki, poszedł w głąb powoli. i po za Niemcem znalazłszy miejsce, z cicha przypadł na krzesło. Ledwie zdjął kapelusz słomkowy, otarł czoło i chciał podeprzeć na stole, gdy nagle pobladł, twarz jego przybrała dziwny wyraz cierpienia, chwycił się konwulsyjnie za stół, jakby usiłując przytrzymać, ale mimo to pochylił się w tył i upadł zemdłony.

Krzesło pochylone obaliło się z nim razem na podłogę, szczęściem jeszcze jakimś nie rozbił sobie głowy o sterczące naśladowanie stalagmitów i z wolna zsunął na ziemię.

Wszyscy podróżni — należy im oddać tę sprawiedliwość, kobieta najpierwsza prawie — rzucili się do biednego młodzieńca, który leżał bez zmysłów, trupa okryty bladością, ale z wyrazem tego spokoju, który śmierć i omdlenie na każdą prawie twarz wkładają, aby nie przerażała żywego świata.

Najprzytomniejszą ze wszystkich okazała się kobieta, choć wcale na siostrę miłosierdzia nie wyglądająca: ale w sercu każdej niewiasty kryje się matka i siostra. Pochwyciła wodę ze stołu, zmoczyła serwetę i przyłożyła ją do skroni młodego chłopaka, który z westchnieniem głębokiem oczy otworzył i przychodząc do przytomności powoli,

wstydzic się zdawał swego, nieco kobiecego, wypadku. Ze spuszczoną głową oparł się na łokciu, oglądając bojaźliwie dokoła, a usta jego belkotały przeproszenia niewyraźne, podziękowania i poplątane wyrazy skłopotanego, zasromanego wyrostka, który świata i ludzi się lęka.

Jakkołwick krótko trwało omdlenie. już i gospodarz miał czas dowiedzieć się o wypadku; a że mu on groził niemiłemi następstwami, nie przez litość wcale, ze strachu tylko o siebie, o formalności, jakie śmierć spowodować mogła, przybiegł wylekły, zabierając się może nawet wypędzić chorego z groty, aby sobie gdzieindziej miejsca szukał (nie wyglądał bowiem zamożnie...) gdy otwarcie oczów uspokoiło go i wstrzymało wystąpienie.

Charakterystycznem było wszakże zjawienie się tej postaci groźnej, niosącej, trybem wickowi właściwym, zamiast litości braterskiej, niemiłosierny wyrok wygnania ubogiemu i choremu... dlatego, że śmiał być chorym, będąc ubogim...

Pierwsze dziś uczucie, jakiego człowiek doznaje na widok drugiego człowieka, to uczucie nieufności i obawy o siebie samego... Społeczność tak się urządziła, że jej nad wszelkie obowiązki idealne miłszy jest spokój, więc precz z biedakami, co by go zamącić mogli... a jeszcze nieopłaconem skonaniem i dalej pogrzebem o cudzym koszcie!!

Zawstydził się nieco gospodarz, widząc gości krzątających się około nieznanego; ale w duszy sobie przyrzekł, że tego, mdlejącego tak łatwo, mło-

dzienca, bez tłumoków i pewnie bez pieniędzy, pod żadnym pozorem na noc nie przyjmie... Genua pod bokiem, w Genui są szpitale — niech sobie rusza, niech co najrychlej się wynosi. Gdyby był wiedział jeszcze, co omdlenie spowodowało!

Przyzwoitość kazała mu na chwilę ustąpić — tymczasem przytomni krzatali się około przybysza, mówiono po włosku i francusku, usiłując się zrozumieć i połączyć: podróżni, zupełnie sobie nieznani przed chwilą, krzatali się wszyscy jak starzy znajomi; zbliżyło ich ku sobie pocziwe, ludzkie uczucie miłosierdzia, kobieta z żywym zajęciem, białemi, pulchnemi rączkami, opatrywała głowę, z której skroni nieco krwi ściekało; inni szeptali między sobą, snąc usiłując odgadnąć przyczynę wypadku.

— To nic, to nic — począł coraz wyraźniej mówić, z przymuszonym uśmiechem omdlały — najmocniej przepraszam, dziękuję... ale to gorąco, zmęczenie...

— Bardzo być może, iż omdlenie pochodziło z głodu — szeptali po cichu mężczyźni — uważajcie tylko, jak na twarzy wynędzniały i zmęczony... Z mowy i fizyognomii znać dziecię północy, cudzoziemca...

Po tej przerwie niepokoju i przestachu, z wolna jednak przychodziło już wszystko do porządku; radzono osłabionemu trochę wina, kobieta przyniosła mu sama swą szklanę, napełniwszy ją — on usta w niej umoczył, pomieszany, dziękując więcej przez grzeczność niż z wielkiej ochoty.

— Ale chodź pan tu, siadaj z nami—odezwiała się z natarczywością kobiecą, posługując się najzrozumialszym wszędzie francuskim językiem—posil się pan... odpocznij... przejdzie osłabienie... Czasem się podobne wypadki powtarzają, więc bezpieczniejsz, ażebyś tu był między nami i żebyśmy cię pilnować mogli... Ale, jeśli wolno zapytać, skądże to i dokąd?

— Ja... ja... jękał się młody człowiek—zmierzalem do Genui.

A z daleka?—dodała z niedarowaną ciekawością kobieta.

— Dost z daleka... dość... z Francyi... szedłem pieszo... upały...

Umilkli trochę, nie wytrzymała jednak nieznanym, była tak nprzedzająco grzeczna, że jej to dawało prawo badania.

— Ale pan nie jesteś Francuzem?

Nie, pani...

— Poznałam zaraz po akcencie, że pan jesteś cudzoziemcem... przerwała mu szebiocąc.

Mężczyźni od drugich stolików, choć nieśmiało, zaczęli się przybliżać do tego, przy którym usiadł zaproszony młody człowiek: nawet Włosi, ciekawi, przysuwali się nieco: rozmowa o podróżach, o wypadkach w drodze, poczęła się stawać ogólną, tocząc w większej części po włosku: każdy do niej słówko jakies dorzucał.

Młody człowiek z wolna odzyskiwał siły, bladą twarz jego ożywił rumieniec, krew znowu poczynala krążyć w nim z potęgą młodości, podwojoną jakimś ukrytem cierpieniem; oczy kobiety z uczu-

ciem politowania i prawie macierzyńską troskliwością, zwrócone były na niego.

— To prawdziwie nie do darowania — odezwała się po chwili — że pan, podlegając omdleniom, puścić się mogłeś w taką podróż sam jeden, pieszo — w takie upały, tak nieopatrzenie. Jakkolwiek Włochy, wyjawszy okolice Neapolu, straciły dawną sławę czy niesławę swoich rozbójników, którzy już tylko w powieściach żyją i bohaterzą... jeszczebyś pan, gdzieś w kątku, mógł być, jeśli nie zabitym, to przynajmniej odartym...

Młody człowiek uśmiechnął się boleśnie, smutno — spuścił w dół oczy.

— Nie rzekł powoli, jakby sam do siebie — zrzuć pychę z serca, nie będę się wahał wyznać prawdy... Rady pani są w istocie najlepszymi, najszlachetniejszymi, ale ja... nie mogłem — było dla mnie niepodobieństwem do nich się zastosować...

Podniósł na nią oczy z uśmiechem przejętym cierpieniem.

— Nie miałem do wyboru — kończył ironicznie — tak, lub inaczej postąpić, musiałem puścić się pieszo, jechać nie mając za co...

— Biedny chłopak! cicho szepnęła kobieta. — To okropnie!

— Jestem wygnaniec — mówił dalej podróżny, z niejaką dumą podnosząc głos — jestem Polak... Wyszedłem z kraju zagrożony wyrokiem, który za małe przewinienie szkolne, całą mi przyszłość odbierał... Myślałem, że znajdę przytułek i gościnność łatwą u litościwych ludzi... Szukałem ich we Fran-

cyi, w Anglii, w Niemczech, znalazłem tam co naj-
więcej piękne słowa, a brzydką obojętność; zwróci-
łem się więc ku gościnniejszym może Włochom...
Niedawno jeszcze i one były w tem samem poło-
żeniu, dzieci ich dzieliły losy nasze, błakając się po
niegościnnych progach obcych, szukając przytulku.
współczucia, opieki... Ale...

Tu przerwał młody człowiek, jakby się opa-
miętał nagle. Wyznanie jego niespodziewane uczy-
niło na przytomnych wrażenie bardzo różne; z po-
czątku jakby obawa jakaś przejęła widocznie wszyst-
kich, zawahali się, ochłodli, aż po niepostrzeżonej
chwili walki wewnętrznej, pocziwsze uczucie prze-
mogło i wszyscy znowu zbliżyć się, przysuwać ku
niemu poczęli. Zyskał ich sobie tą szczerością spo-
wiedzi.

Jesteśmy więc... współrodakami—rzekł po
polsku cicho blondyn wysmukły, siedzący przy pię-
knej pani, rumieniać się zakłopotany — bo i ja...
trochę Polak jestem... *ale* Galicyanin...

To *ale* dziwnie zabrzmiało w uszach wygnańca,
któremu sam sposób odezwania się, ton mowy, daly
poczuć, że tylko ukryć się nie mogąc ze swem po-
chodzeniem, Galileusz objawił je. Skłonił się
młczący i dotknął podanej sobie dłoni, *ale* w tem
z za krzesła przystojny brunet, o czarnych włosach,
odezwał się z uśmiechem pełnym niewysłowionego
bole i sarkazmu razem:

— Ja także... mam honor przedstawić się panu
jako trochę Polak... *ale* Żyd...

Ostatnie wyrazy wymówił z pewnym umyślnym przyciskiem,

Młody, wysmukły Galileusz odwrócił się żywo, popatrzył ciekawie: Żyd nie spieszył z podaniem ręki, wstrzymywało go poczucie własnej godności, przyjął wszakże skwapliwie wyciągniętą ku sobie dłoń niedawno omdłego wygnańca i uściśnął ją serdecznie.

Galicjanin, zapewne z obawy, aby nie był wezwany do połączenia ręki swej z tamtymi, począł czegoś szukać po stole.

— No... kiedy się tak poznajemy wszyscy, to i ja także mogę się potrosze policzyć do ziomków paskich—odezwał się po francusku wysoki, barczysty, niemłody człowiek, siedzący przy brunetce—jesteśmy pobratymcy, Słowianie, bo ja Ruski jestem... jak wy zowiecie Moskał... *ale*—dodał z uśmiechem—ale wygnaniec... Podajmyż sobie dłonie.

Wszystkie ręce na to wezwanie wysunęły się dość spiesźnie i z kolei uściśnęły w milczeniu.

Wtem odosobniony czarny, ogorzały mężczyzna, który siedział z tyłu samotny, a rysy miał starego egipskiego sfinksa i prawie bazaltową cerę, rzekł z ironicznym akcentem i przerywanym śmiechem:

— Eh! eh! dostojni panowie, Polacy, Słowianie, *ale* wygnańcy i włóczęgi... pozwólcie bratu w biedzie, wygnaniu i wyklęciu... wyciągnąć też prawicę paryi. Niestety .. muszę z bólem serca wyznać panom... że jestem Cyganem... ale bogatym, co się rzadko Cyganom trafia... z tego powodu koni

nie kurnję i pieniędzy nie kradnę... Tak, szanowni panowie, należę w istocie do tego wyklętego ple-
mienia wiekiastych wędrowców, których średnie
wieki pędziły po Europie chłostą i groźbami...
a czasy dzisiejsze ścigają dotąd przesadnym wstrę-
tem... Wyjęte są tylko z niego piękne moje sio-
strzyczki do lat dwudziestu kilku, dopóki mają
białe ząbki, głosik brzmiący i figurkę niczego!
Cha! cha!

Comme correctif miałem honor panom oświad-
czyć i powtarzam, że jestem bogaty, choć nie król
cygański, ale człowiek prywatny i z profesyi dziś
próżniaczysko.

Rozciekawione żrenice kobiety, Włochów, wszyst-
kich wogóle przytomnych skierowały się ku mów-
jącemu: on uśmiechał się, badając po twarzach
wrażenia, sam zdając się chłodny i nieporuszony.

— A no—dodał—z trochę domyślności powin-
niście przecież byli rasę odgadnąć z mej twarzy,
noszę na niej świadectwo pochodzenia niestarte,
żadna woda liliowa go nie zmyje... żaden kosme-
tyk maski tej zdjąć nie potrafi...

— Czekajcież panowie - rzekła przerywając
zrećźnie, z żywością i pośpiechem, chwilę przykrego
dosyć milczenia kobieta — jeżeli tytułem do bra-
terstwa ma być wygnanie i włóczęga, moglibyście
panowie i mnie przyjąć do swego grona... do-
prawdy.

I powolniej, zniżając głos nieco, dodała:

— Ojciec mój był wprawdzie Włochem, ale
żył w tych czasach, gdy piękna Italia nasza ni-

komu ojczyzną być nie mogła, bo była *wyrażeniem jeograficznem* tylko... Wygnaniec dobrowolny, żył w Anglii: matka moja pochodziła z rodziny irlandzkiej, mąż mój był... Rosjaninem... umarł biedny..... Gdybyśmy dalej sięgnąć chcieli, babka moja była Greczynką z tej epoki. w której Grekiem zwać się nie było wolno....

Ani się spostrzegli, gdy po za nimi stanął niespodzianie mały człowieczyna z ogromnym parasolem na ramieniu, ubrany bardzo starannie. w okularach, z lornetką podróżną, przewieszoną przez ramię, z torebką przez drugie... Ten przysłuchawszy się rozmowie, zawołał, śmiejąc się na głos:

— A no! bravissimo! kiedy się tu sobie wszyscy prezentują, czemużbym i ja nie miał? Przeczasz, że przerywam — dodał kłaniając się zdumionej kobiecie—ja także nie ustąpię z pewnych względów nikomu... Jestem niby to Dmńczyk, matka moja była, jak chcecie—Szkotką lub Angielką, babkę miałem potroszę Włoszką, mieszkałem długo we Francyi, zdaje mi się nawet, że jestem w niej naturalizowanym... Spodziewam się tedy, że i ja mam prawo zjeść tu obiad w towarzystwie przybłędów z całego świata... No, jak się państwu zdaje?

Wszyscy się śmiać poczęli, bratersko witając obojczygo, wesołego przybylec...

— Ha no, to i ja się prezentuję—odezwał się w końcu. nieśmiało i po cichu, syn jasnowłosej Germanii. siedzący z dala. —Przyznam się państwu, że też jestem wygnańcem...

To mówiąc skłonił się z dala i usiadł.

— Kwestya ojczyzny, dzisiaj przerwał żywo Dmńczyk-Francuz — wierzeć mi państwo, sprowadzić się daje do czysto finansowego zdania. Masz pieniądze?—przyjmą cię wszędzie oburącz, uobywatelą, wynaturalizują, usciskają... nie masz nie?... ruszaj kochanku dalej... bez grosza obywatelstwo się nie zyskuje nigdzie. Wygnańcem więc, w ścisłem znaczeniu wyrazu i paryą jest tylko dziurawa kieszeń... Choćby po nad nią powiewały gałęzie laurowe, dębowe wieńce, golizna zawsze cuchnie. Miejcie panowie pieniądze, a dokupicie się tylni ojczyzn, ile ich zechcecie... a wogóle—dokonczył—co do mnie, potrzeba ojczyzny wcale mi się czuć nie daje...

Ruszył ramionami.

— Więc my tu tylko dwaj — rzekł nareszcie jeden z dwóch przytomnych tej scenie Włochów—stanowimy wyjątek i nie mamy prawa należeć do tego miłego kółka... Ale nie chcielibyśmy być z niego wyłączonymi. musimy i my szukać jakichś tytułów do przyjęcia w wasze grono... Otóż dodał poszukawszy, znajdem ten tytuł dla nas obu... Jesteśmy naprzód artyści, a więc włóczęgi wiekuiście, duchem i ciałem, wieczni na tej ziemi wygnańcy; powtóre, choć Włosi, jesteśmy jeden Rzymianinem, drugi Wenecyaninem... Otóż, jeżeli komu, to Polakom podać możemy z tego tytułu dłonie bratnie... jedne, niestety, jednako smutne losy nasze... myśmy przynajmniej tak biedni, jak oni...

— Nie! nie!—przerwał wygnaniec, wyciągając ku nim ręce—wy gorącą piersią macie się gdzie

schronić przed prześladowcami, dla was otworem stoją całe wielkie Włochy... wy macie ojczyznę, króla, państwo... my... tylko oprawców, katów, i ścigające nas, gdziekolwiek się ruszycie, uciekając od stryczka i miecza... dyplomatyczne zabiegi, chmury szpiegów, prześladowanie obojętności... gnające w Sybir lub do grobu... Myśmy stracili w oczach Europy nawet prawo do życia!...

Gorączkowy ten wykrzyk rozpacz na chwilę przerwał rozmowę zbyt dramatycznym swym nastrójem: ale wszyscy po spowiedziach jakoś się czuli zbliżeni ku sobie dziwnym sposobem. Towarzystwo to tak różnorodne, Włosi, Polacy, Żyd, Cygan, Rosjanin, Duńczyk, skupili się nieznacznie ku jednemu stolikowi, a że przy nim dosyć miejsca na szklanki i talerze nie było, zsunęły się bliźsze, małe stoliczki. i ci nawet co najmniej mieli skłonności do robienia znajomości nowych, ulegli jakiegoś chwilowemu prądowi. Pierwsze lody przełamało owe omdlenie i młodzieńczy wykrzyk Polaka.

Większa część ludzi, wśród dzisiejszych włączę po świecie, wzdryga się od zaznajamiania w podróży. Jest to prosta rachuba ekonomiczna: każdy nowy stosunek kosztuje trochę słów grzeczności, ustępstw pewnych dla nieznajomego: trochę kłopotu i szafunku, jeśli nie myśli, to głosu... a potem... często w kilka minut wszystko bez użytku przepada. gdy podróżny, okupiony temi ofiarami, na przyszelej stacyi wysiada...

Naturalnie, ten ekspens daremny zubożnia, wygodniej jest milcząc wyciągnąć nogi bez cere-

monii, choć w sposób nieprzyjemny dla sąsiada, który z oczu ma zniknąć.

Tym razem wyjątkowo wszyscy zapomnieli się rachować i ludzkie, pocziwsze uczucie poruszyło sercem kobiety, a od niego zaraźliwie rozeszło się po innych... Wszystko jest na świecie zarazą, nawet cnota...

Był to w istocie rzadki wypadek w rocznikach nowoczesnych.

Przed laty pięćdziesięciu, gdy ludzie się mniej kręcili po świecie, daleko byli wogóle przystępniejszymi dla siebie. Dziś taka się przed oczyma przesuwa mnogość różnych egzemplarzy człowieka, począwszy od książąt bez księstw, do proletaryuszów bez koszuli, że nikt już tych *okazów* nie jest żądny i ciekawy. Człowiek w ogóle mocno się spopolitował.

Najsympatyczniejsza fizyognomia więcej odstręcza niż pociąga, boimy się, żeby nas zbyt długo przy sobie nie zatrzymała.

Gospodarz trattoryi, który ukradkiem przeze drzwi zaglądał, zawsze w obawie, aby mu ow mdlejący podróżny nie zmarł nagle — uspokoił się nieco, widząc go pod opieką całego towarzystwa, co, w najgorszym razie jakiego wypadku, zwalniało od obowiązków, których brzemień tak przerażało pana Firpo.

Kobieta, ożywiona dobrym uczynkiem, który zawsze przywiązuje do tego, komu się nam przysłużyć uczynić powiodło, rozradowana w duszy, poczęła po chwili rozmawiać z Wenetem i Rzymia-

ninem. potem zwróciła się do młodego Polaka, potem zagadnęła owego Duńczyka-Francuza, przemówiła do Cygana, uśmiechnęła się nawet flegmatycznemu Niemcowi, i tak poplątała się, którą ich wszystkich związać pragnęła, że się im z niej wywikłać było trudno. Rozmowa, w tonie żartobliwym rozpoczęta, ciągnęła się dalej.

— Ja wcale kosmopolitką nie jestem — odezwiała się kobieta — człowiek potrzebuje ojczyzny, bądźco bądź, a kto jej nie ma, temu braknie jednego zmysłu, jednego szczęścia, jednej miłości w życiu — jednego pojęcia w umyśle, które wiele innych tłumaczy i wyjaśnia. Kto jej nie ma, ten sobie ją wybrać i stworzyć powinien, aby kochał, tak jak w pierwszej młodości człowiek idealną tworzy sobie kochankę... jeśli mu żywej braknie. Przy najnamiętniejszej jednak miłości swojego kraju, nie rozumiem nienawiści dla obcych.. A! tak piękną rzeczą jest braterstwo wszystkich ludzi!!

— A śliczna! śliczna — przerwał ostatni przybyły Duńczyk, naturalizowany Francuzem... któremu tak pilno było do rozmowy, że najpiękniejszy makaron dla niej porzucił— ale, na nieszczęście, szanowna pani, to braterstwo należy do rzeczy bajecznych i niemożliwych, równie jak republiki angielskie i monarchie patryarchalne... jak *une chaumière et son coeur*, bez obiadu i wina, jak tysiąc innych pięknych bałamuctw, które sobie ludzie wymyślili, pocieszając wśród tęsknego żywota, wymagającego beefsteaku, bordeaux, bankowych biletów i *confortu*, o które nicustannie z głodnymi żołądkami

bieć się potrzeba... Blisko dwóch tysięcy lat Indzie mówią o tem braterstwie bez przesądów. a spytaj pani Moskala, co trzyma o Polaku, Anglika, jak też kocha Francuzów, Niemca... przepraszam... jak też serdeczne ma usposobienia dla wszystkich innych narodów, które mu ciasną robią ziemię i nie dają sadzić kartofli, a śpiewać o wielkiej ojczyźnie —gdzie mu się podoba...

— O! o!—przerwał spokojny Germańczyk, potrząsając głową — już paskwil na spokojnych ludzi! A Schiller?

— Miałem szczęście czytać całego Schillera w bardzo niecznośnym przekładzie — odparł Duńczyk, wracając do makaronu w przestankach — Schiller śpiewał wiele o różnych, bardzo pięknych rzeczach, ale was, najukochańsi Arminiusa wnukowie, poeci wasi do niczego nie zobowiązują...

Mówię najukochańsi—dorzucił w nawiasie— bo kocham niezmiernie wszystkich wogóle, dopóki pojedynczo nie zacznę każdego z osobna nienawidzieć...

Otóż, najukochańsi Niemcy — kończył Duńczyk — wiercie mi, że nie mówię tego przez zazdrość o posiadanie Szlezwiku i Holsztynu, bo wcale mi te księstwa nie smakują... wy się mylicie grubo, utrzymując, iż Schiller, Göthe, Kant, Hegel, byli Niemcami...

— Jakto? — porywając się, zakrzyknął jasnowłoso.— A cóż pan sobie myślisz?

— Czekaj, czekaj, spokojny wnuku pracowitej Germanii, krwi sobie nie psuj, czekaj — mówił wol-

niej coraz Duńczyk sfrancuziały—ja was doskonale znam i powiadam wam, że Schiller, i Göthe, i Lessing, i Herder, nie są i nie byli Niemcami...

— Więc cóż? jak? — powtórzył oburzony Niemiec, stukając w stół nożem.

— Przyznaj sam, że to były geniusze, jak Shakespeare, do całego należącego świata, nie do samego króla jegomości pruskiego. Na nieszczęście, pomiędzy nimi, a narodem, co ich wydał, mniej może jest związku, niż między wielu obcemi im po krwi narodami.

— A! tak! tak jest! — przyklasnął młody człowiek, który był omdlał pan mówisz prawdę wielką... ja czuję się daleko mocniej bratem Schillera, niż wszyscy Niemcy, co go czytają, unoszą się nad nim, stawiają pomniki gdziekolwiek stąpił, a idą wprost przeciwną wskazanej przez geniusz jego drogą realizmu, materyalizmu, egoizmu narodowego, ciasnego...

— Stójże, zapaleńcze! — przerwał Duńczyk — masz lat dwadzieścia jeden, czy...

— Dwadzieścia i dwa...

— Pozwalam... tobie jednak nie godzi się jeszcze rozprawiać o egoizmie... zaczekaj, aż sam egoistą zostaniesz... *Nemo sapiens nisi patiens!*... Przyznaję ci jednak, żeś mnie doskonale zrozumiał... tylko od komentaryszów czerwonym atramentem... wara!!

Wszyscy śmiać się zaczęli.

— Za pozwoleniem państwa — dodał, rzucając lornetkę i kładąc ją na stoliku przy sobie — to się

coś zabiera na przydługą międzynarodową rozmowę, a ja sił nie nabrałem do niej... makaron zatyka, dławi, a nie karmi. pozwólcie, bym zawołał o co posilniejszego! Ci Włosi — dodał — od nie wiem wielu lat, okłamują pokolenia całe żołądków, wmawiając im cześć bałwochwalczą dla makaronu.

— Nie rob pan ceremonii — zawołała, śmiejąc się, kobieta.

— E! słuchaj pan — dodał, zwracając się do Polaka nagle — nie bierz mi za złe, że cię na obiad z sobą poproszę... Jest w tem egoizm. Sam jedząc, nie mogę przełknąć, potrzebuję towarzysza i przeczuwam w panu instynktowo apetyt?... he?

Młody człowiek zaczerwienił się mocno, ale się zarazem śmiać począł.

— Ale... ale... — począł jąkać się.

— Bez żadnego ale, jest to mała przysługa humanitarna... zjemy razem... Widząc młodego człowieka z wilczym apetytem, lubuję się... A! panie! co bym ja dał, żebys mi go dziesiątą część ustąpił!!

Zakończył głębokiem westchnieniem i stuknął o stół żywo. Wbiegł służący w koszuli, zaczęły się targi o obiad, rozmowa szła tymczasem dalej powoli. Niemiec siedział oburzony i posepny.

— Widzę, że się pan gniewasz na mnie — rzekł, skończywszy układanie karty, Duńczyk do Germana — ale wierz mi, proszę, wysoko cenię geniusz i enoty narodu, który tego dokazał, że go pełno wszędzie, jak trychinów i że im więcej on żyje, tem mocniej od niego umierają ci, których łaskawie nawiedzić raczył... Przepraszam! jest to

dla narodu pochwała, choć dla trychiny nagana... Jeśli mi masz za złe, że was, najukochańszych Niemców, tak jak wy dziś jesteście, przyjąć nie mogę... no... przeczytaj sobie Heinego... on mnie uniewinnia... wszak to kość z kości.

Niemiec zawstydził się, westchnął i rzucił z pogardą prawie:

— Żyd!

Ale brumet, zdaje się, tego nie słyszał, był zadumany głęboko.

— Boję się—szepnął do ucha Niemcowi Duńczyk, nachylając się do niego żeby w istocie przyszłości waszej wkrótce nie przyszło tam szukać, gdzie ją Heinemu ukazała... Hammonia!! *)

Ale cicho! cicho! cicho!

Westchnęli na jeden ton oba... Niemiec, pomimo rozjątrzenia, nie wiem dlaczego uściśnął w końcu dłoń Duńczyka, który mu coś znowu poszeptał.

Podano tym razem cały obiad, zwykły w *trattori della Grotta*, poczynając nawet od gęstego *brodo*, które mógł być makaron, wedle tutejszej teorii, zastąpić — osmażoną rybkę, podejrzanę wielce o starożytność mięso, które w gorąco z Genui przybyło i nadto było zmęczone podróżą, potem coś naksztalt pieczystego, jakąś włoską jarzynę, ser, owoce, wino... Duńczyk-francuz mocno ramionami ruszał, że wszystko nie *cordons bleus* to gotował, ale prosty kopcidy... jednak był głodny... a głód może wiele.

*) Zobacz: Wintermärchen.

Polak, raz przemógłszy fałszywy wstyd, z obawy, aby głód jego się nie wydał (był bowiem stokroć gorzej wygłodzony niż Francuz, który w Cogoletto coś przekąsił), jadł chętnie i wstrzymywał się tylko od zmięcenia wszystkiego, co przed nim stało, powracającym strachem jakimś upokorzenia.

Biedak, oszczędzał ostatków grosza, aby się dowlec nazad do tego kraju, z którego niedawno uciekał... a już na współzuncie narodów i braterstwo ludów oduczył się był rachować — liczył na własne siły i oszczędność.

— Panowie dokąd? jeśli spytać wolno? — odezwiała się Włoszka, spoglądając kolejno po wszystkich, jakby pytanie to zadawała całemu towarzystwu.

— Ja — odpowiedział młody Polak — idę, powracam raczej do kraju mego. Wyszedłem z niego przed parą laty, wygnany groźbą i postrachem, wróćę pędzony tęsknotą i nadzieją... a zestarzony cierpieniem, wiele złudzeń rzuciwszy po drodze...

— Ja także powracam do Polski — przemówił Żyd — w duszy mej także ją za moją ojczyznę uważam... Ale, pozwolicież mi ją tak nazywać? — dodał smutnie oglądając się — kocham ją, to mi daje prawo...

Młody człowiek ścisnął mu rękę, żywo spojrzeli po sobie i poczuli się dobrymi obcymi. Galicyanin szukał znów czegoś na stoliku.

— Ja — rzekł powoli Cygan — jadę, zdaje mi się, do Węgier, nie jestem jeszcze pewien... pra-

wdopodobnie tam się obróć. Mam tam osiadłych krewnych, którzy z koczującego taboru przeszli już pod strzechę domu, nie ruszającego się z miejsca... Chciałbym ich zobaczyć i przemówić swoim językiem do kogoś, co by mnie zrozumiał. Ale się wlokę powoli, nie nie nagli... Dla mnie ojczyzna, gdzie ciepło i wygodnie — kończył, uśmiechając się. — Ojczyzna, tak jak wy pojmujecie, dla nas nie istnieje, straciliśmy nawet pamięć o niej, a od czasu, jakśmy się z niej wynieśli, ona się też tak zmieniła, żeby nas za dzieci nie uznała.. Jesteśmy jak Epi-
menides po długim śnie wracający na ziemię, której zrozumieć nie może.

— Ja podróżować jeszcze myślę po Włoszech a zmierzam do Genui—odezwał się Niemiec, krótko zbywając ciekawość kobietą.

— Ja także—dodał Duńczyk żywo.

— My podobnież — odpowiedzieli Rzymianie i Weneta.

— Co do mnie — rzekł Moskal — muszę się włóczyć kędys, bo na świętą Ruś wrócić nie mogę, aż... aż...

— Aż się tamtędy wprzód burza przewali — przerwał mu Duńczyk — wszak toś pan chciał powiedzieć?

Rosyanin skinął głową potwierdzająco.

— Ja myślę też podróżować — szepnął Galicyanin—przecież Włochy widzieć potrzeba...

— Więc prawie wszyscy jesteśmy w drodze do tej Genui—dodała Włoszka—którą tak pięknie,

ale tak nieznosnie widać i widać prawie od Savony, a nigdy do niej dojechać nie można...

— A! pani, na to się skarżyć nie godzi—odezwał się Żyd— to całe szczęście nasze, że z dala widzimy cele życia, a powoli iść do nich musimy. Ręczę, że widok Genui i oczekiwanie jej więcej warto, niż ona sama... bo droga zachwycająca...

— Przebyłem ją pieszo do Marsylii— rzekł Polak i cośbym także o tem mógł powiedzieć.

A toś cudowną odbył podróż i w sposób najmiłszy—zawołał Duńczyk.— Czasem konieczność też jest dobrodziejką. Cóżbym to ja dał, żebym jak pan, był zmuszony iść pieszo? Ale musu nie było, a lenistwo przemogło.

— Słowem, że pan wszystkiego zazdrościsz, począwszy od apetytu —rozśmiał się Żyd — a o nie się sam starać nie chcesz.

— To prawda—odparł Duńczyk — zazdroścę ci, wam, zazdroścę, ale niczego bardziej nad młodość waszą!

— Droga w istocie zachwycająca — mówił dalej młody człowiek — można często było zapomnieć nawet o skwarze i głodzie. Zdało mi się, idąc po nad tem lazuruwem morzem, że się tu kończy świat temi roztopionemi szmaragdami, opalami i szafiry, że po za temi czarownemi wody jest raj... kraina ideałów... jakaś Atlantyda duchów... A jak wymowne to morze... i co za poeta z niego!!

— Poetą pono nie ono było, ale młodość twoja—dorzucił wzdychając Duńczyk—dlaczegóż mnie nie śpiewało, tylko o ostrygach i łososiach?

Włoszka się uśmiechnęła smętnie i szepnęła:

O primavera! gioventu del anno!
O gioventu! primavera della vita!

— Pięknaż to, nawet o głodzie, ta życia naszego wiosenka—ale jak krótka! niestety!

Jeden z Włochów, nie dając mówić kobiecie, pochwycony słowami młodego człowieka, rozgorzał miłością Włoch swoich.

— Nie dziwię się — rzekł — żadnej miłości ojczyzny, nawet u Eskimosów, ale nie pojmuję człowieka, co by się w naszych Włochach nie rozkochał... Dajcie mi kraj taki drugi i pokażcie: pod nogami ruiny wieków wymowne, nad głowami takie niebo, jak nasze, w koło takie dla oczów ponęty... i to powietrze, co życie wlewa nawet w tych, co doń nie mają siły. Italia królowa świata! Zrzucili jej z czoła dyadem, ale czoło pozostało królewskie, a tego jej nikt nie odejmie; skuli jej ręce barbarzyńcy... ale gdy strząśnie tylko dłońmi, opadną kajdany... Znacie państwo piękniejszy kraj? Powiedźcie.

— Ja go znam—odparł Polak chmurno.—Szare po nad nim niebo, ziemia cała krwią przesiąkła, mogiły sterczą z przeszłości, a nad niemi niemo-włęta, pokute w żelazne obroże... niema tam morza szafirów i wiatr powiewa zmrożony... ale to ołtarz ofiarny z końca w koniec... to ojczyzna moja!

Włosi skłonili głowę, Cygan się tylko uśmiechał.

— Człowiekowi—rzekł tu czy tam... wszystko jedno... życie krótkie, błysk i ciemności znowu, z których wyszedł.. Serca nie trzeba oddawać nikomu i niczemu—nie warto.

— A! źle mówicie—zawołała Włoszka gorąco—tyle się żyje. co sercem. reszta to gorzka owocu lupina...

— Trzeba nawyknąć żywić się lupinami—odparł cygan, ruszając ramiony.

Na tę rozerwaną rozmowę wszedł służący, dając znać towarzystwu, do którego kobieta należała, że ich watura była gotową: dodatkowo też przypomnieć się czuł obowiązany, iż dyliżans. zatrzymujący się u wrot trattoryi. mógłby i innych do Genui zabrać podróżnych.

Jakoś nie w porę na rozżarzone uczucia padła ta kropla zimnej wody; znać to było po kwaśnych twarzach.

— Więc ta krótka chwila, w której obcy spotkaliśmy się jak ludzie i pobratali tak miło, już przeszła!—zawołała Włoszka z westchnieniem.— Każdego znowu los w swoją pędzi stronę, jak galerników, co mimo dozorecy, chcieli coś poszeptać z sobą... Czy zobaczymy się kiedy jeszcze?

— My, to nie wiem — rzekł Francuz, uzbrajając się znowu w lornetkę — ale z podobnemi nam typami, w tejsze formie odlanemi, mniej więcej szczęśliwie, spotkasz się pani nieraz jeszcze.. Co do mnie, przekonany jestem, iż panią znałem dawno i że ją jeszcze nieraz zobaczę, choć może w mniej doskonałym od dzisiejszego odbiciu..

Myśl ta, trochę dziwaczna, nie bardzo była miłą Włoszce; spojrzała na Francuza z wyrzutem prawie, że ją wziął za coś tak pospolitego.

— Co do mnie — rzekła — ja po raz pierwszy spotykam pana w życiu i przyznam mu się, że...

— Nieradabyś pani widzieć mnie więcej? — podchwycił.

— O, nie — odpowiedziała kobieta — zasmuca mnie ta wiara w typy, nie w ludzi... bo któż z nas do drugiego zupełnie podobny?

— We wszystkich ludziach — rzekł Duńczyk — Francuz — jest w ogóle jeden człowiek — wierz mi pani. Jeśli mi wolno dodać jeszcze słów kilka, powiem, że gubi nas ta wiara w różność człowieka; szukamy coraz innego do pary i do miary, a trafiamy zawsze na starego znajomego... który, między nami mówiąc, nie wiele wart.

— A może pan masz trochę słuszności — z westchnieniem odparła Włoszka, spoglądając z ukosa na Rosyanina, który uśmiechał się smętnie, i na Galicyanina, nie zdającego się słuchać ani słyszeć rozmowy — ale, nie osmucajmy sobie życia... Do zobaczenia w Genui!

— Wszak do zobaczenia? powtórzyła. — Jutro na przykład wieczorem! Ale gdzie?

— A! to na *Aqua sola* — zawołał jeden z Włochów — gra muzyka... dzień podobno świąteczny... tam się najprędzej spotkać możemy...

Wszyscy wstali żegnając kobietę, która podała raz jeszcze rękę Polakowi, życząc mu lepszego zdrowia.

Zaraz też umniejszone już i rozerwane towarzystwo zabierać się poczęło do odjazdu.

Duńczyk jechał dyliżansem, Cygan dostał się do omnibusu, Włosi szli pieszo, Niemiec ekonomicznie przysiadł się do wozu gospodarza, w którym, obok koszyków z pomidorami, miejsce sobie zamówił.

— My pojedziemy razem—odezwał się Żyd do Polaka ja was samych już nie puszczę... mam najęty powozik, wracający do Genui, zabieram was z sobą, choćby gwałtem.

— Na cóż mam być wam ciężarem? — rzekł młody człowiek.

— Żadnym — zawołał Żyd, rękę podając — owszem, będziecie mi pociechą. Jestem strudzony samotnością, potrzebuję towarzystwa, aby mnie własne myśli nie pożarły... uczynisz mi łaskę...

— Daleko większą wy mnie, bom nad wszelki wyraz zmęczony i słaby... prawdę rzekłszy, ledwie się już tu dowlokłem. Nie będę skrywał przed wami smutnego położenia mojego, na ciele i na duszy cierpię okrutnie.

— Podzielmyż wzajem nasze cierpienia — rzekł Izraelita — daj mi rękę bracie, a nie trwoż się życiem. Jestem dziecięciem narodu, który przed tysiącami lat pierwszy miał objawienie jedynego Boga... Ja dziś jeszcze wiarę w Niego zachowałem, gdy pono, dokoła nas, w fatalność tylko, lub w nic już ludzie zgola nie wierzą... Niech się i wasze serce znękane otworzy, myśli o Bogu, o wielkich losach człowieka i ludzkości...

Wyszli.

Gospodarz, stojący w progu, z pewną pociechą wewnętrzną ujrzał odchodzącego chorego młodzieńca, tem szczęśliwszy, iż wszystko było opłacone sowicie, a nie wszystko zjedzone... wiele zostało do powtórnej reprezentacji obiadu...

Siadali do powozu, pożegnał ich uśmiechem, mówiąc w duchu:

— To szczęście, że się jacyś dobrzy ludzie trafili, na biedę niewiele potrzeba... Nużby był samą skronią uderzył się o ścianę, i... nużby się był zabił, nużbym był ja zmuszony go chować! Wątpię, żeby w jego tłumoczku tyle się nawet znalazło, co na najskromniejszy pogrzeb potrzeba... A! a! niech nas Bóg od takich podróżynych uchowa... *Buon viaggio!*

Dosyć milcząco przebyli dwaj młodzi ludzie niewielką przestrzeń, dzielącą Sestri od Genui, wśród której mienią się prawie nieprzerwanym ciągiem idące osady jedna po drugiej, aż nareszcie po tych pstrych miścinach, na których ścianach z całym swym dekoracyjnym talentem popisywali się Włosi, ukazuje się, w pośród złomów skał, brama dawniejszej twierdzy, z patronką grodu—Najświętszą Panną i na pniu kamiennym wysoka morska latarnia. Otóż i port, a po nad nim roztoczona w koło na wzgórzach *la superba*.

Śliczneż to stare miasto, piętrzące się wsporniale nad morzem we wschody, portyki, kolumnady, uliczki sięgające gdzieś do nieba, lub spadające jakby wązkiemi rynsztokami w ciemne, niechlujne głębiny i pieczary. Mimo tych zakątów czarnych, jest to miasto pałaców. Ale dziś ono podobne jest do konchy malowanej, którą morze na brzeg suchą wyrzuci, bo z niej wyleciało gdzieś żyjątko, co ją życiem i krwią zbudowało, a zamieszkał jakiś wędrowny pajak, lub szczątek zabłąkanego polipa, lub gałązka algi zielonej.

Śliczny to jeszcze marmurowy gród, ale z tej konchy wspaniałej, świecącej wszystkimi barwami tęczy, wyleciało życie dawne: mieszka nowe, mniej-sze i inne, któremu w starej skorupie niezupełnie wygodnie, znać, że ją pożyczyło. Z kupiectwa i arystokracji, z tego burzliwego ludu genueńskiej rzeczypospolitej, co czoło stawiał Wenetom, nic niema, prócz kilku zeschłych gałązek i ruchomych nieco rozbitków. Nowe plemię, potrzeby, żywot, obyczaj... Wszedłszy w cichy dziedziniec którego z pałaców Balbich lub Pallavicinich, jakbyś do marmurowego wszedł grobowca.

Wrą i szumią około portu Włochy nowe, odmienne, dorabiające się formy właściwej, innego bytu, równie burzliwie może, jak stary połamały.

Powóz sunął się po nad portem ku miastu, gdy młody chłopak rękę położył na ramieniu swojego towarzysza i rzekł mu:

— Wysadź mnie tu gdzie, proszę.

— Jakto? dlaczego?—spytał Żyd.

— Poszukam tu sobie, bliżej portu, schronienia.

— Ale ty jedziesz ze mną?

— Tak, przecież nie stoję z tobą, bo nie mogę odpart młody chłopiec.—Bądźmy z sobą otwarci. Mówiłem ci, że zaledwie mam o czem odbyć resztę podróży; muszę naturalnie szukać jak najtańszego przytułku.

— Cóż znowu!—zawołał towarzysz.—Przyjałeś wszakże moją małą i lichą, ale czysto braterską ofiarę, przyrzekłeś mi zostać ze mną...

Młody chłopiec potrząsnął głową.

— Ubóstwo — rzekł — ma swą dumę, jak czasem grzeczne bogactwo ma swą pokorę. Nie gniewaj się, niezależnym być pragnę. Mała to rzecz w brudnej przenoclegować izdebce i zbyć głód pokarmem lichym, ale zdrowo jest dla duszy być tym małym kosztem swobodną.

— Rozumiem to wszystko — odpowiedział Żyd spokojnie — chwale, szanuję, ale to tylko jest dobre, gdy potrzebne. Nie znasz mnie, to prawda, przecież się młode dusze nie potrzebują wypróbowywać długo, by świeżym instynktem się przeczuć i spokrewnić. Nie ofiaruję ci wielkich rzeczy, ale małe, z dobrego serca; będzie ci ze mną znośnie — to dobrze, nie — to odejdziesz... nie zmagam się na ofiary nadzwyczajne dla ciebie, ani cię zwiążę wdzięcznością upokarzającą... zapraszając z sobą na nocleg choćby jeden i wieczerzę. Słuchaj — dodał — nie droż się z tem. mam się z czem podzielić bez uszczerbku dla mnie. Czynię to ze szczerego serca, bez odrobiny dumy, tak prosto, jak mówię. Dopowiem ci nawet myśl moją całą... jestem stęskniony, potrzebuję się wygadać, samotność mnie nęka, zrobisz mi łaskę większą, niż ja tobie, jeśli zostaniesz ze mną.

Nie trwoż się znowu ani tym obowiązkiem bawiciela, ja cię bardzo nie znudzę... ale sam przynajmniej nie będę... Zajedziesz ze mną do hotelu... no, a potem uczynisz, co ci serce podszepta.

— Byłbym już śmiesznym, gdybym odrzucił taką pocziwą, szczerą ofiarę — rzekł młody chło-

pak—nie miej mi tylko za złe tej dumy ubóstwa... mogłem łatwo trafić gorzej.

Żyd się uśmiechnął.

— Pocziwce to uczucie—rzekł—znam je, ale jakże smutnie świadczy o dzisiejszym świecie!!

Do hotelu Federa! — zawołał, wychylając się woźnicy.

Hotel Feder, stary to także jakiś pałac, przerobiony na gospodę, jak prawie wszystkie genueńskie, weneckie i wielu innych miast włoskich oberże. Dziwnie wygląda z tą lizyognomią na pół starą, pół świeżą, z dziedzińcem opuszczonym, cienym, o wyschłej rokoko fontannie w głębi, z uliczką gwarną pod oknami i z ciupkami swemi, poprzerabianemi na numera.

Musieli wdrapać się aż na trzecie piętro, do pokoju o dwóch łózkach, z którego widok był na dachy, na port masztami statków, jak ogród tyczkami chmielu, zasadzony i klinek jasnego morza w dali.

Czas było spocząć strudzonemu, którego pocziwy Izraelita wziął w opiekę; zaledwie bowiem weszli po wschodach, upadł na siedzenie i po bladeści jego wnosić było można, że znowu zemdleć był gotów. Ale trochę wódki kolońskiej orzeźwiło go, a gospodarz kazał podać herbatę i przekąskę, przeczuwał bowiem, że w tej słabości był jeszcze ukryty głód. Tak po części było w istocie: zaproszony w Sestri, obawiał się jeść ze wstydu—potem znużyło go jeszcze gorąco... dopiero lepszy, obfitszy posiłek go pokrzepił i siły przywrócił.

— A teraz zawołaj, pilno nań zważając Żyd — spocznij w krzesle, lub, eo lepiej, połóż się i zaśnij trochę.

Pozwolisz? — spytał młody chłopak nieśmiało.

— Ale rób, proszę, eo ci się zamarzy — przerwał gospodarz — byłoby ci z tem było dobrze.

— Szedłem spiesźnie, bardzo spiesźnie — rzekł młody chłopak — dni kradnąc sam przed sobą... wstawałem rano, w dzień jakoś zasnąć mi było trudno... teraz, po trochę obfitszym pokarmie, mimowolnie oczy mi się kleją... napojony, syty, straciłem resztę sił...

— Więc do łóżka!

— A wy?

— O! ja... to eo innego! pójdę jeszcze miasto zobaczycie, jak wygląda wieczorem, przeszkadzać ci nie będę.

To mówiąc, podał mu rękę, wziął laskę i kapelusz podróżny i wyszedł spiesźnie. Jak bezwładny padł na posłanie młody chłopak i ledwie głowę doń przyłożył, zasnął twardo. Młodość ma tę siłę potężną do odzyskiwania strat poniesionych; w starości znużenie już jest tylko trawiającą gorączką bez pragnień, bez żądz, bez odrodzenia...

Ryk straszliwy osłów w porcie, których stu naraz odezwało się pod oknami przybyłych, zbudził nareszcie z głębokiego snu młodego podróżnego, który zrazu opamiętać się nie mógł, gdzie się znajdował. Otworzył oczy, obejrzał świeże i piękne posłanie, nie mógł pojąć, jak się w tak czystem i sto-

sunkowo wykwinłem mieszkaniu przebudził. Przywykł już być do brudnych izb tych lokand i albergow gościńca, w których trzeba być młodym, by mieć odwagę położyć się i spać.

Na stoliku stało już przygotowane śniadanie, a towarzysz jego zabierał się doń wesoło i obojętnie, powróciwszy już z morskiej kąpieli.

— A! czyż to już tak późno? — zawołał, porывая się zaspany.

— Nie, ale ja wstał trochę wcześniej, aby z rannego chłodu korzystać. No, jakże się spalo?

— Nie wiem.

— Jak to?

— Byłem kamieniem... nie drgnąłem noc całą... wstając, jakem się położył, nie zmieniawszy miejsca, nie poruszywszy ręką... spałem, jak śpią umarli.

— Jak się czujesz dziś?

— A! olbrzymem!.. odrodzonym dzięki tobie...

— Ale ba! dzięki młodości! A głowa?

— W tej chwili reszta dymów sennych i mgły się rannej rozprasza.

— Więc żywo, na nogi i do śniadania.

— To najgorzej— przerwał wstając podróżny— że ty mnie popsujesz na nic, kochany amfitryonie.

I spojrzawszy na zastawiony stół, pochwycił się za głowę

— Jest to śniadanie rozpustne! Lukullów, Sybarytów... ludzi zepsutych... Od bardzo, bardzo już dawna przywykłem o szklance wina kwaśnego i chleba kawałku z serem dnie rozpoczynać, temię

prysmakami je kończyć. Rozpieszczę się, a nam, nam się pieścić nie wolno, jam sicrota, którego ani los, ani ludzie nie przytuliły nigdy do macierzyńskiego łona... i nie przytulą... Należę do narodu ciężko wypróbowanego i wielkie na barkach dźwigającego obowiązki.

— Wszystko to dobre, ale bądźcobądź, możesz dla tego śniadanie zjeść—rzekł śmiejąc się Żyd—ja także należę do narodu nie najszczęśliwszego... a jeść mi się chce i dam ci przykład... Siadaj, poznamy się dziś lepiej!

— Tak, to prawda, że wartoby się poznać lepiej—przerwał młody człowiek—wszak wczoraj nie powiedzieliśmy sobie nawet nazwisk naszych...

— A więc... mam honor się panu przedstawić: Jakub Hamon — żywo i wesoło odparł Izraelita—ciekawym, co cię to nauczy.

— Mnie, między poufałymi przyjaciółmi, zwano Iwasiem, w istocie zwę się Jan Huba... a nie e, bo byś mnie zrobił Niemcem. Imię to nauczy cię, jeśli znasz kraj nasz, że muszę być z Rusi. Hubą nazywa się grzyb, więc to coś nakształt pana Grzybowskiego lub Grzybowicza... Dalej ta Huba przyrosła nam widać do nazwiska Pstrockich starodawnego, z którym przed wieki przyśliśmy, ubodzy Mazurowie, na Ruś obfitą i bogatą, pracować w jej lasach i czarnoziemie na kawał chleba... A więc w całości brzmi to: Jan Huba-Pstrocki, ex Masovia olim oriundus in Russia possessionatus et natus.

— Masz tam rodzinę?—zapytał Żyd.

— Żywej duszy, nikogo, ani nawet majątku, który niegdyś tam posiadaliśmy... jestem najzupełniejszym sierotą, w całym znaczeniu tego wyrazu. Ojciec mój, podupadłszy, trzymał dzierżawę małą na Wołyniu, kłeski elementarne pozbawiły go ostatniego grosza, zmarł, zostawując mnie na łasce ludzi... Byłem naówczas małym chłopięciem, oddawano mnie do szkół przez miłosierdzie, przeszedłem krwawe próby, a jeśli się odrobinę nauczyłem, nikt temu nie winien, prócz mnie samego. Skończywszy szkoły, tak samo o łasce ludzi miłosiernych i przyjaźni młodoci, dostałem się do wyższego zakładu nankowego.

— Dla czegoż uciekłeś z kraju?

— Dlatego, że u nas studenckie błędy karzą się jak zbrodnie, skoro w nich nos gorliwych dowódca się politycznego swędu... dlatego, że wiersz o miłości ojczyzny Krasickiego oplaca się wygnaniem wieknistem, dlatego, że ludziom krwi polskiej kochać ojczyzny, przeszłości, wiary i pamiątek własnych... nie wolno... dlatego, że ci, którym wzbroniono oddychać, muszą szukać powietrza, choćby ściany dziurawić mieli...

— Zawsze, zawsze też sama choroba narodów uciskionych—odezwał się Izraelita—gdzie starszym wydarto wszelkie prawa, tam młódź się ich dobija na drogach młodych... i przyplaca gorączkę nieopatrzną... jak ty, wygnaniem, nędzą, często życiem...

Westchnęli oba...

— Jakże teraz myślisz powrócić do kraju, kiedyś go opuścił bezprawnie? — zapytał Izraelita po chwili.

Iwaś się na to uśmiechnął boleśnie.

— Alboż wiem? — rzekł powoli. — To wiem, że się tam dostać muszę; wiem, że śmiertelna tęsknota do kraju mnie pędzi: że wśród obcego mi świata wyżyć nie umiem i nie mogę; że wygnanie dłuższe fizycznie i moralnie niepodobieństwem stało się dla mnie.

Inaczej, inaczej dawniej marzyłem o świecie; wyszedłem z pierśią pełną wiary, że wszyscy tak pragną swobody, światła, szczęścia i zgody, prawa i sprawiedliwości, jak my... jak ja. Wpadłem w bezdenną społeczność, o jakiej pojęcia nie miałem, wpośród której niema miejsca dla marzycieli i wygnańców, gdzie nikt konającemu nie poda ręki, jęczącego nie pocieszy, obłąkanego nie przygarnie... Potrzeba więc powrócić: choćby mnie tam zanieczyść miano, choćbym na zimne poszedł wygnanie daleko, bo tam są jeszcze serca cieplejsze... tam cierpieć przydało się na coś. Świecie znoszone cierpienie nawraca, kiedy tu męczennik śmiesz... gdy tu nędznym, choćby najświętszym, gardzą... A! bracie, bracie! co się stało z Europą? dokąd idzie świat?

— Europa zestarzała się i lęka się grzmotów — rzekł Żyd powoli — albo raczej świat znużyli szarlatani wszelkiego rodzaju, którzy boleść i męczeństwo odgrywali dla... pieniędzy. Dlatego dziś nawet język prawdy stał się niezrozumiałym lub

śmiesznym. Ostatnie kilkadziesiąt lat młodocianych zapalów ludzi zużyto na korzyść zręcznych i ambitnych szalbierzy. Czyż nie spekulowano, jak Bar-num na starej mamce Washingtona, na miłości ojczyzny, swobody, na entuzjazmie dla wolności i braterstwa? Na stu krzykaczy, nie było i jednego męezenika. wyciągali pieniądze pod rozmaitemi pozorami, korzystano z zapalów i w końcu ciepło dusz ludzkich wystygło do ostatniej isierki. Dziś świat spoczywa znękanym w sceptycyzmie; w nie nie wierzy, bo widział swobodę, rozradzającą się w anarchię, braterstwo, spekulujące na własności, rewolucję służącą za podnózek ambicyi ludzi fałszywych i apostołów, wyciągających grosze najgorętszymi kazaniami. Trzeba poczekać, ludzkość wypocznie i poprawi się.

Mówili tak, a słońce podchodziło do góry, a skwar, coraz większy, wyjść nawet na miasto pomysleć nie dozwalał; zapuszczono więc firanki, zasłoniono sztory, pozamykano żaluzje i dwaj nowi znajomi siedli gwarzyć w chłodzie, oczekując wieczora.

— Słuszna jest — rzekł po chwili Żyd — abym i ja ci się dał poznać. Rozumiemy się dobrze, lecz położenie moje wyjątkowe wymaga, abym cię z niem oswoił. Spodziewam się, że poczęta pod Genuą znajomość nasza, w Genui się nie skończy... Powiesz mi o sobie więcej, ale przyzwoitość wymaga, abym ja wyznaniem szczerem drogę ci otworzył. Jest to dług, który spłacam zawiązującej się przyjaźni...

Zamilkł i dodał po przestanku:

— Powiedziałem ci już, że jestem Żydem... W tym wyrazie zamyka się poniekąd wszystko, on wypowiada los, on dozwala odgadnąć charakter do pewnego stopnia. Ze znanych przyczyn muszą się rodzić skutki pewne, nieuchronne...

Żyd, nawet dziś, gdy przestał być wygnancem i paryą społeczeństw, jest jeszcze tajemnicą, jest zawsze zagadką. Nosi on na czole przed kilka tysięcy lat wypisany wyraz, na szczególne namaszczone go przeznaczenia, na posłanictwo cierpienia, pracy, upokorzenia, upadku i z otchłani najczarniejszej, dźwignienia się do najwyższej potęgi.. Niedawno jeszcze paryą, dziś jest bezimienną władzą, trzęsącą całym światem, buduje i obala trony... włada rządami, stanowi prawa... rozkazuje niewidomy i... nie wie sam, do czego zmierza, dokąd idzie...

Bądźcobądź, z chlubą powiadam ci. przywiązując do tego wyrazu znaczenie wielkie — Żydem jestem!

Znales Żydów w kraju naszym, ale nie po szerokim świecie, więc tylko jedną cząstkę ciemną jednego rozproszonych obozu..

Żyd dla całego świata długo był wyrazem pogardy: niezrozumiały i niezrozumiany, odłączony i odłączający się od społeczeństwa, stał sam jeden, pragnąc i starając się o jedno... żyć i trwać... obrońcą się napaściom, nie zginąć. Wyznaczony na zagładę, a czując się piastunem wielkiej idei Bożej—usiłował ją przechować w sobie, jako jej naczynie. Świat, który nie dorósł do wysokości jego tysiąc-

letniego męczeństwa, był dlań tak pogardy godnym, jak on pogardzoną istotą dla świata.

Zdeptanie i krzywda, domierzona nam, utrzymały nas i podniosły; jesteśmy wymownym, żywym dowodem siły ducha, wzmagającej się uciskiem, rosnącej wśród najdzikszych, wrogich zapasów...

Dziś powoli rozstępuje się świat przed nami, choć jeszcześmy do rodziny wielkiej narodów z zupełną równością praw nie weszli — jeszcze ona nas, a my jej nie pojmujemy.

Szkalowano w nas wszystko, poczynawszy od nauki, której główne źródło było nam przecie z chrześcijanami wspólnem; nie rozumiano tradycyj naszych, prześladowano za to, żeśmy się wyrzec siebie nie chcieli.

Tych lat tysiące niewoli i niedoli, pogardy, niesprawiedliwości, znęcania, uczyniły dobrych prawie świętymi, złych przerobiły na szatanów. Musieliśmy się bronić. Świat widział tylko złą stronę, którą obróceniu ku niemu, jak lwica broniąca dzieci, pokazywaliśmy i pazury ostre, i krwawą paszczkę.

Przebacz — mówił zadumany Izraelita — zapominał o sobie, mówiąc o Żydach, czując się członkiem tej wielkiej rodziny, na której czole palec Mojżeszów wyrył tajemnicze imię

Jehowy...

Wprzód nim sobą, muszę być Żydem. Z dumą powtarzam: Żyd jestem... w tem słowie skupiają się bole lat tysięcy.

Potem najpierwsze prawodawstwo ludzkości, godne człowieka.

Pierwsza moralność, pierwsza — jeszcze do dzisiaj niedobrze pojęta, idea — niezłomnego, żelaznego prawa, rządzącego światem — prawa pochodzenia Boskiego.

Dziesięcioro przykazań, nadanych na górze Synaj, tablice te wyrażają wielką myśl prawodawcy z ramienia Bożego — że ludzkość cała podlega niewzruszonemu prawu... że każdy czyn człowieka w naturze swej ma zarod nagrody lub kary... której nie odwrócić nie może.

Jak jeden, wiekuisty jest Bóg, tak jedno prawo Jego wieczne...

Pomyślcie, że narodowi naszemu objawił się Bóg jeden i to prawo jedno naówczas, gdy inne błądziły po bezdrożach politeizmu i anonizmu *) (jeśli się tak wyrazić godzi), że myśmy powierzonym sobie mieli piastowanie wielkiej idei, świętego ognia, który przez tysiące lat ani na chwilę nie powinien był wygasnąć.

Tu zatrzymał się młody człowiek zarumieniony i przejęty, i jakby mu się wstyd zrobiło zapалу, z którym wyrzekł te słowa, ciszej już ciągnął dalej:

— Wygnańcy, poszliśmy po ziemi siać ideę Bożą — źle mówię, pielegnować ją tylko... Nie czyniliśmy prozelitów od dwóch tysięcy lat, chowaliśmy nasz skarb dla siebie. Świat szedł, żył, walczył, pracował, a myśmy, zasklepieni nad naszą spuścizną, w niej mieli wszystko...

*) Bezprawia.

Z obawy, z nędzy i utrapienia, tę ideę okryliśmy dziwnymi lachmanami i pstrocizną... to rzecz czysto ludzka...

Znaną ci jest, przynajmniej w ogólnych rysach, historia nasza, od czasu, gdy nad nami chrześcijański świat zawiesił przekleństwo, gdy poczęła nas ścigać potwarz, wszelkiego rodzaju ohydy, prześladowania i katy, gdy nas z rodziny ludzkiej wyłączono za miłość naszego Boga, naszego prawa i naszej ojczyzny. Można odgadnąć te wieki prześladowania, lecz któż je opisać i opiewać potrafi? Wobec tych nieludzkich dziejów, usta ludzkie nie mają wyrazów, głowa myśli - językowi brak dźwięków.

Ale po wiekach ucisku... czytasz jego skutki na nas... myśmy nim napiętnowani wszyscy... Ludzkość uczyniła z nas dzikie zwierzęta, broniące ludzi od napaści: instynkt nas związał w jedno ogromne spójne ciało, które teraz siecią opasało świat cały. Broniąc się, nabyliśmy sił, którychbyśmy nie mieli, gdyby nas nie ścigano... nabyliśmy cnót uciśnionych, pokory dumnej aż do wżgardy, milczenia rozumnego, przybierającego maskę głupoty - jedności nierozzerwanej a niedostrzeżonej, rachuby, jaką wlewa niebezpieczeństwo... poświęcenia jednych dla drugich... W tłumach, obok cnót uciśnionych, wyrobiły się też uciśnionych nałogi, wady... występki.

Wśród ogromu narodów, wśród ruchu tej żywej fali, opływającej nas zewsząd, myśmy oddzieleni, niezmieszani, uchowali się narodem odrębnym,

noszącym swą ojczyznę w piersiach, ze sobą wszędzie: w księdze modlitw, w obrzędzie pobożnym, we wszystkich najdrobniejszych życia przygodach. Do każdej z nich przywiązane było wspomnienie, obchód, modlitwa przypominająca nam Boga, którego usta ludzkie wymówić nie śmieją. i Judeę naszą...

Miliony istot rodziły się i umierały, nie widząc jej, a kochając ją jak matkę, miliony odbywały te obrzędy machinalnie, których ducha ledwie które pokolenie i umysł odgadł. Tak, z prawem Mojżeszowem potrafiliśmy się ostać po dziś dzień.

Donieśliśmy je aż do progu nowej epoki... ale tu, lękam się, niestety, byśmy drogiego nie rzucili brzemienia.

Żydów już się w historii uczyć potrzeba, idea żydowska prawie znikła ze światem, który ją prześladował. Przewędrowałem Europę i uląkłem się o nią—jesteśmy pono strupieszalą także arystokracją Bożą... Boga, zrzuconego z tronu przez obojętność ludzką i prawa obalonego szyderstwami rozumu, który niszczyć tylko umie i wywracać.

Tu znowu przerwał sobie Izraelita, pocierając czoło, dwie łzy jasne miał na powiekach.

— Przebacz - - rzekł — płaczę się, piersi mam pełne, bezładnie z nich płyną uczucia; miałem ci mówić o sobie, a plotę o narodzie naszym... lecz jakże siebie wydzielić z niego, będąc Żydem?

Powracam, spróbuję przynajmniej powrócić do mojego życia i doli.

Urodziłem się w ubóstwie wielkiem... w jednej z tych rodzin żydowskich, rozsianych licznie po wsiach polskich, których przeznaczeniem było ród tylko uchować, powtarzać prawa literę, nie rozumiejąc jej, wypiastować pokolenia przyszłe do losów nieznanych nikomu, prócz Opatrzności.

Znasz, czem było życie Żyda w dawnej Polsce, boś mu się pewnie przypatrywał: wśród społeczeństwa waszego, zorganizowanego dziwnie, zasklepionego w jednej narodu klasie, piastunce idei narodowej, żywota narodu i losów jego.

Całym grzechem tej naszej Polski, którą i ja tak kocham, jak wy ją kochacie, nie to było może, co jej wrogowie zadają, ale jedna ze starożytności, z dziejów, z przeszłości wyrwana idea stara, której w porę rozszerzyć i odrodzić nie umiała.

Nie było rozmiłowanych więcej w godności człowieka i swobodzie narodu, nad Polaków — ale ze ślepotą starych Rzymian, człowieka widzieli tylko w szlacheicu, jemu oddali posłanictwo narodu, a nie domyślali się długo, że prawodawstwo nowe, które Chrystus przyniósł, wszystkich ludzi dopuszczało do wszystkiego, nikogo nie dozwalając czynić ofiarą i podnożem bezwładnem.

Widzisz, że chociaż Żyd, nowego prawodawcę uznaje.

W organizmie starej Polski, na wzór pogańskich państw zbudowanej, szlachcie był apostołem, kapłanem, stróżem ogniska, obrońcą zarazem; on prawo stanowił, tłumaczył, strzegł od zagłady, bronił od napaści i ręką najemnym nie powierzyć

nie chciał... dlatego cała reszta narodu jemu podlegać i służyć musiała.

Była to długa omyłka klasyków, zakochanych w starożytności do balwochwalstwa. Tak ja to sobie, jako Żyd, a Polak, tłumaczę. Polska, jak Rzeczpospolita Wenecka, nie umiejąc się zawczasu zreformować, wołała zginąć, niż szukać nowej życia formy i swobodę drogą oddać straży — wszystkim. Ja — w tem spotwarzonym życiu waszem, jak w naszym własnym, widzę wielkie blaski: sądząc je zimno, łatwo z niego szydzić, — kochając, potrzeba płakać nad tą epopeją przeszłości — epopeją home-ryczną, której ja tylko znam pourywane szczątki.

— Stój! — rzekł młody chłopak marszcząc się — jesteś synem epoki, nie uniewinniaj przeszłości.

— Tyż to mówisz? — spytał Żyd.

— Tak, ja, Polak — odparł Iwaś — alem ja urodził się w czasach, w kraju, wśród idei nowych — przeklinam najpiękniejsze, najświetniejsze naszych dziejów chwile, bo je posadzam o przyczynienie się do zguby naszej...

Patrz — dodał — jak to jest charakterystycznym, potomkowie tych, co stali na straży swobód przez długie wieki, my dziś wszyscy, do jednego, co widzimy w dziejach naszych? z jakiego stanowiska wyrokuje o nich krytyka historyczna dzisiejsza? potępiamy li jedno — to tylko, co wzmocnieniu królewskiej absolutnej władzy stało na zawadzie! Najwięksi królowie, w przekonaniu dzisiejszej generacji, są ci, co się kusili przeciwko szlachcie o skupienie rządu w swych rękach, o wywrot instytucyj

będących żrenicą swobód Rzeczypospolitej! Jedna myśl te pokolenia nowe zajmuje, zaślepia.. zguba kraju. Nie idzie nam o to, czyśmy powierzona nam ideę wykołysali i wykarmili do ostatka, idzie dziś o to, żeśmy dla niej padli ofiarą...

— Masz w tem słuszność—rzekł Żyd—ale boleści dzisiejszej przebaczyć można tę jednostronność sądu. Ja, chłodniej może patrząc na Polskę i jej losy, z tego, com czytał, słyszał i widział, mam jej obraz pełny w sobie, dziwny, straszliwy, dziki czasem, wielki i wspaniały zawsze. Któż więcej nad Żyda miałby prawo sarkać i uskarżać się na szlachtę polską—ja ją zimno rozumiem, tłumaczę sobie i przez rysy dziwaczne, które przeszłość nakreśliła... przeglądam aż do oblicza nadziemskiej piękności...

— Pomówimy więc o tem innym razem—przerwał młody chłopak—ale zaprawdę, jest w tem coś osobliwego, że ja, szlachcie polski, potępiam tę przeszłość, którą ty, polski Żydzie, osłaniasz i bronisz.

Uśmiechnął się Jakób i rzekł:

— Jam dużo starszy od ciebie, bracie mój, zestarzało mnie cierpienie, praca, myślenie... może boleści pokoleń, które we krwi mej noszę...

— Dobrze, ale mówże mi o sobie — przerwał zniecierpliwiony Iwaś.

— Powoli, pomału, ja inaczej nie potrafię — odparł Jakób—będziemy iść po tej kamienistej drodze, jak mineralogowie wśród gór: ilekroć na ciekawą natrafimy skałę, młotkiem ją naszym rozbić

musimy... aby dobrać się jej środka... Czasu mamy dosyć, a na *Aqua sola* przyjdziemy zawsze w porę.

— A! prawda! mieliśmy się tam spotkać z moją piękną wybawicielką. co mi, jak Samarytanin, skroń spaloną zwilżyła...

Żyd się uśmiechnął znowu.

— Tak, tak, z tą Włoszką, która ci czoło oblała wodą, a może serce płomieniem... Ale między wczoraj a dzisiaj, jest przepaść... Któż wie, ilu z nas się znajdzie wiernych słowu, w ogródku na *Aqua sola*?

— Myślisz? — spytał młody człowiek?

— Nauczyłem się już w życiu niewiele rachować na przyrzeczenia, które dopiero we dwadzieścia cztery godziny spełnić się mają, a nie na te, których urzeczywistnienie rozłożone jest na tygodnie.

Ale do wieczora daleko! zobaczymy!

— Oj daleko! Mów dalej — zawołał Iwaś — słońce pali... wyjść niepodobna... słucham!

— Komuż nie miłe choćby boleści młodych wspomnienie? — mówił Jakób. — Zaprawdę, nie pochlubić się ja szczęśliwemi latami dziccństwa... ale mi ich pamięć jeszcze łyż z oczów wyciska i powtarzam, co napisano w księdze Sabbath (152) — „Ucieka ona i nie powraca. Młodość jest kwiatów wieńcem. starość jest cierniów koroną“.

Nawet w porównaniu do dni dzisiejszych, pełnych sił i jasnego pojęcia świata, te lata kwiecisto ku mnie patrzą, choć były bardzo straszniemi.

Rodzice moi, choć pochodzili z rodziny niegdyś znacznej i mającej, od kilku pokoleń wszakże rozrodzonej i podupadłej, zeszli byli na najostateczniejszy szczebel w naszym społeczeństwie, zarobkujących po wicjskich gospodach lichym handlem nieszcześliwego trunku, przyjmowaniem podróżnych i małemi obroty w sprzedażach wołów i zboża. Powiem ci jaśniej — mój ojciec był prostym wicjskim arendarzem, nie bardzo nawet zamożnym. Człowiek to był spokojny, bogobojny, lubiący swe księgi i niebardzo umiejący dozierać ziemskiego interesu, któryby bardzo szedł źle, gdyby go w tem nie wyręczała matka nasza. Była ona drugą żoną

Joela, ojca mego. Pierwszą stracił rychło i nie miał z niej tylko jednego, już dorastającego syna, gdy ja na świat przyszedłem. Joel stary był posepny, milczący, zamknięty w sobie, zadumany; myślał o nieziemskich sprawach i wzdychał tylko nad tem, że się ich rozpamiętywaniu całkiem nie mógł poświęcić. Szanowano go powszechnie z nauki, ale w rodzinie ubolewano nad jego nieudolnością do handlu i robienia pieniędzy, które były u nas kwestyą życia.

Jest i było dawniej u Żydów tradycyjnym obowiązkiem zbieranie grosza, dziwić się temu nie potrzeba. Egoizm ten musiał się rozwinać początkowo nie skutkiem charakteru narodu, ale jego położenia i życia warunków. Żyd długo był istotą wykluczoną ze społeczeństwa, której żadne prawo nie przysługiwało; dawano Żydom przywileje drogo okupywane, ale sądy, rządy, duchowni, władze, w każdej chwili odwołać je, zawiesić, lub całkiem mogli nie spełniać... Gdzież się było skarżyć? komu uzalić?

Żyd szukał opieki, obrony, ratunku w groszu, którego potęgą nie znała ateuszów... było to i jest bóstwo, czczone powszechnie przez wszystkie narody. Musieliśmy skarbić ten grosz, bo w nim zamykało się dla nas wszystko: sprawiedliwość, powolność, względy, laski, poważanie... wszystko to kupować sobie musieliśmy, bo darmo nic się nam nie należało.

Ubogiego Żyda nic nie broniło, prócz gminy, do której należał: chrześcijanie przez wieki znęcanie

się nad nami mieli za jakąś praktykę religijną, za środek nawracania, za zasługę przed Bogiem.

Mszczono się na nas za Chrystusa, który przecież był Żydem, jak my... i przebaczył Swoim nieprzyjaciółom...

Niejednen, co łamał wszystkie prawa swojej wiary, rehabilitował się, sądząc, że dręczeniem Żydów grzechy swoje okupi.

Musielismy więc przywiązywać się do grosza, bo grosz był jedynym wiernym naszym opiekunem i obrońcą.

Mylą się bardzo ci, co utrzymują, że jakieś prawa starodawne, pierwotne, przepisywały nam cheiwość: zrodziła się ona z konieczności. Najpierwsze i jedyne prawo nasze, Mojżeszowe, zabrania najwyraźniej odsetków brać od pożyczonego grosza: — „Jeżeli pieniędzy pożyczasz ludowi memu ubogiemu, który mieszka z tobą, nie będziesz go przynaglał, jako wyciągać, ani lichwami ucisniesz.“ (Exodus XXII, 25.) Przypuszcza wielu, że w Deuteronomie, gdzie jest uczyniona różnica pomiędzy pożyczką obcemu a swojemu, słowa: „ale obcemu“ zostały wciśnięte w interesie handlu Izraelitów z Tyrem i Sydonem. Cytuję ci prawa i muszę dotknąć tej kwestyi, bo żaden zarzut tyle nam nie ciąży, co lichwa i przewrotne środki dorabiania się grosza.

Ale cóż nas uczyniło przewrotnymi?... Ucisk! Instynkt zachowawczy, w miarę zwiększającego się prześladowania, budził do poszukiwania środków obrony wszelkich, jakie były możliwe. Opasano nas

murem, oddzielającym od świata, cóż dziwnego, żeśmy w sobie i dla siebie tylko żyć musieli? Logicznie była to konieczność niewoli narzuconej nam, która wyrobiła, nadała nam ten charakter.

Mówię ci o tem długo - dodał Jakób - bo mi to ciąży.

Tak jest — w cielca złotego uwierzyliśmy, bo on jeden miał siłę kruszenia kajdan naszych, łagodzenia nieznosnej doli. Ale Żyd, zamknięty w sobie dla swoich i w swej gromadce, dla swego rodu i ludu nigdy skąpym i chciwym nie był.

Tłumacząc przeszłość, nie uniewinniam jej. Joel, ojciec mój, nie miał sobie do wyrzucenia, by się cudzem mieniem z bogacił, bo w końcu i swoje dawniej pozbierane postradał. Myśląc o Bogu, zanurzony w poetycznych i mistycznych swych księgach, gardził ziemią.

Wszystkie starania i troski spadały na matkę naszą, znacznie młodszą wiekiem i niespokojną o przyszłość. Jam był najstarszy z rodzeństwa, po mnie szły dwie siostry, brat z drugiej matki dorastał.

Gospodarstwo to nasze wiejskie składało się z dzierżawionej przez nas od bardzo dawna wielkiej gospody na gościńcu, ożywionym i uczęszczanym, w której tylko z naszą młodością usnąć było można, a ze spokojem duszy ojcowskim pracować i myśleć. Matka i dwie sługi zamęczały się pracą, nastarczyć nie mogąc przejezdnym. W istocie byłaby to może dobra dzierżawa, mimo współzawodni-

ctwa drugiej, sąsiedniej karczmy, znacznie lichszej, gdyby nam cokolwiek los sprzyjał.

Ale to, co się zarabiało na wódce, sianie i owsie, nieszczęśliwe handle większe zjadały. Ojciec, nawet we spółkach z najbieglejszymi handlarzami skór i bydła, zawsze najgorzej wychodził. Przyszło do tego, że to przypisywał woli Bożej. Ale matka gryzła się nad miarę... Ubożeliśmy widocznie, zastawiono jej perły, sobole ojca i suknie—co tylko było w domu kosztowniejszego.

Dziedzic dworu i karczmy był szlachcic, którego mało co pamiętani: wyglądał otyły, barczysty, śmiejący się, wesół, miał minę hulacką, był dosyć dobrego serca, ale grosz trwonił straszliwie, potrzebował go nieustannie, marnował niesłychanie, a o jutro wcale nie dbał, byle dziś wesoło przeszło.

Mieliśmy więc z nim biedę, mimo, że niezły był człowiek. Ile razy dano znać ze dworu, że pan Micuta prosi Joela do siebie, matka płakała, bo pewnie nie o co innego szło, tylko o pieniądze.

A tych i u nas nie stawało.

We dworze, położonym o dobre pół mili od owego gościnnca, rzadko się trafiało, żeby kogo nie przyjmowano. Gdy się pan Micuta sam jeden został na pół dnia, już mu było nudno; jeśli się nikt na horyzoncie nie pokazał, zaprzęgano i wyruszało do miłych sąsiadów w odwiedziny. Dobrze człeczysko, śmiejące się, ochocze, ale stary dzieciak ze psuty. Żona jego, jak matka nasza, płakała a płakała, ale poprawić go nie mogła, kochała go z jego wadami. Dla niego skąd wziąć, to wziąć, byle

się wesoło zabawić, a gdy mu ruinę majątku przedstawiano, odpowiadał:

— Ale ba! mospaneńku... więcej ma Pan Bóg niż groźda! Pan panem będzie...

— Takich temperamentów u nas — przerwał lwaś — nie potrzeba było szukać ze świecą... miał pana Micutę podobnego każdy powiat i okolica.

— Bywało — mówił dalej Żyd — gdy po Joela przysła ze dworu z jednej strony, z drugiej sła po matkę moją pani Micucina i pozwawszy ją do siebie, prosi i zaklina, aby mąż jej pieniędzy jegomości nie dawał. Ale jak było oprzecz się panu Micucie, gdy począł ścisnąć, prosić, zaklinać, męczyć, namawiać i przysięgać się... Joel musiał być posłusznym, a cokolwiekby dał, wszystkiego mu było za mało...

Na nieustające bankiety ryb, mięsa, cukru, korzeni, wina, przyborów było potrzeba bez końca; rachunki rosły, kwitki się ściagały na sznurek nieopłacane i nieprzyjmowane w ratach: przychodziło opłacać, wymagano gotówki, przyrzekano procenta, nareszcie Żyd stawał się nieznośnym. bo upominać się musiał.

Jam naówczas ani widział, ani wiedziało tem, co się działo. anim pojmował to położenie: opowiadano mi później. Patrzyłem wielkimi oczyma na świat Boży i dziwnie mi się wydawał. Karczma stała na trakcie ludnym, który był zawsze pełen przejezdnych... przytykała ogrodem do dębowego lasu, gdzie się ja przysłuchiwał gwarowi ptactwa i szumowi drzew starych. — Alem się naówczas

jeszcze nie mógł pokochać w naturze, tłum przepływającego ludu głównie mnie ciekawił. Nie każdemu dziecięciu dano rosnąć w takim gwarze, wśród obcych, coraz nowych, przesuających się tylko i niknących twarzy.

Musialo to podzielać na mnie: ledwie pojmować coś zaczął, wiedziałem już, jak świat był ludny i że ten tłum cały prawie sobie był obcym i nieprzyjaznym... poczułem, że ocierając się o tyśiące, z kilku tylko istot wybranych mam czerpać życie i szczęście.

Świat naprzód objawił mi się, jako nieprzyjazny i złowrogi...

Niewiele też w pierwszych tych latach zwracano na mnie uwagi. matka, na której głowie spoczywało gospodarstwo, rachunki, dom, kuchnia, dzieci, bo ojciec siedział nad księgą, lub dumał modląc się, chroniła od krzywdy, opiekowała się troskliwie, ale pieścić i rozczułać się nie mogła.... Chowałem się, sam już ucząc się myśleć o sobie a instynkt nie gnać się do ludzi lecz całe mi kazał ich unikać. Uczyłem się też przypatrywać im, poznawać, przenikać.

Byłem jeszcze bardzo mały, gdy ojciec nas odumarł po krótkiej słabości. Dzień ten żaloby i jęku nie wyjdzie z mojej pamięci nigdy, głęboko naówczas zapisały się w niej te słowa, które każdy Izraelita obowiązany jest wyrzec, gdy go spotyka cios z ręki Bożej:

— Bądź pochwalony Sędzio Sprawiedliwy!

Nauczono mnie wraz z innemi dziećmi tej modlitwy (Kadysz), którą później w życiu tyle razy powtarzaną słyszałem:

„Niech będzie wywyższone i uświęcone Imię Jego wielkie, na świecie, który kiedyś na nowo odtworzy i wskrzesi zmarłych, i wzbudzi ich do życia wiecznego, odbuduje gród Jeruzalem, w nim wystawi przybytek Swoj, zgładzi z ziemi służbę obcych bogów i wprowadzi w siedlisko Swoję służbę Nieba, by panował Święty, Błogosławiony On w Swojem Królestwie i Swym Majestacie...”

Jakób wzruszony zamilkł, a Iwaś mimowolnie szepnął:

— Piękna i wspaniała ta modlitwa wasza...

Ale Żyd nie nie odpowiedział, dumał i płakał. nareszcie, jakby przebudzony, jął opowiadać znowu:

— Znikł nam z oczów starzec, pozostaliśmy sami, sieroty: zdawał się nieczynnym za życia, po jego śmierci srodze go nam zabrakło. P. Micuta oddał gospodę innemu, bez względu na prośby matki, myśmy się przenieśli do małej, lichej karczemki przy młynku, w ciszę lasów głęboką.

Mnie dziecku było tu lepiej, ale tu poczęła się prawdziwa nędza, której tylko dzieci mogły nie poczuć z razu. Po nieustannym gwarze tamtej gospody, przepelnionej dniem i nocą, tu całe dnie, oprócz zajeżdżających z rzadka do młyna ludzi, nikogo widać nie było. Młynek stał przez pół roku, bo staw latem prawie całkiem wysychał: naówczas maleńka baryłka wódki starczyła nam na miesiące.... Dokoła szumiał smętny bór sosnowy,

a droga wązka i kręta porastała trawą. O ehlebie razowym, o nędznej strawie, do której ogród dostarczał zapasu, żyliśmy w tej pustyni. Matka coraz częściej płakiwała. Posyłała ona do dalekich krewnych ojca, do swoich, nikt się nie zgłaszał... Chodziliśmy w łachmanach. Trapiło ją to najwięcej wszakże, iż dorastałem wieku, w którym koniecznie uczyć mnie było potrzeba, a nauczyciela dostać nie miała za co, oddać mnie tak młodo do miasteczka, serce jej macierzyńskie się wzdragalo.

Pamiętam, że zostawiwszy nas troje ze służą i ubogim Żydkiem z miasteczka, pojechała wreszcie na kilka tygodni i przybyła potem nieco uspokojona, całując mnie w głowę—i powtarzając:

— Ciesz się, ciesz się, będziesz miał nauczyciela.

Tak mało rozumiałem te obietnice, że daleko naówczas więcej cieszyłem się przywiezionym przez matkę obwarzankiem, który mi właśnie oddała.

Wiesz zapewne, jaką wagę Izraelici przywiązują do wychowania dzieci; nie idzie im w niem, a przynajmniej nie szło dawniej, o nie więcej, tylko o to, by wpoić zawczasu prawo, zakon narodu, jego tradycye, to co nas czyniło nami.... Wedle nauk naszych rabinów, w pięciu już latach musiał się chłopiec zacząć uczyć Biblii, od dziesięciu Miszny, od trzynastego prawa Bożego, od piętnastu Gemary.

Widząc uśmiech na ustach Iwasia, Jakób przerwał opowiadanie swe na chwilę.

— Domyślam się—rzekł—z czego się śmiejesz; Talmud, Misznah i Gemarah przez ludzi płochych, a nam nieprzyjaznych, zostały obrócone w pośmie-

wisko. Znacie je tylko ze strony dziwacznej, powierzchownie, ze słuchu, nie wnuknęliście nigdy całkiem w ich ducha... pozwólcie sobie powiedzieć, nie wicie nawet, co to właściwie jest. Nie mogę więc pominąć wspomnienia o tych księgach, abym cię choć pobieżnie nie objaśnił o nich.

A naprzód wiedzieć masz, że Talmud jest niczem więcej, tylko wielkim skarbem spisanych późno i różnie tradycyji narodowo-religijnych. — Nie jest to księga systematyczna, jest to zbiór niepowiązanych z sobą i nieułożonych nawet w pewien porządek logiczny traktatów, częściej dysput, rozwiązywanych przez różnych uczonych i świętobliwych mężów trudności—najsprzeczniejszej treści. Cała ówczesna wiedza Żydów, to jest z przed IV wieku waszej ery, gdy prawdopodobnie spisano te księgi, mieści się w tym ogromnym zbiorze bezładnym... w tej encyklopedyi żydowskiej. Trzeba w sądzie o tych księgach wziąć wszystko w rachunek, co ich spisywaniu i tworzeniu się towarzyszyło. Obawiano się uronić najmniejszą cząsteczkę ze skarbu narodowych tradycyji, zbierano więc jak zbiera ten, komu się na ziemię kosztowny proch rozsypie, zgarniając wszystko, nawet piasek i kurzawę, aby nie uronić. Tak w traktatach tych zgromadziło się wiele dziwaczного, poetyczne wymysły dzikie, fantazye rozgorączkowanych samotnemi rozmyślaniami głów, ale też wiele i przewiele istotnych skarbów. Zdziwilibyście się, gdybyśmy wam w okrzyczanym owym Talmudzie znaleźli najglówniejsze prawdy wiekniestej moralności,

najgłębsze pomysły, do których wieki owe nie zdawały się jeszcze dojrzałymi...

Znajdzie się tam zapewne i wiele rzeczy dziś dla nas niezrozumiałych, a swojego czasu niebezpiecznych. W narodzie rozproszonym i prześladowanym, często wiele ukrywać musiano, osłaniać, aby celu jakiegoś dopiąć, nawet przez tych, co go świadomi być nie mogli.

Dla tłumów, słuchających litery prawa ślepo, ta litera często się i mistycznie odziewać, i surową do zbytku, a straszną ukazywać musiała, aby była usłuchana i trwała.

Nie łatwiejszego nad wysmianie rzeczy niezrozumiałych; nie zaszczytniejszego nad rozplątanie węzła, który myśl ich kryje.

Szło o to przedewszystkiem, aby Izrael w rozproszeniu sobą pozostał: — mnożono przepisy, trudności, zastrzeżenia aby go odosobnić i oddzielić; to jedno już wiele niezrozumiałego tłumaczy.

Śmiesznym dla was obrzędem winniśmy, że pozostaliśmy sobą i nie znikliśmy z oblicza ziemi, wsiąklszy w gromady narodów.

Poszanowaniu nawet niezrozumiałej litery praw naszych zawdzięczamy wiele.

Ale dość. powracam do mojego nauczyciela... Pomnę, jak dziś jego przybycie... Stałem u drzwi karczemki, gdy uboga furka wieśniacza wyrzuciła u naszego proga coś, co nawet na człowieka z razu nie wyglądało. Była to istota połamana, pokrzywiona, drobna, chuda, żółta... jakiś potwór prawie, straszny i śmieszny zarazem.

Na przegiętem ciele, które od pochylenia nad księgami ciąglego już się tak skurczyło, iż wyprostować się nie mogło; na piersi wklęsłej,—sterczała głowa wielka, o wypukłym czole, z ogromnemi, wysadzonemi silnie na zewnątrz oczyma czarnemi. Oczu tych wyraz dziś mnie jeszcze przeraża, gdy go sobie przypomnę. Zdawały mi się patrzeć, a nie widzieć nic, póki nie spoczęły na księdze; świat się w nich nie odbijał i one go nie pojmowały.

Skóra żółkła, pofałdowana dziwacznie, oblekła potworną twarz, osłupiałą, jakby obłąkaną, bo myśl, co ją ożywiać była powinna, cała gdzieś wewnątrz uciekła.

Kulawy na jedną nogę (miał ją podkurczoną i wykrzywioną) szedł ciężko nawet o kiju, podskakiwał raczej niż chodził.

Tak wyglądał pierwszy mój belfer, przywieziony z miasta, znany w okolicy ze swych talentów pedagogicznych Mosze... Nie rozumiał on wiele w tej księdze praw, z której nas czerpać nauczał, ale był niesłychanej pamięci i biegłości w literaturze ksiąg zakonu, w Kabale, Biblii i Talmudzie. Całe ustępy z nich umiał na pamięć i mógł je powtórzyć, nie zmieniając najmniejszego akcentu, nie opuszczając litery. Życie jego upływało na żmudnem nauczaniu dzieci i na doskonaleniu się własnem, świat go nie obchodził wcale, żył cały w przeszłości. Nigdyby może za niewielką zapłatę nie był się przeniósł do nas, gdyby go nie zwabiły liczne księgi, pozostałe po moim ojcu, których dwa kufry przewieźliśmy z sobą. Było ich więcej niż sukien i sprzętu.

Mosze w zachowywaniu ścisłym drobnostkowych przepisów obrzędowych, religijnych, zabobonnych, ale tradycyjnych, był niesłychanej surowości. Była to chodząca księga, w której duch, bez samowiedzy o sobie, bez poczucia nawet jej potrzeby, mieszkał i poruszał się, dźwigany jakimś instynktem.

Surowszego nauczyciela wymarzyć niepodobna; przyjąwszy raz obowiązek, spełniał go z nielitościwem, bezmiłosierdnem okrucieństwem. Nagle z zupełnej swobody, jakiej dotąd używałem, przeszedłem do takiego ślęczenia nad księgą, że mi z razu sądził, iż umrę lub oszaleję. Ale potrzeba mi było bodaj skonać, a nauczyć się być Żydem. Mechanicznie wbijano mi w głowę słowa, ustępy księgi całe, powtarzaniem ich bez końca... a każdy przydech, od którego zależało znaczenie wyrazu, musiał być najściślej wyuczony, wyśpiewany... Pomimo tej brutalnej metody, umysł mój, smagany nieustannie, drgnął, otworzył się, począł poruszać się i pracować.

Nie wiemy, jaki wpływ ma na umysł dziecięcia długie kształcenie się pokoleń, których ono jest potomkiem, w jednym kierunku i długie przekarmianie ich jedną strawą, to pewna wszakże, iż mi się zdało, poczynając czytać Biblię i uczyć się dziejów mojego narodu, jakoby mi się po długim śnie przypominał.

Po przełamaniu pierwszych mechanicznych trudności—począłem chętnie rwać się do nauki, sam Mosze był zdziwiony; a choć w jego systemie pochwała dziecięcia i podbudzenie go bodźcem łago-

dnosci nie było dozwolone, stał się, jeśli nie la-skawym dla mnie, to coraz powolniejszym. Gniewało go tylko, gdym chciał tłumaczenia i usiłował wszystko zrozumieć, żądając co chwila objaśnień. Naowczas zniecierpliwiony bił mnie po głowie pal-czka, którą pokazywał litery, jakby z niej wybić chciał tę dumę przedwczesną i lajał, zżymał się, zakazując mi rozumem świętych dotykać rzeczy. Przywodził mi często przypowieść z księgi Chulin, którą pamiętam...

— „Chcę widzieć Boga waszego—mówił cesar rzymski do Rabbi Jehoszua.

— Panie -odparł mędrzec—żadne oko smier-telne blasku oblicza Jego nie wytrzyma..

— Nie wytrzyma? Spróbujmy! Chcę Go widzieć.

— Chcesz?—rzekł mędrzec.—Dobrze -idź więc za mną.

A była to pora najskwarniejsza roku i godzina, w której słońce piekło najgoręcej. Mędrzec powiódł cezara na odkryte pole, wskazał na słońce i rzekł:

— Cezarze wielki, spojrz na nie.

— Jakto, w słońce? — zapytał zdziwiony Rzy-mianin. - A któż wytrzyma blask słoneczny?

— Cezarze, nie możecie więc blasku słońca wytrzymać, słońce jest przecie tylko jednym z nie-zliczonych sług Bożych... Nie mogąc wpatrzeć się w oblicze jednego ze sług Pana, chcieliżbyście oglądać blask Jego Samego twarzy śmiertelnemi oczyma?“

Mosze mówił mi też często, zachęcając do nauki, że świat, wedle nauki Rabbimow, stoi na od-

dechu ust dziecięcych, uczących się prawa Bożego... a nie na rozumach mędrców...

Śmiejcie się z tego, jeśli chcecie, dla mnie te legendy i przypowieści niezmierny urok mają.

— Są one piękne—rzekł Iwaś ale ten wasz Mosze kuternoga jakoś mi niemiło wygląda...

— Poetyzować ci go nie myślę—odpowiedział Jakób było w nim aż coś dzikiego przez zbytnią surowość. Sluga mojej matki, często ją nawet, jeśli ściśle nie zachowywała przepisów w małych rzeczach, gromił i karmił, grożąc jej, że się z domu Meszumodimów wyniesie.

Zgorzknęły, znękany, sfanatyzowany, Mosze był postrachem dla wszystkich; lecz gdy mu chwilami przychodziło natchnienie, wydawał mi się istotnie wielkim.—Nie był on w stanie nie nigdy stworzyć własnego, ale z tysiąca wyuczonych rzeczy dobierał najpiękniejszą, wypowiadał ją jakby swą własną z przejęciem i często wyegzaltowany płakał, unosił się, miotał do szaleństwa.

Gdy mu przyszło czytać o boleściach Izraela, łzy płynęły strumieniem, ryczał z bólu, zawodził, nie czytał już, ale piał pieśń jakąś dziwnemi głosy, aż na głowie powstawały włosy i dreszcze przebiegały skórę, tak się on tą przeszłością straszliwie przejmować umiał, tak słowo to z przed lat tysięcy żywo odbzmiewało w jego duszy.

Jeśli zachodziła jaka trudność w rozwiązywaniu kwestyi obrzędowej lub prawnej, Mosze nie był przywoływany aby sądził i rozstrzygał; Rabbini znali go za nadto, by mu nadali tę władzę; ale

posyłano po niego, sprowadzano i stawiano w kacie, by służył za rejestr i skazówkę do ksiąg zakonu. Wskazywał im miejsca, przytaczał teksty, z taką ścisłością, iż można ich było nie sprawdzać; nikt podobnej nie miał pamięci.

Masz więc mojego pierwszego nauczyciela wizerunek, niepochlebny ale wierny; pod nim przeczytałem pierwsze księgi Biblii, a raczej je z nim przepłakałem. Był tak sumienny, iż znalazłszy we mnie zdatność, sam matce doradził, aby się ze mną do miasteczka przeniosła dla dalszego mojego kształcenia.

Dzięki jemu, w latach trzynastu mogłem, wedle obyczaju naszego, publicznie przeczytać w synagodze rozdział Pisma i być zaliczonym, jako człowiek dorosły, do liczby dziesięciu wymaganej w świątyni, aby zgromadzenie uważało się za pełne.

Ubogiej matce naszej przeniesienie się do miasta było bardzo trudnem, ale od niego zawisł los dziecięcia... musiała myśleć o niem. Jakkolwiek przy młynku biedne bardzo było życie nasze, nędzę cierpielismy i niedostatek wygod, w każdym razie mieliśmy dach bezpłatny, las pod bokiem i trochę warzywa z ogrodu prawie darmo. W mieście wszystko, nawet wodę, kupować potrzeba. Z czegoż żyć, co począć? jak się ze trojgiem dzieci wynieść tam i utrzymać?

Właśnie w porę, gdy matka nad tem głowę łamała, starszy mój przyrodni brat, już mający chleba kawałek, acz nie wielki, i żyjący z handelku skó-

rami w lichej mieścinie, przyjechał do nas w odwiedziny.

Był to wypadek niespodziany, a w naszym życiu znaczący, bośmy go od bardzo dawna nie widzieli, równie jak innych krewnych. — Brat miał już lat około trzydziestu, ale oddawna był żonaty: posag żony i jakaś część spadku po ojcu naszym, stanowiły pierwszy fundusz jego, z którego dorabiać się począł. Żył naprzód, wedle obyczaju, rok na koszcie rodziców żony swojej, którzy się ich oboje utrzymywać obowiązali, potem osiadł osobno i ostrożnie, powoli, handel rozpoczął.

O ile ojcu się naszemu nie powiodło, o tyle jemu szło nader szczęśliwie. Początek ten wzmógł w nim odwagę: oszczędny, chłodny, ostrożny, całe swe siły wyteżał na zarobek, był to dlań jedyny cel do życia, ale już czuł, że osiągnąć go będzie zdolnym. Ubogi jeszcze, śmiało już jakoś spoglądał w przyszłość.

Przybycie jego, tak pożądane, cały dom poruszyło; był też to, jak się zdaje, wypadek wielki. Zelmann nie przyjeżdżał z własnej woli, ani z jakąkolwiek od siebie ofiarą, był jeszcze za ubogim sam, aby nam mógł świadczyć; przywoził wiadomość długo oczekiwaną od krewnych matki, którzy nareszcie, jej biednym stanem wzruszeni, przysłali jej niewielką pomoc na początek jakiegoś handlu w miasteczku, aby z niego mnie i siostry wychowywać mogła.

Wiadomość ta rozradowała ją niezmiernie i dom nasz napełniła weselem; matka płakała z ra-

dości, my, dzieci, niedobrze rozumiejąc o co chodziło, posmutniałyśmy z razu dowiedziawszy się, że młynek opuścić przyjdzie, choć wprędce potem ucieszyłyśmy się obiecanem życiem w miasteczku.

Przyjęto starszego brata jak tylko było można najlepiej, matka naprzód radzić się go zasiadła, jakimby sposobem mały swój kapitałik zużytkować mogła.

Bratu potrzeba było handel swój powiększyć i rozszerzyć; stało więc na tem, że matkę przyjąć miał do spółki, i że w drugiej połowie domu, przezeń zajętego, stanąć mieliśmy i zamieszkać.

Wszystko to dokonało się bardzo szybko, a nazajutrz niecierpliwa matka nasza posłała już najmować furmanki, aby się z karezemki pocać wynosić.

Z tą chwilą rozpoczął się drugi peryod mojego życia.

Widzisz — dodał Jakób — że w dzieciństwie na różach kołysany nie byłem, żem i ja cierpiał, a cierpienie to było słońcem, które przyspieszało dojrzałość. Z tych lat zostały mi tylko mgliste wspomnienia, po większej części przykre i bolesne: wspomnienia upadku, pracy, tej nieszczęsnej walki z głodem, z zimnem, z siłami nieprzyjawnymi natury, z niechęcią i wzgardą ludzi, która odbiera ochotę i moc podniesienia się człowiekowi nad poziom nędznych potrzeb jego ciała.

Poetom, a raczej tym, co poetów udają, dawno dozwolono i stan natury idealny wychwalać, i na materializm narzekać... ale niestety! — przypatryw-

szy się życiu z blizka — jakże ono zależnem jest od cielesnego bytu, od pewnego zabezpieczenia pierwszych potrzeb, od wszystkiego, co ułatwia byt materialny, co życie łatwiejszem czyni.

Człowiek, już wykształcony, może wytrwać w walce z naturą, z nędzą, — nie tracąc na duchu; ale podnieść się wprzód z trosk powszednich, pod ciężarem tego codzien staczającego się syzyfowego kamienia, do wysokości jakiejś... niestety!! jakże trudno!! jak prawie niepodobna! Winniśmy materialnym zdobyczom cywilizacyi możność pracy duchowej, to nie ulega wątpliwości — gardzić więc podniesieniem materialnego bytu, jest zabijać w nim postępy umysłowe, którychby się stał pomocnikiem...

Pracuje może na to jedna połowa ludzkości w pocie czoła, aby druga rozmyślać mogła.

Powiesz może, że rozumiuję i dowodzę jak Żyd ze stanowiska żydowskiego; ale w tej chwili zszedłem z niego; mówię tylko to, o czem jestem przekonany jako o niezłomnej prawdzie.

Życie w małym miasteczku, co do wygod. le-dwie się od wiejskiego naszego różniło, ale tu całkiem odmienny przybrało charakter. Z tych czasów, mało dla mnie pamiętnych, gdyśmy jeszcze na wielkiej karczmie siedzieli u gościńca, o ludziach przesuwających się jak widma, codzien nowych, codzien innych, a zawsze prawie do siebie podobnych, nie zostało mi nic w duszy, prócz jakiejś obawy i prawie wstrętu... W miasteczku także silniejszy nas tłum otoczył, nasza społeczność żydowska zwię-

kszyła się bardzo, bo w znacznej części miejscina była nami przepelnioną.

Mieliśmy tu i synagogę okazańszą, której widok wielkie na mnie zrobił wrażenie, gdyż dotąd bywałem tylko w ubogich, małych, wiejskich domach modlitwy. Tu lepiej mogłem się przypatrzyć ścisłej zachowywanym obrzędowi religijnym, uroczystemu obchodowi sabatu, tego dnia, który nas, Żydów, odrywa od świata, zbliża do Boga, a wspomnieniem przenosi do utraconej ojczyzny...

Ileż się to naśmiano z tych naszych obrzędów, z ich drobnostkowych przepisów i ostrożności... a przecież ileśmy to winni dusznie tym regularnie powracającym dniom rozmyślenia, modlitwy, zerwania z zatrudnieniami, pracą, troską, a zbliżenia się duchem do Stwórcy...

Wszystkie te nasze obrzędy pieczenia chleba, którego częśćka ofiarna zostawuje się dla ubogiego, przygotowywania stołu, tej uczty rodzinnej, przeplatanej ciągłą modlitwą... tego błogosławieństwa wi-na... przypominają patryarchalne czasy świata... kiedy Bóg mieszkał z nami i przytomny był między ludźmi...

Dzis — dodał Jakób — i wy, chrześcijanie, i my, Żydzi, nadto wygnaliśmy Boga i zapomnieliśmy o Nim. Bogiem wieku jest Jego ręką ulepiony, lichy i mały, ale dumny i zarozumiały — człowieczek... Antropolatria wiarą świata...

— W domu brata — mówił po chwili dalej — cała nasza rodzina stanowiła już jakby jedną — on był

jej głową. Kobiety wspólnie przygotowywały ucztę wieczorną i jutrzejszą, chleby i pokarmy.

Gdy miała nadejść godzina wspólnej modlitwy w szkole, posługacz stary drewnianym młotkiem dawał znać stuknięciem trzykrotnem w okienicę domostwa: szliśmy w świątecznych ubiorach do domu modlitwy, z naszymi księgami pod pachą... Synagoga był to stary, sklepiony, o krużgankach i galeryach budynek, który w końcu XVI wieku wzniosła ludność izraelska miasteczka, opłaciwszy się dobrze dziedzicowi. Był nim naówczas bardzo gorliwy katolik, książę K... Przedtem mieli tylko Żydzi stary, a lichy budynek drewniany, w którym się zbierali na modlitwę, w czasie burzy i wichru czując trzeszczenie dachu nad sobą: napróżno prosili o pozwolenie zbudowania nowej synagogi... Szcześciem dla nich, nadeszła wojna, potrzeby pieniężne gwałtowne, a książę zmuszony został sprzedać plac i wydać Żydom przywilej, pozwalający murować szkołę nową. Podania miejscowe mówiły o prawie bajecznej sumie, którą to pozwolenie okupić musieli. Mieli jeszcze później trudności nowe, gdy się gmach podniósł i dach z daleka począł być widocznym. Kazano im bowiem zniżyć go i gwiaździste gałki porzucać, ażeby synagoga poważniej i okazaiej nie wyglądała nad inne budowy sąsiednie.

Wysilili się Żydzi okoliczni na tę poważną, ciemną, ale wcale piękną strukturę, w której nieco stylu gotyckiego w sklepieniach pozostało. W oczach moich wydała mi się niemal świątynią Salomona... tak dla mnie wyglądała wspaniale... Zgromadzenie

w niej prześladowanych, modlących się do swojego Boga, językiem starym... na mym umyśle dziecięcym zrobiło nadzwyczajne wrażenie.

Modlitwa wspólna...

To mówiąc, spojrział Jakób na swojego towarzysza i spostrzegłszy uśmiech na jego twarzy, westchnął, przerywając mowę:

— Tak! — rzekł smutnie — i wy już nie rozumiecie modlitwy... to choroba wieku! Wynaleźliście nawet teorię *ad hoc*, że kto pracuje, ten się modli... Prawda, praca jest miłą Bogu, jest spełnieniem obowiązku... ale co innego praca, a co innego modlitwa.

Przerywam na teraz, o tym przedmiocie nie mówiąc więcej, bo Żyd nie nawrócę chrześcijanina, aby się modlić nauczył... choć złe jest, że Żydzi i chrześcijanie staliśmy się wszyscy ateuszami i zerwaliśmy dobrowolnie ten związek mistyczny, który łączył Stwórcę ze stworzeniem. Dlatego nam dziś wszystkim na tym świecie tak pusto, zimno i straszno... Wracam do mojej młodości.

Chciwie porwałem się do dalszej nauki, znajdowano, że miałem pewne zdolności, ja czułem tylko w sobie jakby ogromne, niczem nie ugaszone pragnienie. Księgi Starego Zakonu cudowną mają władzę rozwijania dziecięcego umysłu: są one dziejami dziecięctwa ludzkości, wypowiedzianymi natchnionym, a pełnym prostoty językiem, dlatego i pokarmem dziwnie stosownym dla młodzieży. Ich poezya rozplamienia, roztwiera dalekie przestwory wyobraźni, ich siwy rozum otwiera umysł powolnie

i stopniowo. Ale pogląd na świat jaki z nich czerpiemy, jest tak wysoki, z góry tak obłoczysty, tak wzniosły, że się nim dusza napawając nie uspokaja, chce więcej, chce widzieć bliżej i czuje, że wstąpić powinna na wyżyny, aby oglądać to, co w złotych snach tylko postrzegła i przeczuwała.

Dodaj do tego, ksiąg talmudycznych podania i legendy, nieznane wam, a poczyj pełne...

Miasteczko nasze nie było jednym z najpiękniejszych w kraju, w którym miasta wogóle nie mają takiego życia, jak zagranicą, nie było nawet zbyt ożywionem, z wyjątkiem wielkich jarmarków i dni świątecznych, ale nie liczyło się do ostatnich... Przetrzymał je gościniec dość uczęszczany. Ludność jego pomnożona była szkołą niedawno założoną; garstką duchowieństwa, uszczuploną prześladowaniem katolicyzmu, przy wspaniałym niegdyś kościele; zarządem majątności ogromnych, które stanowiły jedną całość z miasteczkiem; wreszcie kilku urzędnikami rządowymi. stanowiącymi postrach ludności, gdyż ich bez ustanku opłacać i dawać się im odzierać było potrzeba, aby mniej dokuczliwymi uczynić.

Z temi wszystkimi rozlicznymi rodzajami ludzi, z którymi wedle ich kast i chrakterów coraz inaczej obchodzić się było potrzeba — oswoić się musiałem — poznając różnaitość świata... i stosunków.

Byli ludzie, których prawo i zwyczaj nakazywały omijać; inni, którym należało oddawać uszanowanie z dala, z bliska, różnie ustopniowane: od których trzeba było uciekać...

Żyd wogóle wszystkich, aż do stróża urzędniczego, sług i żon tych panów, pokorą i datkiem ujmować sobie musiał.

Nie zrozumiałem rychło, dlaczego my, naród wybrany przez Boga, w takiej zostawaliśmy poniewierce

Po Biblii rozpocząłem stopniowo naukę tradycyi, zawartych w różnych traktatach Talmudu: tu spotkałem mnogie trudności i szkópuły, które rozwijający się rozsądek niełatwo mógł pokonać. Inaczej na to wszystko dziś patrzę; naówczas byłem zdumiony tą poezią dziwaczną i temi niezrozumiałemi przepisami. Umysł mój dziecięcy pracował już, dorabiając się sił w tych zapasach, Biblia podnosiła go wysoko; niektóre księgi Talmudu prawie całkiem znajdowałem niezrozumiałemi, zagmatwanemi, dziwaczniemi... Widzisz, że jestem prawdomówny i że ci się z mych wrażeni spowiadam wiernie. Uderzało mnie to, że Talmud, dzieło człowieka, daleko stał niżej i poezią, i treścią, i formą, i duchem od Biblii, księgi natchnienia Bożego.

Wszakże i tu wśród ciemności jasne przepływały strumienie światła.

Byłem w tej dobie niecierpliwego rozwijania się umysłu i wątpliwosci rodzących się co chwila, gdy jednego wieczora, powróciwszy od nauczyciela z książką pod pachą, a głową rozmarzoną i tęskną, zastałem w domu jakiś zamęt wielki.

Przestraszyłem się z razu, przewidując jakieś nieszczęście, lecz po twarzach wkrótce wyczytać mogłem, że wypadek ten dziwny wcale nie musiał

być przerażający. Krzątano się tylko jakby na przyjęcie osoby wielkiej i znaczącej: matka popchnęła mnie do alkierza, zalecając, abym się co prędzej ubierał od święta. Brat już był przywdział szabasowy strój swój: na stole stała wódka, w miodzie smażone konfitury, piernik, bułka, a nawet butelka jakiegoś wina...

Z wielką trudnością wśród tego zamętu przyszło mi się nareszcie dowiedzieć, że ten, którego tak uroczyście przyjmować miano, był stryjecznym bratem mojej matki, niezmiernie bogatym kupcem z Warszawy: że przyjeżdżał, jak się zdawało, aby o moim przyszłym stanowić losie.

Matka drżała.

Wyobraziłem sobie w mej głowie dziecięcą poważną jakąś postać, z długą brodą, w szatach biblijnych, patryarchalnie poważną; anim się spodział gdy wpadł, bardzo żywo biegnąc, ktos, kogo wziąłem za chrześcijanina i uatręta. Ubrany nie po naszymu, w okularach, z cygarem w ustach i krągłym kapeluszu, człowiek niemłody, nieco szpakowaciejszy, o rysach wydatnych, oczu czarnych, cały ogolony, dość zażywny i otyły, wyglądał mi na *goima*.

Wpadł jakby się niezmiernie spieszył, niewiele na nas zważając, do ubogiego domku naszego, z miną dosyć pogardliwą i zniechęconą... Powitał nas zakłopotany, nieco zawstydzony, dość chłodno i siadł bez ceremonii na pierwszym miejscu, zakładając noga na nogę.

Gdym się przekonał, że to był oczekiwany nasz krewny, uderzyło mnie to i zgorszyło niemało, że tak był do *goima*, jak wówczas mówiłem, podobny i wcale żydowskiego nic, prócz charakteru twarzy, nie miał.

Matka kazała mi podejść i w rękę go pocałować: popatrzył na mnie, wziął mnie pod brodę, potem potrząsł uśmiechając się moimi łeczkami i dał pstryczka w jarmułkę, którą nosilem, zajrzał w oczy, które w niego wlepiłem ciekawie i jakby na znak zadowolenia, puścił mi w twarz kłęb dymu. Potem, pomilczawszy trochę, odczwał się po niemiecku.

— No... trzeba będzie z niego zrobić człowieka!

Wszyscy, choć podrażnieni, słuchali wyroczni z pokorą, był bowiem niezmiernie bogaty i cały nasz los od niego zależał.

— No, cóż myślicie — dodał zwracając się do matki—co myślicie? Jaby'm go pokierował, ale nie po waszemu pewnie...

I począł szybko, odwracając się do Zelmanna:

— Dosyć już jest Żydów w tych małych handlach, po wsiach, po karczmach, wszystko się to marnuje, a wiecie czemu?... oto, że się nic nie uczymy...

— Jakto?—przerwał Zelmann —wszakżeśmy go uczyli i dotąd uczym jeszcze, chłopiec już czyta Gemarhę...

— A! ah!—ruszył ramionami bogacz—na co jemu ta Gemarh? co on ma robić z Gemarhą? czy

wy go myślicie kierować na rabbina? Nam teraz potrzeba cisnąć się wszędzie, a nie zamykać w ciasnem kółku... Po co te pejsy? na co ta jarmułka? to wszystko zabytki średniowieczne! Casy prześladowania przechodzą, świat się dla nas otwiera, myśmy powinni być gotowi objąć wszystko, zając stanowiska ważniejsze... Żyd ma rozum, uczyło go kilka tysięcy lat prześladowania i nieszczęść, tego rozumu... ale on jest! Dla czego nie ma wchodzić tam, gdzie dotąd wchodziłi tylko uprzywilejowani chrześcijanie. Casy przywilejów zamknięte.

Czemu nie ma uczyć się ich nauk? czy przez to nie może w duszy pozostać Żydem?

Na tę mowę, mimo poszanowania dla bogacza, i matka moja, i brat, zamilkli zafrasowani, sprzeciwiało się to ich tradycyjnym wyobrażeniom i nawykniom. Nie zważając na zakłopotanie nasze, mówił dalej:

— Powinien pamiętać, że jest Żydem, utrzymać swój zakon w głębi serca, ale uczyć się i iść w świat na równi z innymi ludźmi, jak czynią Żydzi zagranicą... no, i w Królestwie już przecie... Jemu dobrze z oczów patrzy—dodał—on Izraelowi wstydu nie zrobi, ja na wychowanie dam, ale go potrzeba do szkół chrześcijańskich oddać... Na początek może chodzić i tutaj, potem odeślecie go do mnie... ja nim sam pokieruję.

Matkę serce zabolalo znać o wiarę swoją, obawiała się, bym ją nie postradał.

— A!— rzekła po cichu, nieśmiało—wyście opiekunem i dobrodziejem naszym, ale wy wiecie, tyłu

tam z naszych porzuciło wiarę i stali się tymi ludźmi, którymi zarówno pogardają Żydzi i chrześcijanie; niech on zostanie z ojcami swymi.

A dlaczego nie ma zostać? — odparł bogacz—ale wolicież go z tej obawy dziecinnej widzieć nienkiem, ubogim, w lachmanach i tej nędzy, w jakiej wy żyjecie, czy takim, jak ja? Widzicie przecie, że Żydem dlatego jestem, że do szkoły chodzę, że zakon trzymam, choć może nie tak ślepo jak wy...

Cała ta rozmowa wbiła mi się dobrze w pamięć: stanowiła ona o losie mojego życia, stokroć ją powtarzaną słyszałem przez matkę.

Właśnie na te słowa nadszedł, dowiedziawszy się o przybyciu z Warszawy naszego krewniaka magnata, ten, który był wyrocznią Żydów w miasteczku, stary Abraham Machnowiecki.

Mamże ci ten typ skreślić jeszcze, czyś się już może znudził słuchając?—spytał Jakób.

— A! nie! nie—odpowiedział Iwaś—mów, ja zaciekawiony słucham, choćbyś mi dwa i trzy dni miał prawić.

— Zawahałem się—mówił dalej Jakób—bo figura Abrahama jest i była u nas dosyć pospolitą i przyjdzie mi może wspomnieć niejedną do niej podobną w ciągu mej biografii—a przyznam ci się, że mi o tem wszystkiem mówić miło. Roztaczam te wspomnienia przed sobą, równie jak przed tobą. Stary to, spłowiwały ów kobierzec bajki wschodniej, który, gdyś na nim usiadł—w obłoki cię unosił.

Mówmy więc o Abrahamie. Był to Żyd stary—Żyd polski, powinienbym powiedzieć Żyd Polak, chociaż on sam nie miał wyraźnego pojęcia tego synowstwa, które Mickiewicz z poetycznem uczuciem odmalował w Jankielu, on, co przywiązanie do kraju nawet w Żydzie ocenić umiał.

Abraham był uczciwym i bardzo rozsądnym człowiekiem, istnym typem polskiego Żyda, który się ogromnie różnił od innych Izraelitów reszty Europy. Niewątpliwą jest rzeczą, że obyczaj oddziałał i na nas na tej ziemi, w której wszystko życie było czynem. Od czasu, jak się ono w złociście przerobiło słowo—stało się martwym, ręką artysty wydłutowanym posągim.

Abraham, acz Żyd, należał do kraju, z nim i w nim żył, miał stosunki ze wszystkimi obywatelami, znał każdego nie tylko rodzinę, położenie, majątek, ale charakter i wagę między swymi; wiedział ile kto mógł i do czego się przydał; pamiętał koligacje i związki. Zajmowało go też wszystko, co kraj obchodziło: sejmiki, zjazdy, kandydaci, wybory na urzędy; często z nim i u niego się narażano, a w delikatnych sprawach bywał bardzo szczęśliwym posłem. Szanowano go, bo był godnym szacunku, przyjmowano mile, a co większa, nawet, (gdy nie było gości) sadzano go na krzesło — nie zawsze, jak inni, stał u drzwi.

Bez Abrahama nic się ważniejszego zrobić nie mogło. Powierzchnowość jego była poważną i piękną, wzrost słuszny, broda siwa do pasa; żupan czarny, czapka sobola, a w lecie czarny kapelusz

szerokoskrzydły i laska wysoka o srebrnej galce, ubierały starca i dawały poznać z daleka przechadzającego się po miasteczku.

W domu jego, który był jednym z najpiękniejszych w mieście, nigdy nie brakło gości. posłańców, interesantów wszelkiego rodzaju; był bankierem połowy obywateli, powiernikiem, pośrednikiem, doradcą, większej części pożyczal lub dostawał pieniądze.

Abraham umiał właściwie tyle tylko, ile umięją wszyscy Żydzi, ale rozum miał bystry, przenikliwy, wielką ludzi znajomość i życia praktykę, takt, a, co największa, niestłuchany spokój. Nie rozgniewał się on nigdy, nie dał najmniejszej oznaki niecierpliwości, znosił z rezygnacją, cieszył się nawet powodzeniem z umiarkowaniem. Nie był wielomównym wcale, słowo wychodziło z ust jego z rozwagą, powolnie ale stanowczo. Wiedzano, że gdy przyrzecze, dotrzyma niechybnie, choćby z widoczną dla siebie stratą. Przywiązany do swojej wiary i obyczaju, nie był fanatykiem; rzeczy religii, nawet pytany o nie, nigdy nie tykał.

Ta wyrocznia miasteczka i okolicy, szanowana tak powszechnie i przywykła do tego poszanowania długiem życiem, nie miała nawet dumy, któraby łatwo mogła się w niej zrodzić: nie kazał się szanować, ale miał coś w sobie, co zmuszało do szacunku.

Było to bardzo dziwnem, że Abraham, który rzadko gdzie bywał, zaszedł do naszego domostwa; tak dalece dziwnem, iż można było przypuszczać,

że go matka nasza, coś przeczuwając, o to pośrednictwo prosiła.

Na pierwszy rzut oka, ów nasz bogaty krewny z Warszawy wydał mi się jeszcze gorzej przy poważnym Abrahamie: razila jego duma i wzgarda, z jaką nas traktował niby po europejsku, w istocie z lekceważeniem dorobkiewicza, gdy Abraham swój lud, jak patryarcha, z poufałą powagą i miłością przyjmował.

Spotkanie między tymi dwoma ludźmi, tym *esprit fort*, który już z siebie starł wszystko żydowskie, a owym biblijnym człowiekiem—było zaiście zajmującym.

Nasz krewny, z całą dumą wielkiego człowieka, ledwie się poruszył nieco na widok starca, który mu na powitanie uprzejmie dłoń podał, i nie rzucając cygara, rozparty, uśmiechać się począł, wpatrując w Izraelitę z pejsami, w jarmulce, w płaszczu starym, z łaską ową wysoką, jakich już dziś nie widać.

Abraham spojrzał nań, a że nie pierwszego zapewne widział w tym rodzaju, nie potrzebował go badać długo, aby poznać.

— Bardzo to pięknie z waszej strony — odezwał się starzec—że o ubogiej rodzinie nie zapominiacie... bodajby tak czynili wszyscy...

I dodał słowa z księgi Nedarim: „Szanujcie syny ubogich, bo przez nich wiary nauka świętość otrzyma.“

Warszawiak z lekka się cytacyi talmudycznej uśmiechnął; należał bowiem do tych, co nie zna-

jąc wcale Talmudu, wysmiewali się zeń i gardzili nim.

— Chciałbym w istocie—odezwał się niedbale—uczynić zeń człowieka, tylko nie takiego, jakiego to na wsi zrobić można. Czas jest — dodał aforystycznie—aby Żydzi zajęli w społeczeństwie należne ich rozumowi i talentom miejsca, aby się nie wydzielali dobrowolnie.

Abraham westchnął.

— Może to być—rzekł—z dobrem naszym, ale jakże ich w tę podróż uzbroić trzeba, żeby Żydami być nie przestali!

A po chwili dodał powoli: „Izraelski naród porównywają—mówi Resz Lakisz (Chullin 92)—do latorośli winnej: gałęzmi jej są pospolici ludzie, co na chleb pracują, jagodami uczeni, liśćmi prostaczkowie i wyrobnicy, a niedojrzalemi, kwaśnemi gronami próżniacy.“ Czy komu być dano liściem, gałęzią, czy jagodą, byle nie był gronem niedojrzałym, a kwaśnem... zawsze się on zda narodowi.

— A! jagody ja z niego koniecznie robić nie myślę—przerwał krewniak nasz—niech będzie gałęzią, ale zdrową i mocną.

— Sprawiedliwie rzekłeś — potwierdził Abraham—jagodą sam Bóg czyni, gałęzią ziemia.

— Więc namawiam ich — mówił dalej magnat—aby naprzód chłopca, gdy się przygotowuje nieco w domu, dać do szkół zwykłych, niech się uczy razem z innemi dziećmi.

— Rzucicie go, jako złoto, w ogień na próbę — rzekł Abraham — jeśli złotem jest, ogień mu nic nie uczyni, jeżeli próchnem, to spłonie.

— Mówią, że okazuje zdolności — rzekł krewniak nasz — toć skorzystać z nich należy.

— Byleby wiary nie utracił — przerwał Abraham — dlatego myślę, żeby go nazbyt rychło nie brać z domu, póki się nie ngrntuje w nauce zakonu tak, aby jej nie na potem wzruszyć w nim już nie mogło. Gdy garncarz chce, aby się na naczyniu glinianem pismo jego zostało, nie bierze go mokrem z warstatu, ale je wysusza na słońcu.

Warszawiak nie odpowiedział; ten przypowieściowy sposób mówienia starca widocznie mu nie przypadł do smaku.

— Wieleż ma lat? — zapytał zaraz — i na odpowiedź głową potrząsnął.

— Macie i tu podobno szkółkę, to go do niej możecie oddawać.

— Czemu nie — rzekł Abraham — ale biedne dziecko dużo przecierpi.

— A któż z nas tego nie przechodził? — zawołał magnat z właściwą dumą — ja, jak mnie widzicie, mam dziś parę milionów, może więcej, a sprzedawałem szuwaks i zapałki na ulicach...

Stary Abraham skłonił przed nim głowę w milczeniu; szepnąwszy tylko z księgi Sędziów wiersz, który Rabbini tłumaczą, że słońce ciężko dopiekające znosić należy, choć dokneza, gdyż światu jest potrzebnem.

Potem złożywszy ręce na głowie mojej, pobłogosławił mnie stary, modląc się po cichu i skinął ku matce, aby była spokojną, sam zaś zwrócił się do przybyłego z obojętnością już i ogólniejszą rozmową.

Acz małym byłem naówczas chłopakiem, pamiętam scenę tę dobrze. Przybyło do niej wkrótce więcej aktorów i słuchaczów, gdyż i inni krewni matki, którzy ją dawniej mało znali, i ciekawi i ci, co mieli pretensyę do znaczenia i rozumu, miasteczkowi patrycyusze żydowscy, poschodzili się wszyscy, zasłyszawszy o przybyłym wielkim człowieku.

Naówczas usunęły się kobiety, odprawiono dzieci i poczęła się cicha rozmowa, o której treści dowiedziałem się znacznie później.

Krewny nasz, którego Abraham i inni poczęli gorąco wypytywać o sprawy ogólne narodu, stał się jaśniejszym, zrozumialszym, obszernie wyhuszczając wiejskim mieszkańcom nowsze idee, krążące już naówczas pomiędzy Izraelitami w Królestwie. Powtórzył on i wyłuszczył obszerniej, co tylko w zastosowaniu do mnie mówił wprzód, iż uznanem było przez ludzi stojących u steru narodu, iż Izraelici powinni się byli starać wyjść z koła, jakie im zakreślala zbytnia obawa o wiarę i zagrożoną ich narodowość.

— Cierpieliśmy długo—mówił—wiele, czas jest zbierać owoce, powinniśmy zająć stanowisko, jakie nam, ludowi jednemu z najdawniejszych, należy zająć w świecie. Mamy bystrość umysłu, sposobność do wszelakiej nauki i kunsztu, mamy pieniądze,

który wszystko ułatwia i jedność, a spójność, przez którą tylko wielkie dokonywają się sprawy; dla czegoż gnuśnieć mamy po wsiach, a nie starać się stać na świeczniku? Patrzenie na Żydów innych krajów, znajdziecie ich po akademiach, w parlamencie angielskim, na urzędach we Francyi i w Niemczech, lub dobijających się nanką, wpływami, pieniędzmi tych praw obywatelstwa, których im jeszcze gdzieś niedzie odmawiają.

Tak właśnie i nam uczynić potrzeba, iść wyżej, być wszędzie, sposobić młodzież, rzucić ją w świat, rozsypać po wszystkich drogach, opasać siecią rąk i myśli naszej wszystkie kraje. boć nie darmo jesteśmy narodem wybranym, zahartowanym dwóch tysięcy lat męczarnią.

Abraham słuchał, nie sprzeciwiał się weale, ale był smutnym: inni z wielką radością potakiwali. Zdaje mi się, że wielką powagą jakiegoś znakomitego imienia dowodzenie swe poparł mój krewny. Starsi Żydzi, przywiązani do ścisłego zachowywania obyczaju swego, które trudnem było w ciągłym obcowaniu z chrześcijanami, zamilkli.

Odwiedziny te magnata naszego u matki mej pozostały epoką w miasteczku, wniosły one tu nową ideę i wywołały ruch, któremu tylko fanatyczniejsi. bojaźliwsi byli przeciwni, reszta w nim bardzo smakowała.

Rok jeszcze przysposabiałem się w domu, nim wszedłem do szkoły.

Było to wypadkiem niezmiernie głośnym i obudzającym podziwienie, gdy Żyd, może pierwszy od

czasu, jak szkoła istniała, zasiadł na ławie między studentami chrześcijanami.

Z góry już dobrze byłem przysposobiony do tego, co mnie tam oczekiwało, ale wyznać muszę, że to, com znalazł, przeszło wszelkie obawy i oczekiwania. Studenci byli po większej części dziećmi drobnej szlachty i właścicielami drobnych lub urzędników niższych, dosyć po prostu wychowanemi; nie też czasem dzikszego nad instynkta dzieciinne.

Było to prawdziwe męczeństwo, niemal nieustanne. Jako Żyd ledwie sobie wyprosił ostatnie w odosobnionej ławce miejsce; musiałem się okupywać od razów nieustannemi kozubalcami, a milczeć na obelgi, któremi mnie obsypywano. Nieskończone przymówki i przyśpiewki do świni, do rzeczy dla nas niemiłych, nawet się czasem w ustach nauczycieli spotykały, coż dopiero mówić o uczniach?

Broniła mnie pokora i milczenie. Pierwsze dni zwłaszcza były straszliwe, oswoilem się i ja później, i drudzy oswoili się ze mną, tak, że potem na ławie mojej odosobniony, prawie zapomniany i spokojny mogłem pozostać.

Ale w samej nauce ileż dla mnie do przełamania było trudności...

Wchodziłem nagle na cale nowe i różne stanowisko, spotykałem się z poglądem nowym, dziwnym, w sprzeczności będącym z tym, jaki dotąd sądziłem jedynie prawdziwym.

Wszystko, com nabywał tak mozolnie, runęło obalone.

Czułem się zburzony i zniepokojony wewnętrznie, w głowie mi się zawracało, nauka pierwsza walczyła z drugą i pojednać się nie mogła.

Postanowiłem jednak wytrwać, uczyć się, czekać, aż sama siła nauki i prawdy jasność w mój umysł wprowadzi.

Domawiając tych wyrazów, postrzegł się Jakób, że godzina była nieco spóźniona; przypomniał dopiero, że wieczorem na Aqua Sola znajdować się mieli i przerwał opowiadanie.

— Czuję—rzekł—jak jestem nudny i długi, przepraszam cię, powolny mój słuchaczu, ale doprawdy, inaczej, jak w ten sposób, opowiadania nie rozumiem. Nagie fakta nic nie mówią: aby się stały pojętami, należy w nie wlać życie i barwę, a życie i barwa wymagają rozwinięcia.

— Ale mi się nie tłumacz—zawołał Janko—ja nie spieszę się dowiedzieć końca, idźmy powoli.

— Dobrze więc — odpowiedział Jakób — reszta na później, a teraz... na Aqua Sola...

Wieczór, a z nim trochę chłodu wyprowadziło roje ludzi, przez cały dzień w murach zamkniętych, na ulice Genui... Nuova, Nuovissima, Balbi, Aqua Sola, przechadzki, pełne były przechadzających się, mniej więcej poubieranych Włochów i kobiet we wdzięcznych tych zasłonach białych, które często całe niewdzięczne okrywają postacie.

Dwaj towarzysze wyszli od Federa ciasnemi, cienistemi uliczkami, starego miasta, przerynając

się ku temu wzgórz, które stanowi jedyny, zielony ogródek marmurowego grodu.

— A no— rzekł Iwaś— ciekawym też bardzo, czy wczorajszych podróżnych zastaniemy na umówionem stanowisku.

— Bądźcobądź, nie tych, których poznaliśmy wczoraj — odparł Jakób — dzień jest długi, a człowiek jest zmienny, a chwila jest królową.

— Zobaczymy...

I szli dalej, po wschodach, spinając się ku zieleni, w pośród której szeptała fontana, muzyka grała... Ścisk był wielki.

Ale ścisk to był genueński; wojsko, lud, kilkunastu księży. przesuwających się przez tłumy, trochę kobiet ogorzałych, trochę cudzoziemców ciekawych, kilku długich Anglików.

Na Aqua Sola nie zobaczyć nic więcej: resztki arystokracji genueńskiej albo się zamykają po pałacach i willach, albo nie żyją wcale w Genui; mieszczaństwo dostatnie ma swe domy i ogrody w Nervi i po drodze do Rutta; ci tylko, co żyją w mieście, przechadzają się po ogródku Aqua Sola, lub ci, co się im przypatrzeć chcą. Poznać tu więc można tylko lud i mało co więcej nad lud, a wojskowych...

Jakób z Iwanem weszli, mimo wieczora i pozorowego chłodu, uznojeni; radzi byli świeższemu powiewowi, który tu ich przywitał. Spojrzeli po ulicach przechadzki, nigdzie podróżnych swych znajomych dostrzedz jeszcze nie mogli.

Poczęli się więc przechadzać wzdłuż alei, rozmawiając po młodemu, o szerokim świecie, o ojczyźnie, o przyszłości świata i o przyszłych ojczyzny losach.

Nie spostrzegli się, jak im drogę zastąpił flegmatyczny Niemiec, który w Albergo della Grotta odznaczył się szczególnie milczeniem.

Poznał ich zaraz, zbliżył się i przywitawszy z uśmiechem łagodnie-zimnym, odezwał:

A! bardzo rad jestem, że panów spotykam... chciałem się też dowiedzieć, jak się wczorajszy nasz chory miewa, a razem przeprosić, że z miłego ich towarzystwa nie będę mógł korzystać. Trafia mi się jedyna zrzeczność, veturino na pół kosztu, z moim ziomkiem, radcą tajnym von Zuckerbeer, do Pizy... muszę dziś jeszcze odjechać...

— Co za szkoda! — zawołał Jakób po niemiecku — ażeby Niemca francuszczyzną nie męczyć i siebie, bo wymawiał ją szanowny współziomek Göthego w taki sposób, że zrozumieć go było trudno a wstrzymać od śmiechu niepodobna. — Co za szkoda! bylibyśmy tak przyjemnie wieczór spędzili razem...

Na dźwięk mowy ojczystej, Niemiec rozpromieniał, westchnął, ale mimo widocznej pokusy pozostania, zwyciężył chętkę dla obowiązku.. Oszczędność kazała... może też towarzystwo radcy tajnego wabiło.

Radca tajny, von Zuckerbeer — rzekł cicho — rachuje na mnie, dałem słowo — więc muszę, muszę jechać, niema sposobu...

Jakób go wcale nie zatrzymywał, skłonili się sobie wzajemnie i pożegnali do zobaczenia — na Józefatowej dolinie. Niemiec odszedł lekki, że się zbył obowiązku lekkomyślnie zaciągniętego; w duszy nawet miał nieco podejrzenia na Polaka, że mógł być niebezpiecznym rewolucjonistą, Garybaldczykiem, któż wie — Mazzinistą może... a pewnie republikaninem spiskującym po świecie... zawsze stosunki z takim człowiekiem były rzeczą nieobrachowanych skutków, nieobliczonych niebezpieczeństw w przyszłości!! Stokroć więc lepiej było się wycofać w porę.

Zaledwie go pożegnali, gdy ocierając pot z czoła, przywłókł się Cygan, z uśmiechem na ustach, witając ich głową z daleka... Wachlował się chustką, porozpinany, ale znać było, że mu to powietrze ciepłe, przyjemne robiło wrażenie, szedł rozpromieniony, o ile twarz jego bronzowa, promienieć mogła.

— No! no! — zawołał, podchodząc — jakże się wam podoba ta Genua? Mnie nie... ale żyć można. Naprzód, to nie jest miasto, ale w starym pałacu założony kramik... hałas ogromny, osły ryczą, jak nigdzie, po ulicach więcej jeszcze osłów, poubieranych w baryłki, niż ludzi... gorąco tegie i wsztecnie brudno... Nie powiem, co się dzieje z nosem... *Seccatura!* koloryt Wschodu, fizyognomia nie-dojrzałego oryentu, wonie też konstantynopolitańskie. Tylko w ulicach tego miasta spotyka się tak drastyczne zapachy. Aleście dziś zdrowi? nie mdleliście raz drugi? — zapytał Iwasia.

Po chwili namysłu dodał:

— Czyśmy się też sobie prezentowali wczoraj? he? nie? prawda?... Istotnie, mało nawet wczorajszego dnia pamiętam... No, wiecie już wszakże, że Cygan... Cóż? brzydziecie się może Cyganem? Ja się żadnym nie brzydzę człowiekiem... to mi wszystko jedno, byle na dwóch nogach...

Nazywam się Stamlo Gako... mówią, że moja rodzina długo wodziła obozy: podobno bez żartu królowaliśmy Cyganom przez wieki, ale ja porzucił szatrę, gromadę i włóczęgę kupą, dla włóczęgi samopas...

Jestem, jak widzicie, sam jeden na świecie; kulbym może konie i naprawiał dziurawe kociołki do dziś dnia, gdyby nie muzyka. Miałem piękny głos basowy, dostałem się z nim do teatru—westchnął—zrobiłem trochę grosza... Postawiłem raz na loteryę, no... wygrałem, wygrałem bardzo dużo. Z tego mi się, pomimo różnych szaleństw, coś jeszcze zostało, mogę próżnować. Nie wiecie, co to za smaczna rzecz nic nie robić! ha! Żyję gdzie i jak chcę... ale na czole mem napisano: „Cygan“. Nikt mnie nie chce, niebardzobym też ja chciał kogo...

Głupie życie, tęskne życie, a nie pomieniałbym je na inne... na żadne inne... już się z niem znam, jak z kulawym przyjacielem, wiem, na którą nogę chroma... Nie mam żadnych obowiązków, to znaczy, że nie noszę żadnych więzów; nie mam wiary, nie mam nadziei, nie mam zajęcia... nudzę się wspaniale... Cóż chcecie? jestem Stamlo Gako... Urządziłem sobie próżnowanie wygodne, porządne.

Na zimę ciągnę ku północy... a no tak! nie dziwujcież się—tam się najwygodniej zimuje, mury są ciepłe. Staję w hotelu, jem u najlepszego stołu, robię znajomości przelotne, chodzę na teatr, znajdę zawsze jakąś jejmościankę, chwilową Aryadnę, potrzebującą pocieszyciela, która mnie znajduje niebrzydkim i znośnym. Śpię długo, kładę się kiedy mi się podoba, robię co chcę. Na lato ciągnę do Włoch; niekiedy zajrzę do swoich, do Węgier. Jest tam coś mojej krwi... ale szczęściem nikogo blizkiego, któryby mnie miał prawo nudzić. Węgry to jeszcze nihy jakaś ojczyzna.

Uśmiechnął się.

— Ot, jakim jest Stamlo Gako...

Z próznowania—dodał—nauczyłem się czytać... a jak to doskonale godziny zabija, kiedy książka zręcznie poplątana... chociaż wogóle powiem wam, książki są głupie. W najrozumnijszych dziesięć razy tyle plewy, co ziarna... Całą mądrość ludzką możnaby spisać na dłoni.

— Ja także bezojczyźniakiem jestem — odpowiedział mu Jakób, który łatwo poznał, że Cygan był nieco podchmielony... — ale ja życie rozumiem inaczej, mam w niem cel, bo mam braci. Czemużbyście wy, więcej od drugich Cyganów umiając, mogąc więcej, coś dla narodu swojego uczynić nie chcieli? Zważcie, jakby to było chlubnie zostać jego nauczycielem i dobroczyńcą.

Stamlo Gako rozśmiał się, pokazując białe zęby.

— Co wy chcecie, bym zrobił z takim narodem, którego jest garść, a garść tę Bóg czy szatan rzucił z góry między ludy i rozbiła się w prochy? Co chcecie, bym zrobił z plemieniem przeklętym, co miejsca zagrazać nie może, szukając zgubionego gościńca do zapomnianej ojczyzny? Chybabym tę kupę powiódł znowu nad Ganges, skąd, mówią, że ją wypędzili!?

Napiętnowano na czołe naszym: „Zginiecie“, i giniemy, ale konanie powolne. Niech to was nie nudzi... bądźcie cierpliwi... tylko co nie widać, jak ostatni zdechnie w nędzy i upodleniu... W Moskwie tancerki i śpiewaczki, ówdzie wróżbiarki i złodziejki, gdzieindziej kowale, konowały, tancerki i... swawolnice.. jakimże językiem mówić do nich o przyszłości? Nie rozumieją bestye... Zawłóczym się tak na śmierć, jak owoc z drzewa upadły, narodem odrwanym od ziemi. Wyrzucono nas z niej z korzeniem...

— Więc wsiąknijcie przynajmniej w jakie przyjaźniejsze, bliższe wam plemię...

— He? wsiąknąć w opokę?—uśmiechnął się Cygan... — a! nie! nie! Spłyniem lub rozplyniem się... wielki Bóg wie, co robi. W mroku wieków—dodał tajemniczo, pocichu—jest jakaś straszna, nieodpukutowana zbrodnia... jakieś bratobójstwo, z którego rąk obmyć nie możemy...

Ot i ja—dodał ponuro—mam wszystko, czego człowiek potrzebuje do szczęścia na świecie, a nigdy szczęśliwym nie będę. I źle mi nie jest, i dobrze być nie może. Ale co mi tam!. Stamlo Gako po-

liczył dobrze, ile godzin ma do życia. . godziny płyną i upływają... przeznaczenie...

Gdy tego wyrazu, buchnąwszy go z piersi, domawiał, pozdrowili przechadzających się dwaj Włosi: Alberto Pimate i Luca Barbaro.

Oba mieli rozjaśnione oblicza, oddychali włoskiem swobodniejszym powietrzem, nad ich głowami powiewała trójbarwna młodej ojczyzny chorągiew. Luca Barbaro niósł album w rękę. Pimate zwitek nut.

— A witajcież, witajcie bracia!—zawałał Luca —jak zdrowie? czy to cudne powietrze nie wyleczyło was z osłabienia? Co do was mówi staruszka Genua?

— Mruczy o średniowiecznej przeszłości—rzekł Jakób.

— A o przyszłości? —zapytał Luca — nic? nie czujecież wy tu jakby zbliżającego się powiewu wiosny, co wszystkim narodom da kwiaty i wieńce?

— Utopisto!—odparł smutnie Izraelita —nigdy żadna wiosna nie przyjdzie razem dla wszystkich... Ludzie w słowach są braćmi, ale w czynach ludźmi tylko; każdy, by siebie ocalić, poświęci brata... Powoli, mozolnie, wybijać się będzie świat z więzów ciemnoty, niewoli i więzów szarlataństwa, które korzyść z pocziwych pragnień, by niepocziwą żądę ambicyi swej i chciwość złota nasycić.

— Cicho! nie bluźnij młodzieńcze — przerwał zapalając się Luca, który go za rękę pochwycił — ja wierzę w ludzi. Jest między nimi garść podłych *codinów* i garść nikczemnych ciarlatanów, ale ogół

to... dzieci Boże!! Pieśnią, obrazem, słowem, ofiarą otwierajmy serca, czyścimy wnętrze, rozpłomieniamy głowy ku cnocie... a zabłyśnie ta wiosna...

— Amen—dodał Primate—amen, tylko jabym *privatissime* o jedną was rzecz prosił... przyznaję się do egoizmu... ale prośbę mam wielką! Wszyscyśmy tu przyszedli odetchnąć, spoczywać. nieprawda?

— Prawda! prawda!

— A! niechże raz filozofia z polityką pójdą sobie do stotysięcy... *codinów*... Mówmy choć godzinę o sztuce i życiu.

Luca go w czoło pocałował.

— *Poverino!* — rzekł — zmęczył się strasznie mną, ja to mu pokoju nie daję, ja... a on ma w sercu i duszy tylko kobietę, miłość, muzykę i życie... Ja mu ciągle pokazuję te suche, trupie skielety.

Na to wpadł ów niby Francuz, w istocie Duńczyk, a najprawdziwiej kosmopolita; żywo wcisnął się łokciami rozbijając grupę, między nich, obejrzał dokoła i z niechęcią splunął.

— *Saperlotte!* — rzekł — z przeproszeniem ^{was} waszem, gdybym był wiedział, że piękna dama wczorajsza nie będzie na schadzce, byłbym i ja doł was, szanowni młodzieńcy, się nie fatygował. Miałem wielką ochotę pójść na teatr włoski... teatr włoski, *bien primitif, bien barbare*, byłby mnie zajął i orzeźwił. Ale te czarne oczy, nawet nieco wypłakane i zapadłe, a zawsze tyle mówiące, zwabiły mnie na *Aqua Sola*... Gdyby miała przyjść, jużby była przyszła!... złapałem się szkaradnie.

— Ale na teatr jeszcze może być czas — odparł zimno Cygan, dobywając zegarka.

— Tak! ale gdyby ona nadeszła — rzekł Francuz — ona, ona! *c'est l'inconnu! c'est l'imprevu!* Jak myślicie — dorzucił nagle — ta ona, kto to może być?

— Dawna artystka, lub artystka jeszcze... — rzekł Cygan — sama to przecie wypowiadała kapłanka Thalii, wątpię, ażeby razem była Westalką... hm!

— Wdowa! wdowa! — dodał Luca — mówiła o tem.

— Tak! przypomina mi się, wdowa, *c'est bien porté*, wdowa... ale ma aż dwóch wzdychających na nieszczęście — rzekł Francuz... — Rosyanina i Polaka... Nie wiecież panowie, co to za jedni? bogaci? ubodzy? dawno z nią?

— Nie wiem — odparł Cygan sucho.

— *Chi lo sa!* — rozśmiał się Pirmate.

— Ale Rosyanin, wiemy, że jest wygnańcem — przerwał rozweselony także Barbaro. — Jeśli z ojczyzny się ratując, zabrał z sobą sakwy, może być niebezpiecznym, gdyż Moskale bywają bajecznie bogaci... i powszechnie każdy z nich ma wydzieloną przez rząd kopalnię złota... Ale ratując głowę od stryczka, może nie uratował worka i posiada tylko osobiste przymioty... naówczas staje się *plus vulnerable*. Polak zaś, Galicyanin, młody... młodość to kapitał... Panowie zresztą, jako Polacy, lepiej osądzicie, co może być wart, i o ile strasznym jest Galicyanin.

— Galicyanin wogóle — rzekł Iwaś cicho — bywa hrabią... podróżujący wszyscy niemal należą do tego gatunku. Bywają i bogaci, ale od r. 1848 po-

wszechuicj tylko pozornie. Nie uważam go za niebezpiecznego, chybaży miłość własna była zadraśniętą...

— A! a! ale otóż i ona! i ona - - krzyknął Francuz, patrząc w ulicę i spostrzegłszy właśnie piękniejszą dziś jeszcze brunetkę.

— A! co widzę! — dodał — sama z Moskałem... Zły znak! Galicyan więc był przypadkowy! — sami *bec à bec*, we dwoje... rzecz się komplikuje... Gdzie jest dwóch, tam i trzech być może. ale gdzie jest jeden, tam drugiemu przyczepić się bywa trudniej.

Wszyscy uśmiechnęli się.

— Mocny jest w teorii sztuki! — rzekł Cygan, kiwając głową.

Milczenie trwało chwilę.

Czarowna Lucia Colomi zbliżała się. Była w istocie stokroć piękniejszą niż wczora; miała czas wyświeżyć się, odmłodnieć, uczynić piękną... oczy jej pływały we łzach nie wypłakanych, a uśmiech błąkał się po ustach. Moskał szedł za nią czegoś smutny, może dlatego, że ona była wesołą... (barwa dopełniająca jest w naturze rzeczy).

Włoszka podeszła wprost do Iwasia i podała mu małą rączkę, uwięzioną w muiejszej jeszcze rękawicze jasnej, zapytując go z wielkiem zajęciem:

— *Vo bene?*

— Dziękuję — odpowiedział Iwaś — ani śladu wczorajszej choroby mojej... blizna na skroni to tylko miła dla mnie pamiątka... waszej dla mnie dobroci.

— O! o!

Włoszka ruszyła ramionami.

— Pochlebca!

Moskal witał się z przesadzoną grzecznością na wsze strony, usiłując dowieść, że nie był niedźwiedziem.

— Ale i wy nie wszyscy?...

— Tak, braknie nam — rzekł Jakób — jednego, który już nie przybędzie, Niemca. Trafiła mu się okazyja do Pizy na której coś oszczędzi, a w dodatku jeszcze z tajnym radcą *von*... dlatego opuścić nas był zmuszonym. Nie jeździ się codziennie z tajnymi radcami, którym *von* świeżo nadano za zasługi. To *von*, nowiuteńkie, jak z igły, ma całą woń tylko co rozkwitłej róży — jakże się nią nie napawać?? Ale i pani — dorzucił Jakób — zgubiłaś gdzieś jednego z towarzyszków?

— A! prawda! — odezwała się Lucia. — *Il Conte*.

— Zgadłem! — rzekł Iwaś z cicha...

— *Il Conte*... zdaje mi się, o południu miał wyruszyć do Spezyi.

— Wczoraj nam wszakże nie wspominał o tym zamiarze...

Moskal odwrócił się, patrząc na morze, którego stąd bardzo niewiele widać było.

Włoszka uśmiechała się dziwnie, zakrywając usta wachlarzem, aby uśmiech może uwydatnić jeszcze.

— Prawdziwie nie wiem... nie wiem co się z nim stało! miał wyjechać... Gotowabym go posądzić, jeśli mam prawdę powiedzieć, że się trochę uląkł swoich ziomków, bo wczoraj bardzo jakoś boleśnie nad tym wypadkiem spotkania utyski-

wał. Może mi panowie powiecie—dodała... — co to jest za kraj ta Galicya? Młody człowiek ciągle powtarzał, że nie jest Polakiem, że nie jest także Austryakiem, że jest Galicyaninem.

Iwaś i Jakób, uśmiechnęli się do siebie ale nic nie odpowiedzieli.

— Nie osierocił nas zbyt — podchwycił Iwaś — żałoby po nim nie włożymy.

— Ale ja go żałuję — rzekła Lucia — możnaby łatwo zrobić z niego wcale znośnego człowieka, tylko jest jeszcze jak orzech włoski, w młodej a gorzkiej łupinie.

— *Signora* — przerwał Jakób — ta łupina ręce wała, niech go sobie kto inny z niej obiera.

Zaczęli się wszyscy śmiać. Moskał sumował.

— *Aqua Sola!* jak to ślicznie brzmi! — zawołała, wiedząc ich za sobą ulicą Włoszka — a jakie to małe, skromne i, prawdę powiedziawszy, nudne... Kilka drzew, odrobinka wody, dużo ciżby... pył się znajduje, a morza ledwie widać kącik. *Povera Genova!*

— No! a myż! — zawołał Moskał — my, cośmy sobie po niej tyle obiecywali?

Francuz duński, korzystając z ewolucyi przechadzki, przysunął się natrętnie do Włoszki, było to nawet dosyć niezręcznem i wyraźnem. Ta spojrzała na niego z góry i uśmiechnęła się prawie z politowaniem. Zdradził się tym ruchem, a uśmiech, gdyby go był dostrzegł, odpowiedziałby mu wyraźnie:

— Nie miej nadziei.

Francuz go szczęściem nie zobaczył, a nawet widząc, nie byłby stracił odwagi wrodzonej, choć

pozornie. Włoszka widocznie mu głowę zawracała. Ona była więcej zajęta Iwasiem, niżeli innymi. Po chwili ucinanej rozmowy, zapytała go z cicha:

Pan jedziesz do Polski?

— Tak jest! — rzekł wzdychając Iwaś.

— Ja jestem przesadną! dziwnie przesadną! — mówiła dalej—wybieram się właśnie także do Polski... Uważam to za coś bardzo znaczącego, żem na drodze tak miłą zrobiła z Polakiem znajomość.

— Pani się wybierasz do Polski? — smutnie zapytał młody człowiek...—ależ Polska, pani, to dziś w ustach Europejczyka abstrakcyja. Tyle jest różnych Polsk... a niema jednak Polski; Polska moskiewska, Polska kongresowa... Polska pruska, Polska austriacka...

— A! tego ja nawet nie wiem do jakiej ja jadę—ale, proszę mi powiedzieć, w której leży Warszawa? — spytała Włoszka.

— Jest to moje jakby rodzinne, tak ukochane miasto - odpowiedział Polak—jedna z dawnych stolic Polski, ostatnia... dziś owej naszej idealnej Polski, której niema — stolica... miasto stołeczne kongresowej.

— Gubię się w tem — rzekła śmiejąc się Włoszka - a pan dokąd jedziesz, do Warszawy??

— Tak pani, nie wiem jednak ani jak dojadę, ani, czy dojechawszy, nie będę zmuszony dalszą odbywać podróż... dla zbadania życia w azyatyckich stepach...

— A! panowie wszyscy tak jesteście nieszczęśliwi...

— Nieszczęśliwi, pani, to mało!—rzekł Polak—na to, co się z nami dzieje, niema wyrazu w żadnym języku... Nie mówmy o tem. Jakże się to stało, że pani jedziesz do Warszawy?

— Ja? ja?—rzekła zmieszana trochę Włoszka—ale tak, z ciekawości tylko...

Spuściła oczy.

— A może—dodała po chwili—może też zaśpiewać co będę mogła w teatrze...

— O, mogę panią upewnić, że najlepiej będziesz przyjętą... pułkownik Hauke jest wielce dla Włochów uprzejmy... i skoro się dowie...

— Pan mi pomożesz?—spytała.

— Ja! ja!—rozśmiał się Iwaś—a! pani, ja, jeśli tam powrócę... oko mnie ludzkie nie ujrzy... Wracam z tęsknicy, z niepokoju, ale mi się tam pokazać grozi śmiercią lub wygnaniem.

Włoszka spojrzała na niego i nagle zamilkła.

— Juściż choć ja przecie mogłabym tam pana zobaczyć—rzekła po chwili.

Iwaś smutnie potrząsł głową. Francuz duński, który podślnchiwał rozmowę, wymiarkował z niej tylko, że Włoszka musi mieć zamiar opuścić Moskała, który, jako wygnaniec i banita, pod rząd moskiewski powrócić nie może. Tyle umiał geografii politycznej, że mógł to wykombinować, co dowodziło niepospolitej nauki, którą niezawsze nawet dziennikarze obcy poszczycić się mogą.

— Więc pani porzucasz towarzysza podróży?—podechwycił żywo.

— Ja? któż to panu powiedział? — zawołała Włoszka, mierząc go oczyma, a po chwili dodała:— Tak! tak... muszę... zapewne... — a mówiąc to spojrziała nań czule i z lekka westchnęła.

Gromow zaciął wargi, czoło mu się pofałdowało dziko.

— I jedziesz pani tam sama!—zawołał Francuz.

— Ale nie, nie sama!—zafrasowana widocznie, chmurno odpowiedziała Włoszka. — Pan mnie męczysz temi pytaniami... Ja jeszcze nie wiem sama co pocznę, nie lubię o tem mówić! Nie wiem,—stanie się tak, inaczej—ktoż wie? *chi lo sà?*

— A jeśli pani rozkaże, ja gotów jej jestem towarzyszyć na koniec świata! — wybuchnął zapalony wielbiciel.

— Juściż chyba pan żartujesz, a ja żartów tego rodzaju nie lubię! — odezwała się Lucia surowo...— bądźcobądź, towarzysza znajdě...

— Co za szkoda, że tak dzika! — rzekł w duchu natręt.

Moskał milczał zadumany, nie mieszając się wcale do rozmowy.

— Jestem bardzo ciekawa Polski i Rosyi—poczęła, przychodząc do siebie Colomi — mówią, że Polacy i Rosyanie czują i lubią sztukę, że są namiętnymi niekiedy dyletantami..

— Była na to chwila — odezwał się Żyd. — Co się dzieje w Rosyi, nie wiem, tam, przepraszam przytomnego, więcej się kochano podobno dotąd w artystkach niż w sztuce.. W Polsce dziś wszystko pochłoneło jedno uczucie, dziś tam wre w kotle

gotująca się przyszłość. Czarownice Shakespeara skwarzą ją na rozdrożu, czy aniołowie w niebiosach, — Bóg tylko wie, ale jak szeroka Polska... no... i Moskiewskie Państwo, od Warty do morza Lodowatego, do Kaspia i Amuru, drga ziemia, biją serca, gotują się walki, bój—coś strasznego i wielkiego, co wstrząśnie światem do głębi. Jakiż śpiew może tam dostać się do ucha, w które bije działo wieków gromami przyszłości?

— No! to mieć będę może tę pociechę—zawołała Włoszka — że zanucę pieśń zwycięstwa.

— Albo hymn śmierci!—dodał Jakób ponuro.

— Lub piosenkę *intermezzo*, która da wytchnąć i zapomnieć tragedyi życia.. Przyznam się wam — rzekła Colomi—że mi ta Europa ostygła, zdrętwiała, martwa, wyżyta, zużyta, zeschła jak bukiet, który ze śmieciska podnosi gałganiarka, znudziła się, sprzykrzyła... obrzydła... To już nie ma iskry życia...

— Nigdybym się był po pani tego komunału nie spodziewał—odparł Francuz.—Europa, póki była młoda, szalała, przyszedł dla niej wiek dojrzałości, to prawda, *elle est un peu mare*, ale jeszcze wcale miła. Co pani chcesz? dziś dzieci się inaczej rodzą, od razu stare, ale rozumne. Młodzieniec lat dziewiętnastu pogląda na świat z pogardą pijaka, który puhar wychylił do dna. Życia niema później, nie przeczę—ale za to: za to nam wszystko wolno. Nie ma baryer na gościńcu życia—szosowego nie płacimy, ruszaj, gdzie oczy poniosą. Juściż i to coś warto! Dawniej tysiące przepisów, praw, przesądów, trzymały na wodzy, chodziliśmy jak dzieci na

paskach, dziś nikt się nie dziwuje niczemu i nikt nic nie broni — byle zręcznie!!

— I nic też nie ma ceny, nic nie smakuje! — dodała Włoszka.

— Pani przerwał muzyk z zapalem — nim dalsza rozmowa pójdzie tym torem, zaklinam was, raczcie mnie wysłuchać!!

— Najchętniej — odpowiedziała zdumiona Lucia — ale o cóż idzie?

— Pani! o życie moje — dodał Włoch...

Moskał odwrócił się ku niemu, groźnie razem i szydersko.

— Mogę zabrać głos? — rzekł muzyk.

— Prosimy...

— Siadajcież państwo na ławkach... poczynam!

Sklonił się i odchrząknął.

— Chociażby się państwu zdawać mogło, że od rzeczy prawię — dorzucił — błagam, wysłuchajcie mnie cierpliwie do końca...

— Tak, *respice finem* — szepnął szydersko Francuz.

— Ja i mój towarzysz — mówił Włoch — jesteśmy dwojgiem dzieci tych części Italii, które się jeszcze z matką połączyć nie mogły; płaczemy nad losami naszymi, kajdany namulały nam ręce... Wydostaliśmy się z ziemi niewoli, z pod *piombi* więzienia, aby tu odetchnąć i nabrać życia. Kędy stopą dotkniemy, gdzie się kolwiek usta ku nam otworzą, ściga nas i prześladuje polityka. ekonomia niepolityczna, lub filozofia społeczna. Zlitujcie się nad nami... mówcie o czem chcecie, byle o czem innem.

— Kochany rozpieszczony Włochu — odezwał się Duńczyk-Francuz — to darmo... wiek nasz je swoją strawę na tym sosie, nie unikniecie go.

— Nie możnaby mówić o muzyce?

— Muzyka stała się muzyką przyszłości, a Wagner, jej prorok, jest, jak wiecie, zajadłym politykiem...

— O sztuce!

— Sztuka stała się wychowanicą filozofii i historii, trzyma się ich nieodstępnie...

— No, to o życiu, o fraszkach... o mieście, o pogodzie, o czem chcecie... ale ja bym chciał poczuć, żem młody i artysta.

— Młodych niema — odparł Żyd z uśmiechem — a artystów pozabijali blagerowie.

— Cóż więc pozostanie spragnionym życia?... — zawołał Włoch.

— Jedno tylko — rzekł Francuz, z powagą wielką — napić się.

— A! a potem? — spytał Włoch.

— To już zależy od temperamentu: zasnąć lub...

Gdy tak gwarzyli, z okna sąsiedniego domu dała się słyszeć muzyka. Wieczorne powietrze niosło ją na falach swych pieszczoną, miękką, rozmazaną i tęskną... wszyscy ucichli i ustawili ucha.

Nie była to muzyka włoska... ktoś, towarzysząc sobie na fortepianie, śpiewał: cichy głos, młody, sympatyczny nucił z wielką metodą i wprawą wielką jakąś tęsknicę, genialnie wyrażoną przez wielkiego mistrza.

Włoch poznał w niej śpiewkę uroczą Mendelssohna... zdjął kapelusz, rozpromieniło mu się oblicze, zadumał się, postąpił kilka kroków i ręką dał znak, aby milczano...

Melodya coraz wydatniejsza płynęła smutnie, poważna, tęsknicą przejęta, oryginalnie ale wspólnie przyobleczone w kunsztowne szaty.

Po łatwych piosenkach włoskich, ledwie obrzucanych od niechcenia jakim takim łachmanem harmonii, wyglądała pieśń ta, jak wielka pani. Włoch, który niewiele słyszał muzyki niemieckiej, zwłaszcza śpiewu, czuł się nim, jak jakimś objawieniem, przejęty.

Tajemniczość tego śpiewu, ulatującego oknem z jakichś ust nieznanых, urok głosu niewieściego, młodego, tęsknota melodyi, nadawały jej wdzięk nieopisany.

Z za żaluzji domu blizkiego Akademii Medycznej, wydobywał się ten śpiew, widocznie nucony dla siebie: ale powietrze chwyciło go niedyskretne i do uszów przechodzących zaniósł.

— Jest to ładne — rzekł Francuz — ale coś w rodzaju muzyki przyszłości!

— Ale milczy pan — przerywała mu Lucia, rozgniewana — to cudowne!

W tej chwili śpiew, konający powoli, cichł, rozptywał się, — umarł...

Kilka dźwięków fortepianu rozległy się pogrzebowem pożegnaniem. Wszyscy stali skupieni naprzeciw domu, z którego się dał słyszeć, a wielkie

zajęcie pieśnią nie dało im dostrzedz, że Jakób w pierwszej chwili, gdy ona ich doleciała, pohlądł, rozpoznawszy głos... stał potem jak wryty, rękę trzymając na piersiach... zmięszany i przestraszony prawie.

Twarz jego zmieniła się do niepoznania jakąś boleścią tajemną. Pierwszy Iwaś dostrzegł tę zmianę i przybliżył się do Żyda.

— Co ci to jest? — zapytał — Widzę, że nadto jesteś poruszony, ażeby sama muzyka miała być tego przyczyną...

Żyd spojrzał nań z roztargnieniem, nic nie odpowiedział i podziękował tylko za troskliwość przymuszonym uśmiechem.

— A! czekajmy chwilę! może jeszcze co zaśpiewa... — zawołała Włoszka.

— Zawołajmy — *brava* i *bis!* — rzekł śmiejąc się Duńczyk.

Jakób się oburzył, inni także; stali w milczeniu, ale czekając napróżno, patrząc daremnie na drzwi domu, z którego piękny ten głos dał się słyszeć.

Po długiej chwili, otwarły się one i młoda kobieta, bardzo skromnie, ale smakownie ubrana, wyszła z nich z mężczyzną również młodym, dosyć przystojnym, w którego rysach pochodzenie wschodnie było widocznem.

Oboje, ścigani wzrokiem ciekawym, przeszli z wolna na Aqua Sola. Mężczyzna mógł mieć lat trzy-

dzieści kilka, kobieta może dwadzieścia, wyglądała młodo ale słabowito. Brunetka, blada, z czarnych oczów dwojgiem pełnemi wyrazu, rysy miała poważnie piękne lecz dziwnie smutne, jak anioła śmierci: tęsknica, znużenie jakieś, oblewały twarz pokojem fałszywym, który był jakby snem i zdrętwieniem boleści. Nie oprócz głębokiego smutku nie widać było w tem obliczu młodziuchnem, a już uwiedłem. Ubiór jej skromny, niepokąźny, ciemny, odpowiadał dobrze charakterowi surowemu twarzy i postaci, nie był jednak pozbawionym smaku i uczucia piękna.

Towarzysz tej pani, mimo pozoru gentlemana, nadto jakoś wydawał się dumny, zbyt widocznie chciał odgrywać rolę wielkiego pana, ażeby nim być mógł w istocie. Na czole jego wypisany był rozum chłodny i ambicya niezmierzona... dalej po za tem, trudno było wynaleźć w tej twarzy odbicia uczuć ludzkich, ale za to namiętności wypaliły się wyraźnie w oczach jego czarnych, na ustach ruchomych i rozkwitłych, a w ścięgnach oblicza widać było ślady gry ich gwałtownej.

Rozum zimny z namiętnością zwierzęcą godziły się tu dziwnie na starcie tego, co zwiemy uczuciem, co inni wyrażają — sercem.

Pomimo bardzo ogładzonej powierzchowności, człowiek ten chłodny, przyzwoity, na pozór delikatny, przejmował jakimś strachem, czuć było, że w nim nie mogła mieszkać litość, że szyderstwo towarzyszyć musiało temu egoizmowi, który zbu-

dował sobie cały spójny system na obronę, cały program życia, od którego nie mógł nigdy odstąpić. Na straży stał temperament i wykształcenie ułomne. Wszystko to tak było widocznem, że ubogi nie byłby go, rzuciwszy nań okiem, ani próbował poprosić o jałmużnę, spotkawszy się z nim sam na sam; — przy mnogich świadkach — może.

Pomimo nader grzecznego obejścia z kobietą, która widocznie zdawała się być jego żoną, czuć było w ich stosunku niedolę i niewolę; ciągnąć się ją zdawał za sobą, jak ofiarę. Ona szła, jakby nie wiedząc co czyni, nie patrząc nawet przed siebie, on poziewał roztargniony.

Jedno spojrzenie na tę kobietę, natchnęło wszystkich domysłem, że ona to być musiała ową tajemniczą śpiewaczką.

Jakób stał ciągle jak wryty, jakby nieprzytomny; zdawał się nie rozumieć, że był na drodze właśnie, którą z ulicy ci państwo przechodzić musieli, aby wejść na Aqua Sola, ku której dążyli widocznie. Oczy jego wlepione były w kobietę, która go dotąd nie postrzegła, bo wzrok miała w ziemię wlepiony. Roztargniony jej towarzysz nie widział także Jakóba, i zobaczył go dopiero o krok stanąwszy od niego. Nagle, postrzegłszy go, namarszczył mimowoli brew, zacięły mu się usta, ale ten przelotny wyraz znikł natychmiast pod konwencyonalnym uśmiechem powitania; kobieta instyktowo podniósłszy głowę, zobaczyła go także, cofnęła się i jakby przerażona — krzyknęła.

Głos ten dopiero ocucił Jakóba, który pospiesznie, zdjawszy kapelusz, przywitał idących, stając z boku drogi.

— Cóż za najdziwniejsze w świecie spotkanie! — rozśmiał się sucho, podając rękę Jakóbowi nieznamy, niezbyt serdecznie może, ale z grzecznością wielką. I spiesznie dodał:

— Jakże? skądże? dokąd? i co ty tu robisz?

Kobieta uspokojona podniosła oczy, wpatrzyła się długo, uśmiechnęła smętnie i dodała:

— To prawda, że dziwne spotkanie.

Głos jej był nieco drżący.

— Najdziwniejsze, najniespodziewańsze, a najszczęśliwsze dla mnie — zawołał Jakób ze wruszeniem — wracam po dość długiej pielgrzymce do kraju. Chciałem przebiec i poznać tę część Włoch sławną ze swej piękności, szczególniej drogę nadmorską. Wypadek wstrzymał mnie nieco w Genui... Dziś, przed chwilą, w towarzystwie innych podróżnych podziwiający cudowny głos pani, stanąłem jak wryty pod jej oknami, poznawszy go. Bo nie ma dwóch takich głosów na świecie.

Mężczyzna, jeśli nie kwaśno, to dosyć obojętnie zdawał się przyjmować grzeczności Jakóba, pani nie odpowiedziała nic, spuściła oczy zarumieniona nieco.

— Ale cóż państwo robicie w Genui? — spytał Jakób.

— A! my, my się sobie włóczymy — odpowiedział mężczyzna. — Doktor Lebrun kazał Matyldzie odetchnąć cieplejszem powietrzem, znajdował kasze-

lek jej jakimś niedobrym... Więc wybraliśmy się tu, na to piękne wybrzeże włoskie... i dychamy całą piersią... atmosfera dziwnie posilająca...

— A jakże pani znajdujesz Włochy? — spytał Jakób.

— Jest to dla mnie, jakby sen o tym Wschodzie, któremu nie widziałam—odpowiedziała z wolna Matylda — a do którego, jak do ojczyzny, wzdycha dusza moja... Włochy są cudowne...

Gdy tak rozmawiali stojąc, Jakób postrzegł, że ich może nadto na wystrzały oczów całego towarzystwa rozciekawionych narażał i sam nie wiedział, czy iść dalej z niemi, czy pożegnać, gdy grzeczny mąż pięknej niewiasty pociągnął go z sobą.

— Ale przejdźże się choć chwilę z nami—rzekł uprzejmie.

— Służę państwu—odparł Jakób—tylko moje towarzystwo pożegnam.

To mówiąc, szepnął Iwasiowi, który go z oka nie spuszczał, aby wytłumaczył towarzystwu, że się oddalić musi, prosząc razem, aby nań poczekał, i poszedł z tajemniczą parą ową, powszechną obudzając ciekawość.

— Ah!—zawołała Włoszka, dowiadując się od Iwasia, że mu oczekiwać kazano — ja tu także choćby do późnej nocy poczekam, aby się dowiedzieć, kto są ci państwo. kto jest ta piękna śpiewaczka i czybym jeszcze kiedy głosu jej usłyszeć nie mogła... albo nie—przerwała, nagle spojrzawszy na towarzysza. — Gdzie panowie stoicie? — spytała Iwasia.

— My, w hotelu Federa.

— Wybornie, jesteście o dwa kroki ode mnie, od hotelu francuskiego, czekaj pan na swojego towarzysza i przyprowadź mi go koniecznie na herbatę. Ja bodaj do północy wyglądać was będę... choćby i do rana, jestem ciekawa, mam do tego prawo... jako kobieta...

To mówiąc, obróciła się do Francuza i Włochów:

— Signori! nie odmówicie mi także?

Wszyscy się grzecznie skłonili.

Na tem rozmowa i przechadzka się skończyła. Lucia ujęła podaną rękę Moskala i poszła z nim rozmawiając żywo. Iwaś został z Włochami, Francuz i Gako udali się każdy w inną ulicę. Cygan nieopodal zaraz upadł na ławę i ziewnął.

— Przysięgnę, że to spotkanie, ten pan i ci państwo, to cała historia, to romans pełen tajemnic—mówiła Lucia do ruszającego ramionami towarzysza.—Czy widziałeś, jak on na nią patrzył, czyś słyszał, jak ona krzyknęła?... To mąż, a to jest kochanek... przysięgnę... czytałam w ich oczach. Ah! jakże jestem ciekawa dowiedzieć się coś o tem, ale czy przyjdzie? czy nam co zechce powiedzieć?... Byłem go zobaczyła, wyciągnę to z niego!

Moskal się uśmiechał.

— Cóż nam z tego?—spytał.

— Przecież to ciekawsze od książek, których ty tyle połykasz — odparła Włoszka — ja życie nad bajkę przekładałam....

Na pustej ławce ogródka Aqua Sola, siedział biedny Iwaś ze spuszczoną głową; widok tych mężczyzn i kobiet, ludzi, co mieli czas i swobodę zajęcia serca kochaniem głów czem innem nad nie-szczęście własne i ogólne; trzpiotania się, jak ptaszęta swobodnie—dziwne na nim robił wrażenie. On należał do tych wydziedziczonych, dla których wszystkie żywsze rozkosze życia były zaparte.

Głód, nędza, męczeństwo politycznych namiętności paliły go—myślał o kraju, o przyszłości, szukał w niebiesiech ratunku niemożliwego na swoje i ogólne bole. Cóż go obchodzić mogły szczebioczące słodko kobiety, ich spotkania, znajomości, słodkie wejrzenia i szepty obiecujące—jego, co nie miał na jutro chleba, ani na jutro nadziei, jego, którego niewymowna pędziła tęsknica... na męczarnie, jego, co życie stawiał, aby tej ziemi powietrzem odetchnąć, dla której gotów był poświęcić wszystko.

Dręczył się myślami. Ściemniało, chłód od morza zawiewał, gdy cień białej sukni znikł z ulicy i ktoś z lekka uderzył go po ramieniu—Jakób stał przed nim.

— Chodźmy do domu— rzekł—chodźmy.

— Służę ci — odparł Iwaś — ale nie do domu, oba jesteście natarczywie zaproszeni, czeka na nas grzeczna Włoszka, nasza Colomi, w hotelu francuskim z herbatą.

— A cóż znowu! — zawołał Jakób — ja potrzebuję samotności. Czy przyrzekłeś?

— Jak prawie... bo ja wcale samotności nie potrzebuję — odparł Iwaś — ani nawet sądzę, abyś ty jej, szanowny mój dwudniowy przyjacielu, tak bardzo miał pożądać. Mało się znamy, ale są rzeczy, które się czyta w sercu człowieka, jak gdyby człowiek był szklany... chodźmy razem. Włoszka jest niepohamowanie ciekawą, jeśli ty do niej pójść nie zechcesz, ona do nas przybiedz gotowa. Toby było gorzej, nie ma sposobu, idziemy.

Jakób zmarszczył się nieco, ale prędko rozcumurzył.

— Prawda — rzekł — na stare rany ciepłe nakazują powietrze, idźmy się trochę rozgrzać rozmową, zadurzyć, ogłuszyć, śmiać, szaleć.

— Aha! stare rany! — podchwycił Iwaś — więc ta pani...

— A! dajcież mi pokój z tą panią! — ofuknął się Jakób — Czyż nie rozumiecie, że są ludzie, są twarze, imiona, które cały szereg postaci z przeszłości wloką za sobą łańcuchem. Powinieneś być raczej powiedzieć, ten pan, nie ta pani. Ta pani to tylko nieszczęśliwa istota, która powoli kona w objęciach szczęścia.

Ale chodźmy — dodał popędliwie — chodźmy, chodźmy, będę wesołym na złość.

— Komu?—zapytał Iwaś.

— Wspomnieniom żalobnym...

Zamilkli. Szparko puścił się Jakób przez ciemniejące uliczki ku wybrzeżu. Na placyku przed dwoma hotelami, na którym zwykle, dla bliskości giełdy, bywa tak gwaro i ludno co rana, tym razem pusto było i smutno. Nie zachodząc do Federa, weszli na pierwsze piętro francuskiego hotelu.

Colomi zajmowała salonik bardzo ładny i świeży, w którym znajdowało się prawie całe towarzystwo. Moskal. na balkonie sparty, palił cygaretkę zamyślony; Lucia sama gospodarzyła i przyjmowała u siebie.

Widać, że ci goście improwizowani niebardzo towarzyszowi jej przypadli do smaku, bo milczał jakoś posepny, nie mieszając się prawie do rozmowy.

Cygan, usadowiwszy się jak najwygodniej na kanapie, wodził oczyma po salonie, jakby go nie w świecie nie zajmowało; Francuz był nadskakującym; dwaj Włosi pełni życia, muzyk szczególnie wesół i ochoczy.

Na widok otwierających się drzwi i wchodzącego Jakóba, Lucia sama pierwsza poskoczyła ku niemu, oczy jej płonęły.

— A! *graziel tante graziel tante*—zawołała—jakżeście grzeczni, żeście przyjsć raczyli — to ofara! pojmuje.

— A! cóż znowu!—wesoło bo chciał być gwałtem wesół, odezwał się Jakób—cóż za ofiara przyjść, spędzić część wieczora w tak przyjemnem towarzystwie... i patrzeć na panią!

— A! pochlebca niegodny!—rozśmiała się Włoszka, uderzając go po rękach — cichoż mi z komplementami... ho to nieprawda! Siadaj pan zaraz i mów z kim się spotkałeś? kto jest ta piękna pani, co śpiewa tak tęskno, że słuchając jej, chce się zapłakać? Dlaczego ona, ujrzawszy pana, krzyknęła? czemu pan, zobaczywszy ją, pobladłeś?

Jakób miał wiele mocy nad sobą, lub może wszyscy, posądzający go, mylili się—zaczął się bowiem śmiać szczerze, tak szczerze i serdecznie, że nawet kobietę oszukał, a przynajmniej zachwiał cokolwiek jej wiarę w romans jakiś i tajemniczą historię, o której udział go posądzała.

— O! pani masz prawdziwie włoską wyobraźnię—zawołał—widzę, żeś dośpiewała pieśni smutnej w sobie, i żeś mnie wplotła w wieniec cierniowy, który ta istota nosi. Ale, niestety! kosztuje mnie to wiele, niemniej, miłując prawdę, muszę się wyrzec tego bohaterstwa... i zejść na prostego widza w tłumie, a urok, jaki mi nadaje ta zagadka, rozpędzić. Tę panią ja znam zaledwie tyle — ile współziomkowie znają, a co więcej współwyznawcy... Ona i mąż jej, jak ja, są z Warszawy i jak ja, są Żydzi; naturalnie więc znamy się dobrze i znamy od dawna. Otóż cała zimna prozaiczna prawda.

Włoszka tupiała nóżką niecierpliwie.

— Ta prawda nie może być prawdą—rzekła—
ja patrzyłam na pana w chwili, gdy ją ujrzałeś.

Jakób powtórnie na usta uśmiech przywołał.

— W istocie—rzekł—musiałem mieć postawę
tragiczną i fizyognomię zdziwioną... bo mi jest znana
dobrze smutna historia tej kobiety.

— A! więc jest historia... i smutna!—widzisz
pan!—jest historia tej kobiety?—podchwyciła Lucia.

— Temu nie przeczę — rzekł Żyd — tylko nie-
stety! ja w niej żadnej nie grałem roli.

Włoszka spojrzała mu w oczy, ale wytrzymał
to badające wejrzenie i nie wydał się z żadnem
uczuciem.

— Zaklinam pana—odzwalała się Lucia, chwy-
tając go za obie ręce i wdzięcząc się do niego—
pan mi powiesz tę historię — nieprawdąż? — Ja je-
stem kobieta — ciekawa — ja proszę, ja umieram
z pragnienia!

— Uprzedzam panią, że to jest zresztą histo-
rya bardzo pospolita — przerwał Jakób — ale jest
w niej pewien odcień żydowski, nasz... mniej dla
was zrozumiały... Więc rzecz oklepana, barwa
dziwna, a co do mnie, jestem najgorszym opowia-
daczem powieści; mam to w naturze, iż mówię długo
i nudnie.

— Tem lepiej, gotowiśmy słuchać do rana,
ale nie męcz nas pan i zaczynaj zaraz.

— A! pozwól mi pani odetchnąć—rzekł Jakób,
rękę po czole przesuwając i siadł milczący.

— Jeśli historia w istocie długą jest, jak się
to pan zdajesz zapowiadać, a w niej gra rolę sen-

tymentalna kobieta... uchowaj Boże, jeszcze suchotnica, przytem mąż głupi i wielkiej szlachetności kochanek, to bądźcobądź ja jej słuchać nie będę—przerwał Francuz — *je sors d'en prendre*, całą odgadnę odrazu.

— Ja także—dodał Cygan—bo to wiecznie taż sama historia, która się nieustannie powtarza... Ale któż się dziś jeszcze kocha!!

Włoszka zakrzyknęła przeciwko temu okrutnemu bluźnierstwu, ale Cygan nie zważając na to, mówił dalej spokojnie:

— Powinniście to państwo byli zauważyć, że czasy miłości rycerskiej przechodzą, jeśli już nie przeszły... tylko gołębie są tak naiwne, że zdychają z tęsknoty po sobie. Czytałem to, że średnie wieki, *chevalerya*, wydała tę miłość absolutną, na którą potem ludzkość chorowała kilkaset lat: dziś, jak we wszystkim, tak i w tem, ludzie wracają do dawnego porządku. Za sto lat dziwić się będą, że się kiedyś kochać mogli... apo trosze i śmiać z tego.

Mówię tu tylko o tej miłości przesadzonej Koloandrow, bo ta miłość, jaką miała Calypso dla przystojnego wojaka, lub Neron dla pięknej Poppei—ta wiecznie trwać będzie: ta jest w porządku rzeczy ludzkich; tylko miłość wzdychająca, tęskniąca, usychająca za idealną istotą już dziś wychodzi z obyczaju. Proszę mi pokazać, kto się dziś wiekuście kocha, a nawet kto dla miłości choćby parę tysięcy franków dochodu poświęca?

Panny idą zamaż, gdy ojcowie i matki im zaręczą, że mąż dostatni, a przytem przyzwoity

i niewstrętliwy, mężczyźni się żenią dla majątku i mienia, czasem dla młodości i wdzięków, ale nie dla tego kaprysu, co się nazywa miłością.

— To coś okropnego! — krzyknęła Włoszka — pan śmiesz utrzymywać...

— Faktami się świadczę, patrzajcie na świat, miłości tam nie zobaczycie... Są upodobania, fantazyje, zachcianki, namiętności, znudzenia, próby roztargnień, imaginacye... ale miłości nie znaleźć, gdzież ona?

Włoszka westchnęła.

— Jestże to postęp, czy upadek? — spytała.

— Ja nie wiem — rzekł Cygan. Dla was, piękne panie, smutno zejść z tego piedestału, który wybrane boginie wznosił nad pierwszą lepszą kobietę młodą, świeżą i uśmiechniętą... ale cóż począć przeciwko tym głupim faktom, które są niezbite i uparte, jak fakty?

— Ale czyż jednak jest to faktem? — spytała Włoszka.

— Niestety! — odparł Cygan — nie narzucam wam przekonania mojego, ale proszę tylko, patrzajcie... Dawniej mówiono o miłości dwóch dusz, stworzonych dla siebie; dziś się lubi ciał dwoje.

— Tak, to prawda po części — przerwał smutnie Jakób — ale świat odartym jest z tego uroku równie jak z wielu innych... niewiasta zeszła na kobietę, jak życie zeszło na prozę. Tem gorzej, gdy zabraknie ideałów, gdy źródło, co żywiło poświęcenia, wyschnie do dna. Zgadza się na to, co mówi pan Gako, ale do faktu jego dodam jeden komen-

tarza. Ludzie się nie kochają, to prawda, ale za to życie im tak stęskniało, że liczba rozpustnych samobójstw z nudy i znużenia powiększa się codziennie. Życie nie mamy o czym.

Włoszka klasnęła w dłonie i podała sorbet Jakóbowi, jakby nim chciała przypomnieć mu opowiadanie i zwilżyć doń usta. Cygan poziewał znowu, Moskal świeżę cygaretkę zapalał, Franuz wyliznął się cichaczem... wszyscy posiadali, a Żyd nareszcie powoli mówić zaczął:

— Mało jest instytucyj i praw fałszywiej wogóle osądzonych i gorzej przez świat zrozumianych nad stare mojżeszowe prawo. Wolno mi go bronić, bo ono jest zakonem mojego narodu i jednym z najstarszych praw całej ludzkości; na jego tradycjach opiera się i wasze chrześcijańskie prawo. Nie zapominajmy, że Chrystus powiedział, iż nie przyszedł go obalić, ale dopełnić.

Powszechnie mniemają, że w prawie tem kobieta została upośledzoną, że u Hebreów była niewolnicą. Tak nie było wcale.

Obyczaj narodu wiele odchodził od prawa, przesiąkał często barbarzyństwem wieków, nabierał form pogańskich, ale samo prawo nie poniżało kobiety.

W języku Biblii, niewiasta zowie się mężyną, (Isz-Iszah), jest równą mężowi, jest przeznaczoną na towarzyszkę jego, na połówicę, na istotę swobodną. Nawet niewolnice wojenne szanować każe mojżeszowe prawo (Deuteronom XXI 10. 15). Wieleżństwo jest zakazanem wyraźnie, a skuski jego

szkodliwe, demoralizujące wykazuje cała Biblia. Wyjąwszy kapłaństwo (choć i kobietom także wolno było przynosić ofiary), niewiasta u Hebreów we wszystkim stała na równi z mężczyzną. Żadne prawodawstwo, nawet późniejsze (coż dopiero z wieków współczesnych, lub blizkich mojąszowemu) nie podnosi kobiety do wysokości hebrejskiej niewiasty. Matki Machabeuszów i Judythy... stawia przykład, czem one były.

Tak jest aż do epoki królów u Hebreów, później znika powoli niewiasta, ale też i naród upada; obyczaj pogański wciska się w rodzinę żydowską. Wszakże i później jeszcze nawet tak szanowano wolę kobiety, że ojciec jej własny, który do lat dwunastu mógł rozporządzać dziecięciem i przyobieczać je zamaż, dopóki była małoletnią (Ketannah) nie mógł jej zmuszać do małżeństwa przeciw jej woli, gdy doszła do lat (Nairah).

Kobieta u nas była szanowaną, ale ciężkie czasy przesładowania i ją dotknęły... zamknęły w domu, odosobniły, skazały na pracę, naraziły na upadki. Naród też nasz cały. choć wyniósł z tych płomieni dogorywającej Troi swego Boga, nie zachował w całej czystości prawa i obyczaju dawnego. Nawet zbyt przywiązanie się do tradycji i martwej ich litery, odebrało im ducha. Społeczność nasza doszła tak do ostatnich czasów.

Równy z ustajacem prześladowaniem Żydów, bezstronni ludzie dojrzeć mogą jego skutek; czego nie mogło dokazać najsrozsze tępienie i nękanie, tego dopięła obojętność. Żydowska społeczność tak spójna

w nieszczęściu, rozprzegła się, zlała ze światem otaczającym, zmieniała. Nie mogliśmy całkiem przestać być sobą, zetrzeć z czoła to, co palcem Bóg na niem napisał, coś w sercu i duszy pozostało w nas odrębnego — ale z tęsknotą do utraconej ojczyzny, ustającą, wystygłą, większość zubożyła dla wiary, podań, obyczajów i obrzędów.

Przebaczcie mi, państwo, ten wstęp poważny do sielankowej historyjki; znajdzie on swe zastosowanie w następnej powieści o kobiecie i mężczyźnie.

— Ja sędzę, że przynajmniej dwóch mężczyzn w tej historii znaleźćby się powinno! — zawołała Włoszka z uśmiechem.

— Jednego dosyć będzie na wytłumaczenie wszystkiego—odparł Jakób—choć w istocie dwóch, a nawet trzech, mieścić się może w mojem opowiadania.

— A! bez tego nie byłoby dramatu!—zawołała Włoszka.

— Pani, są i monodramy straszliwe, z jednej osoby i jednego składające się serca — rzekł Izraelita.

— Widzieliście wszyscy—mówił dalej — przechodzącą tę niewiastę, której głos doszedł was z okna... Jest to... najnieszczęśliwsza z istot na ziemi, dlatego tylko, że będąc Izraelitką, zmuszoną została być kobietą bez żadnej wiary, bez ojczyzny i bez nadziei... żyć teraźniejszością i rzeczywistością surową... gorzkim chlebem szyderstwa i ironii.

Ojciec jej, bogaty Izraelita, należał, należy raczej do tych, którzy odebrawszy europejskie wychowanie, zaczerpnęli z niego pełną dłońią wszelaki sceptycyzm... Prześladowani, poniżeni, rozjątrzeni na społeczność, najłatwiej się nim poją. Sam o swych siłach dawszy sobie naukę, ogłade, sam dobiwszy się ogromnego majątku, uwierzyć musiał w człowieka, a resztę, wyższą, świętszą, co wiąże go z ludzkością, z niebem, z Bogiem, jako mrzonkę odrzucił. Zabobonami wydały mu się wszystkie wiary, nawet jego własna: mistycyzmem chorobliwym pragnienia zaświatowe, słabościami uczucia... Dorabiając się majątku, wypróbował on, że robi się wiele wola żelazną, gdy się nie szanuje ludzi, przyznał więc wiele woli — szczęściu wiele, naostatek najwięcej może rozumowi. Po za tem nie było dlań już nic, prócz poematów, tworzonych dla zabawy, dla ułudy lub na obalamucenie słabych.

Matka Tildy (jest to jej imię), była jeszcze prawą Izraelitką, ale ją bardzo wczesnie odumarka; później dziecię chowały obce, najemne niewiasty, szydzące z judaizmu, ale też żadnej nie mające wiary; później jeszcze dano jej czytać książki wszelakie, kształcące rozum, uczące sceptyzmu, rozbijające mgły marzeń, odzierające ze złudzeń, hartujące do życia bez mrzonek, bez ideałów... do życia. powiedziałbym—zwierzęcego niemal, ujętego w pewne formy cywilizowane.

Uczono ją tak jasno, że niema właściwie cnoty ni występku, a jest tylko rozum i głupota, przyzwoitość i nieprzyzwoitość, zdrowa rachuba i nie-

opatrność zgubna — że biedne dziecko, wysuszone zawczasu, odarte z tych skarbów, któremi żyją szczególnie uczuciowe istoty — wyszło w świat ze strachem i wstrętem do świata. Świat przedstawiał się jej, jako tabliczka Pytagoresa, ludzie jak cyfry, które rozumieć było potrzeba i spożytkować... Wyobrażenie, jakie jej dano o społeczeństwie, wcale do niego nie nęciło.

Dla niej potrzeba było tego zapachu, tej woni uczucia w kwiecie życia, która mu urok daje; najcudniejszy kwiat ten był dla niej martwym i zeschłym.

Nie dopuszczono się jej ludzi — powiedziano zawczasu:—Ludzie są źli, zimni, obludni, trzeba się strzedz ich złości, na kłamane uczucia nie rachować, słowom nie wierzyć, starać się kochać, aby nie być oszukaną. Zresztą dodano, jako korolariusm moralne:—Trzeba być pocziwą, bo to daje spokój, a uczciwość jest najlepszą rachubą — występki niebezpieczeństwem. — Szkarady występku, wdzięku cnoty nikt jej nie ukazał—wedle tej teorii występki były prostą niezręcznością w sobie obojętną, cnota też nie miała blasku, ale procentowała na świecie... Hypoteka na nie była bezpieczna, choć wielkich zysków nie obiecująca.

Ponieważ nie wiedziano jeszcze, czy Tilda pójdzie za Izraelitę, za protestanta, czy za Turka lub za katolika, w rzeczach wiary i tradycji, nie przywiązując do nich wagi zbytecznej, dano jej wolność oświecania się i pokierowania jak chciała. . Czytała więc Biblię, ale z tej Biblii ojciec jej codzień się

naśmiewał, a krytyka obalała ją i rzucała na śmiecie; czytała książki mistyczne i sceptycyzmu pełne, bez wyboru: z tego wszystkiego, co się wzajem unieważniało, w młodym umyśle pozostało tylko niezmiernie zwątpienie.

Dodajmy do tego to wychowanie praktyczne, które usiłowało zawczasu wyrwać jej serce, jak się wyrывa zęb spróchniały, aby później nie bolał, a będziemy mieli zarys tego, co z nieszczęśliwego uczyniono dziecięcia.

Tilda wyszła w świat ślicznym posagiem, bez ochoty do życia, ze strachem i niepokojem...

Wiedziała odrazu, że nie będzie szczęśliwą, bo w takim świecie, jaki dla niej stworzono, nie ma szczęścia dla istot szlachetniejszych; to, co w duszy czuła, jako niezbędną potrzebę, usprawiedliwiało się prawami, nadanemi dla żywota. Pragnęła czystego uczucia, wskazano jej rachubę, jako jedną normę wszystkiego, a to uczucie jako fałsz, jako grzeszną słabość, jako głupkowatą chorobę ludzi przeznaczonych na zgubę i pogardę.

Mimo, że wielu rzeczy nie wiedziała, bo je przed nią ukrywano starannie, domyślała się ich, trącała codzien o szorstką rzeczywistość stosunków dla niej niepojętych. Ojciec jej, owdowiały, żył wedle swej fantazyi, żadnemu nie ulegając prawu moralnemu, dogadzając zachceniom zwykłym w ludziach, którym uczuć braknie, a w zasady nie wierzą; wszystkiego pragnąc, chcąc się wszystkim nasycić—co tylko dla nich jest dostępnem. Pomimo ściśle przestrzeganej przyzwoitości w domu, Tilda

nie mogła nie widzieć ojca stosunków i nie przekonać się, że w nich serce najmniejszego nie miało udziału. Tysiąc razy jej młody instynkt szlachetny rozbijał się krwawo o ten materializm ojcowski, który dla świata przybierał się wspaniale, a w domu był bardzo powszednią i nielitościwą prozą życia. Inna kobieta, pod wpływem tych zgubnych przykładów, w tej atmosferze uperfumowanej a chłodnej, byłaby się zepsuła—ona zrozpaczyła tylko.

Nauka i sztuka stały się dla niej schronieniem, wśród którego szukała ulgi i pociechy. Sztuka mówiła jej przynajmniej o tym świecie zaświatowym, któremu gdzieindziej przeciono, z którego szydzono, o uczuciu zapartem, o tem wszystkim, czego pragnęła, a czego ją pozbawiono.

Niema może straszniejszej męczarni nad taki żywot istoty szlachetniej uorganizowanej wpośród zwierzęcego społeczeństwa szyderców i sceptyków; kaleczącej się nieustannie o wszystko, co ją dotyka.

Tilda w czternastym roku życia już była tak smutną, tak znudzoną tym bytem bez przyszłości i nadziei, jak jest dzisiaj. Przed nią wprawdzie była niezawodna, jasna, świetna pewność zamęscia, które jej życie wygodne, miłe, wesołe zapewnić musiało... nic więcej. Ojciec, przy swoim bogactwie, stosunkach i próżności, pewien był wyszukania dla niej męża młodego, dobrze wychowanego, bogatego. Że na inne warunki zważać nie miał, to było z góry przewidzianem; że nie ścierpiałby od córki, którą kochał po swojemu, większego nad swój rozum

lub własnej jakiejś woli, to także nie ulegało wątpliwości.

Właśnie, gdy wpośród tych zatrutych wyziewów dorastała, jak najstaranniej wychowywana pod innemi względami, córka możnego Izraelity, w domu ich zjawił się...

— A! przecież — przerwała niecierpliwie Włoszka — oczekuję go oddawna... zjawił się — młody człowiek?

— Tak jest—ciągnął dalej Jakób—z niejakim wstrętem przystępując do tej części opowiadania.— Tak jest, młody Izraelita. Pozwólcie mi państwo niezbyt ściśle określać charakter jego i ominąć ten wizerunek bohatera powieści mojej. Bohaterowie, nawet tak prawdziwych opowiadań, jak moje, są wogóle wszyscy do siebie podobni. Mają, jak wiecie, powierzchowność ujmującą, wszystkie cnoty, instynkta jak najszlachetniejsze, serce czułe, głowę trochę rozmarzoną i tam dalej, i tam dalej.

Mój mało co się naówczas różnił od pospolitych bohaterów, ale miał w dodatku pewne cechy właściwe sobie. Naprzód był to chłopak ubogi, a więc wychowany nie do salonu, ale przechodził szkołę nędzy, upokorzenia, cierpienia i nie dał się złamać: był on silny w sobie, energiczny, choć wcale niepokąźny; dosyć skromny, cichy, w sobie zamknięty jak wszyscy, co zawczasu cierpiąc doznali, że popis z boleści wywołuje tylko szyderstwa, które ją podwajają.

Bogaty ów Izraelita, ojciec Tildy, był dalekim jego krewnym: wziął go na dokończenie wychowa-

nia, a dopatrzywszy w nim zdolności, zamierzał pokierować w świecie przez resztkę jakiegoś szlachetnego uczucia braterskiego obowiązku, która w nim stanowiła może ostatnią i jedyną cechę startego już żydostwa. Chciał go przytem użyć dla siebie, jak spożytkowywał wszystkie zdolności na korzyść swoją; chciał może pochwiliwić się też, iż dał światu człowieka, po którym się wiele było można spodziewać. Nadzieje te nie były całkiem usprawiedliwione, bo młode i wczesne talenta niezawsze w przyszłości obiecują owoce.

Jakiś czas, człowiek ów młody miał przebyć w domu, lub przy domu swego opiekuna; kończył on nauki, a zarazem nabywał praktyki handlu, do którego był przeznaczonym. Protektor miał go później jeszcze wysłać zagranicę, aby się wykształcił i służył mu za narzędzie w jego spekulacjach i obrotach, jak księga podręczna, manual naukowy, handlowo-ekonomiczny.

Tymczasem zbliżyć go do siebie pragnąc i zawczasu wprawić do przyszłej posługi, opiekun kazał mu bywać w swym domu nieomal codziennie, dał mu nawet mieszkanie w oficynach obszernych zabudowań, które było przepysznie, po pańsku urządzone, dla niego i rodziny.

Nazwijmy młodego człowieka pierwszym lepszym imieniem.

— Więc choćby Jakóbem — cicho szepnął, uśmiechając się Iwaś, którego odezwanie się ściągnęło nań wejrzenie Izraelity zdziwione i niespokojne.

— Ale nie, nie...—rzekł żywo — imię mu było Jonasz, co z łatwością na sposób krajowy da się przerobić na Janusza... Więc Janusz.

— Ale nie przerywajcie mu państwo — odezwiała się Włoszka.— A więc Janusz.

— Pani, doprawdy nie wiem, czy resztę opowiadać warto, tak jej się łatwo domysleć. Pani nie byłabyś kobietą, gdybyś jej nie odgadła. Dwie dusze sieroce, stęsknione, wierzące w poezję życia, nie mogły się spotkać bezkarnie. Tilda znalazła w nim istotę szlachetną, on w niej ideał, jeszcze spotęgowany smutkiem, jeszcze uroczywszy tęsknotą, tą cudowną powłoką, która uświęcać się zdaje, czegokolwiek dotknie.

Ale w domu opiekuna wszystko było przewidzianem ostrożnie, a najmniejszy pozór zbliżenia, byłby ściągnął podejrzenie i nielitosciwe z raju wygnanie. Oboje tak to dobrze rozumieli i tak się tego lękali, iż największe czując ku sobie współczucie, stali zdala, obojętni, z obawy, aby podejrzenie najłżejsze ostatniego im dobra nie wydarło.

Rozmowa wśród pełnego salonu wieczorem, na przechadzce, w ogrodzie, przy fortepianie Tildy, spojżenia, pół słowa, całą były zdobyczą... Ale i to stanowiło tak wiele!..

Ojciec ani przypuszczał nawet, ażeby ubogie chłopię śmiało pomyśleć o milionowej dziedzicze, która mogła marzyć o jakim małym Rotschildziku. Zresztą, jeśli się jej domyślał, lekceważył może tę dziecinną miłość eteryczną, którą uważał za nieszkodliwą zabawkę, młodemu wiekowi właściwą,

a żadnych za sobą skutków nie mogącą pociągnąć.

Guwernantka Angielka, trochę przywiedła już panna, która lubiła się bawić w miłości platońskie i miała sama nieco słabości do młodego chłopaka, spodziewając się go mnóstwem talentów swych oczarować — nie zrażała wcale: brała ona jego zbliżanie się na własny rachunek, starała się go pociągnąć — on z tego, dla widzenia i rozmowy z piękną Tildą korzystał.

Opiekun, dostrzegłszy strategię Angielki, bo miał na to oko wprawne bardzo, ponieważ sam ku niej nie czuł żadnego pociągu, nie wziął bynajmniej za złe młodemu chłopcu, że korzystał ze słabostki miss... napomniiał tylko żartobliwie, aby zgorszenia jawnego nie było... Szło o przyzwoitość, o skutki jak najmniej... Wydawało mu się bardzo naturalnem, iż chłopiec męski swój zawód rozpoczynał.

Tu przerwał mowę Jakób, jakby mu zabrakło wątku. Włoszka podsunęła sorbet, milczeli wszyscy. Po chwili począł głosem cichszym, znużonym:

— Niech każdy z was, słuchacze moi, przypomni sobie dni pierwszej młodości i pierwszy kwiat tej wiosny życia... pierwszą swą miłość. Wyobraźcie sobie tę stęsknioną istotę, której kazano czołgać się po ziemi, ulatującą ku niebiosom rozwiniętymi skrzydły, nieśmiało, bojaźliwie, rozkosznie zarazem i boleśnie. Tilda, gdy już zwątpiła była o życiu, ujrzała przed sobą promieniejącą jego jutrzeńkę. Godziż się nawet domówić, że miłość ta była dziecinnie czystą, cudownie, anielsko eteryczną. Mło-

dzieniec czcł ją, jak bóstwo, ona widziała w nim zesłańca, co jej kraje nadziemskie zwiastował.

Otóż i koniec powieści... jedno uczucie ciche, niewyjawione, w sobie zamknięte...

Chodzili tak po ogródku i starczyło im dwóch słów, by byli długo szczęśliwi, widzieli się raz we dnie, z daleka, we wzroku swym czerpiąc do życia siły.

Nigdy nawet ten wyraz — miłość, ust im nie pokalał, była to nie namiętność młodzieńcza, ale dziewicze, braterskie uczucie, instynktowe, nie wymarzone w głowie, ale wywołane serc jednako bijących potrzebą.

I mieli chwile rajskie milczenia, jak poemat wymownego, rozmowy, pół-słowa niezrozumiałe dla nikogo, szczęścia wieki w uśmiechu, pamiątki najdroższe w rzuconym kwiatku — wszystko, co wiek późniejszy dzieciństwem nazywa, czego się zeschłe serce zapiera, z czego rozum obumarły szydzi...

Miłość ta niewidomą przeszła dla świata, pozostała najzupełniejszą tajemnicą i ani ojciec, ani podejrzliwa guwernantka, nie domyślali się jej wcale. Ojciec nawet znajdował czasem, że córka była nazbyt nieśmiałą i zinną dla wychowanka domu, a miss... wyśmiewała niezgrabstwo chłopaka, gdy, drżący, zbliżał się do kuzynki. Brak teorii, czy praktyki — nie wiem — pocieszał ją tem, że Janusz w jej towarzystwie nierównie był ożywionym bardziej i śmielszym.

Tak dramat ten sercowy, bez przyszłości i nadziei, przeszedł dla nich obojga jak sen u drzwi raju.

Jednego poranka, mylę się—jednego popołudnia, ojciec oznajmił córce dość obojętnie, aby się przybrała staranniej, gdyż dnia tego spodziewał się na obiad gości.

Na chwilkę przed obiadem, który zawsze był bardzo wykwintny, ukazał się w salonie człowiek młody, bardzo przystojny, widocznie jak najlepiej wychowany, wybornie umiejący się znaleźć w towarzystwie, którego ojciec zaprezentował córce jako pana Henryka Segel.

Są przecucia. Ten Antinous o czarnych, palących oczach, o słodkim uśmiechu warg różowych, tak miły, tak dowcipny, śmiały, pewien siebie, tak nadskakujący, tak grzeczny—przestraszył Tildę.

Są wstręty niewytłumaczone, chyba fizjologicznie lub psychologicznie—uczuła ku niemu jakąś instynktową, dziwną, gwałtowną odrazę... choć nie mogła mu nic zarzucić... Był ideałem młodego mężczyzny, okazało się nawet, że lubił i znał dobrze muzykę... a po cichu szeptano, że ogromny miał majątek.

Trzeciego dnia potem, bez żadnych pytań i przygotowań, ojciec zapowiedział córce, nie badając wcale jej zdania, że pan Henryk Segel jest jej—narzeczonyni.

Ojciec powiedział to, winszując jej tylko, że mu się bardzo podobała, żartując, że się szalenie w niej zakochał, ale takim tonem, że biedna, najmniejszej nawet uwagi zrobić nie mogła; rzecz była rozstrzygnięta, postanowiona, skończona. Był w istocie tak przyzwoitym młodzieńcem, że wszelkie

sprzeciwienie się z jej strony wydałoby się niedarowanym dziwactwem. kazano jej to uważać za szczęście.

Nie odpowiedziała więc słowa, pobiła tylko i zamilkła.

Powinszowania ze wszech stron sypały się gradem. Tilda cierpiała straszliwie, wstręt jej był nieprzeciętny, wzrok zbolały mówił Jakóbowi...

— A! przepraszam, omyłka — przerwał Iwaś — wszakże podobno nazywał się Januszem?

Jakób poczerwieniał i pobił, zmieszał się, wątek opowiadania był przerywany, chwycił szklanę, podniósł ją do ust, postawił, potarł czoło... nie wiedział już, co mówić dalej.

— Tak jest, tak jest — wyjąkał nareszcie — omyliłem się... tak jest... Wzrok jej mówił... Ale prawdziwie, nie wiem, co płeć... A! tak, przepraszam, powracam do rzeczy i kończę wprędce.

— Nie spiesz się pan — cicho szepnęła Włoszka.

— Był wieczór, ciepły wieczór wiosenny — począł żywo Żyd — bzy okwitały, ostatkiem woni napełniając powietrze: na liściach perliły się kropelki rosy wiosennej... Ona i miss Jenny wyszły na przechadzkę. Na ławce siedział Janusz z książką, której nie czytał. Angielka, spostrzegłszy go, skierowała ku niemu przechadzkę.

Szczęściem, czy nieszczęściem jakimś, przyjaciółka jej, miss Fanny, nadeszła w tej chwili w odwiedzin. Przypadek zrządził, że Tilda została na chwilę sam na sam z biednym chłopcem, który

był szczęśliwy nad wyraz i przestraszony tem zdarzeniem niewypowiedzianie. Szli obok siebie drżący, przybici, na pół żywi. Angielki miały mnóstwo pilnych rzeczy do powierzenia sobie pod największym sekretem, zostawiły ich na ścieżce. Gorzej, miss Jenny szepnęła na ucho wychowanicy: — Odprowadźże go od nas.

Szli więc sami i milczeli, ona zmieszana, obrywała kwiatek z listków, a na listki jego, jak rosa wieczorna, poczęły padać niewidziane we mroku łzy: on patrzył na nią i po męsku płakał wewnątrz, w własną duszę. Tam łzy padały jak ropalone iskry i gorzało mu łono. Nagle Tilda stanęła, podniosła głowę śmiało, zwycięsko, jakby złamała siebie samą, przyłożyła rękę do piersi, spojrzała na niego wejrzaniem niezapomnianem, jakby go oczyma poślubiła na wieki.

— Wkrótce — rzekła — rozstaniemy się, wiesz, jakie czekają mnie losy!.. Miło mi będzie wspomnieć nasze spokojne przechadzki wieczorne, a wam, a tobie? Będzieszże o nich — i o mnie — pamiętał?

Pierwszy to raz w życiu mówiła do niego tym głosem zapłakany, z taką czułością, tak wyraźnie o sobie i o nich dwojgu, tak do serca. Janusz zbladł, zdało mu się, że oszaleje... serce mu uderzyło tak, że się za pierś pochwycił ręką drżącą.

— O tobie, Tildo — o tem niemem szczęściu, które przeżyłem tu z tobą... O! nie zapomnę do śmierci... po śmierci! Przysięgam ci, że żadnej nigdy nie poślubię i nie pokocham kobiety, bom ciebie ukochał tak, jak się raz tylko kocha w życiu.

Nie mówiłem o tem, potrzebaż mówić było? Tyś wiedziała.

— Tak jest, wierzyłam w to i wierzę — odparła — ale życie jest długie, a pamięć niewierna. A! pamiętaj o mnie — dodała. — Dla was, napisał ktoś, miłość jest zabawką tylko, dla nas ona życiem całym... Jam kochała ciebie i kochać będę.

Jakieś ciche łkanie stłumiło cicho wyrzeczone wyrazy.

— O! nie dla mnie, nie dla mnie miłość taka byłaby igraszką—rzekł Janusz—dla mnie to najuroczytsza chwila życia, to wesele dusz naszych... na wieczność...

— Ja ci wierzę — odparła kobieta — i dlatego kocham ciebie, że wierzyć ci mogę. Czemu? nie wiem. Czuje, żeś czysty, i poczciwy, i szczery. Wiesz już o losie moim? Oddają mnie temu człowiekowi, którego ja nie kocham, do którego czuję wstręt niezwykły. Ale ja żyć nie będę długo, ja sobie umrę powoli. Ty pamiętaj o mnie, zbuduj mi mogiłę w swojej duszy... Nikt o mnie potem nie wspomni, ojciec mi pomnik postawi, mąż mnie wspaniale pochowa... a potem, grób zarośnie, pamięć zginie... Tak z życiem człowieka.

Westchnęła biedna.

Anieli tak żywą między sobą zajęte były rozmową, Jenny tak im wyraźnie kazała iść dalej, że te pierwsze i ostatnie wyznania mogli i musieli przedłużyć.

— Dziś—rzekła Tilda—widząc cię smutnym, postanowiłam rzucić tych słów kilka. nie wiem, po-

ciechy. czy smutku. na pożegnanie. Któż wie, nie spotkamy się może więcej sam na sam — nigdy... nigdy! Ale ty będziesz wiedział, będziesz wierzył, będziesz pamiętał żem cię kochała, że kochać cię będę do śmierci.

„Tildo! — zawołał nagle. buntując się przeciwko losom młody człowiek — jeżeli wierzysz we mnie, jeśli ufasz sercu i szczęściu mojemu... rzuć dom, ojca, oto dwie dłonie, które na chleb zarobią ojciec przebaczy, będziesz moją, będziemy z sobą.

— Nie—odpowiedziała po chwili namysłu kobieta—nie. Posłuchaj mnie. Kocham jak dziecko, ale jestem stara i znękana... Ja w żadną przyszłość nie wierzę, dla mnie niema przyszłości, przyniosłabym ci jedną chwilę szczęścia może, a dużo znoju, utrapień i zgryzoty. Nie godzi się, abyś ty okazał się niewdzięcznym i zdrajcą względem ojca mojego, któremu winieś wszystko, który cię przygarnął... nie godzi się nawet dla ocalenia mnie—nas!!

Kto wie—mówiła powoli — czy znalazłbyś we mnie, w tej istocie uwiędłej, to, czego byś się po niej spodziewał. Jam w kolebce została otrutą, tyś mnie uleczył, ale skutek trucizny powraca, niewiara rodzi się znowu, śmiech szatana w uszach słyszę, nawet gdy łzę mam na oku.

Nie—nie! stokroć nie... będziesz mógł kochać umarłą, kto wie, czy długo kochałbyś żywą?

I skinieniem ręki pożegnawszy go, nagle odeszła, jakby się dłużej lękała pozostać, dać skusić

i namówić... Powróciła za chwilę uzbrojona rozważą. Janusz stał jeszcze w miejscu.

— Jak ci się podoba mój narzeczony? — spytała.

— Nienawidzę go.

— Czy dlatego, że mój narzeczony?

— Nie, takie wrażenie na mnie uczynił od pierwszego wejrzenia.

— Czem?—spytała.

— Nie wiem, jest mi wstrętny, choć nie mam mu nic do zarzucenia; według programu dzisiejszego wieku, czegoż mu brak? Umie wszystko, jest stateczny, bogaty, przystojny, młody i nieposzlakowanej sławy... jest nawet miły — a nieznośny.

— A ja się lękam — odparła Tilda — że to nawet nie jest człowiek! Jest to jakaś istota, w której serce nie bije, automat, ręką XIX wieku wyrobiony misternie, który umie, co potrzeba. który jak automat jest niemylnym, ale ani płakać, ani boleć, ani użalić się, ani zrozumieć słabości i cierpienia cudzego nie potrafi. Da on sowitą jałmużnę przez uznanie jej potrzeby lub obowiązku, przez pychę lub rachubę, ale biednego nie uściśnie, nie ukocha... ale z nieszczęśliwym nie zapłacze, dla upadłego mieć nie będzie litości.

Żelazny wiek nasz ludzi swych robi z żelaza, — kraja, jak żelazo, a krew, co ścieka po nich, to tylko rdzy plamka.

— Może jesteś za surową, lecz... i we mnie takie on obudza przecucia — dodał młody człowiek — ale miłość i kobieta dokazują cudów.

Z sercami i z ludźmi, nie z automatami — dodała Tilda — zimno mnie przechodzi, gdy nań spojrzę; jest w nim coś przerażającego, w tej słodyczy, uśmiechu, w tej wiekuistej pogodzie i weselu, które naturalnemi być nie mogą. Nie potrafi się rozgniewać, oburzyć, zadumać... jest zawsze jeden, wiecznie martwy. Raz tylko widziałam go obruszonym, roznamiętnionym — chodziło o to, że się omylić mógł on! on! on nieomylny! Samo przypuszczenie było zbrodnią!

Lituj się pan nade mną! lituj — dodała i wyciągając dłoń nieznacznie ku niemu, wsunęła mu w rękę zdjęty z palca pierścionek.

— Kupiłam go umyślnie dla ciebie—rzekła— zachowaj go na pamiątkę biednej istoty, która cię kochała... Czarny jest, żałobny, umyślnie, jak ta mileżąca, grobowa miłość nasza, której od dziś już więcej ust nawet otworzyć nie wolno.

I nie odwracając się już ku niemu, odeszła powoli do domu, obie Angielki ciągnąc za sobą.

W ich życiu ta chwila jasna była pierwszą i ostatnią. Widywali się codzień potem, ale jak obcy sobie, tak jak dawniej, witając i żegnając wzrokiem i raczej unikając siebie, niż szukając. Miłość ich nic nie pragnęła nad to, by cichą i ukrytą trwać mogła.

Tilda posmutniała, pobraźla, przyjęła z rąk ojca narzeczonego, na tem skończyło się wszystko.

Wkrótce odbyło się wesele, było ono nadzwyczaj szumne, niesłychanie wspaniałe; ofiara poszła,

strojna w brylanty, atłasy i koronki, na męczeństwo.

Uczta weselna kosztowała tysiące; ojciec uśmiechał się, rozpromieniony, że tak doskonale wydał córkę. Wszyscy wiedzieli, że dał milion posagu, że drugi był przyobiecany, że narzeczony miał ich kilka i świetną przyszłość majątkową przed sobą. Wszystkie matki, ojcowie i rówieśnice zazdrościły — mąż ten wydawał się im ideałem!

Otoż i prosty koniec nader pospolitej powieści mojej.

W parę lat potem, niedługo, spotykacie państwo tego jegomościa z żoną na Aqua Sola. On zawsze szczęśliwy i spokojny, ona kaszląca i blada: on się trochę nudzi, nie wiedząc, aż nazajutrz, co się dzieje na giełdzie paryskiej i londyńskiej — ona, posłuszna, przyśpiewuje mu dla rozrywki ostatkiem głosu... smętną piosnkę Mendelsohna.

Wartoż to było opowiadać? Jestże co pospolitszego nad tę historję powszednią, zwyczajną, oklepaną, dziecinną?

— No, a ten Janusz? — spytała Włoszka.

— Janusz nosi na piersiach pierścioneł swej pierwszej i jedynej, i żyje mężnie a smutnie. W jednej godzinie wyczerpał on do dna całą miłość, która miała mu służyć do żywota... Cóż chcecie? to dziś już tylko łupina człowieka.

— Smutne to nad wyraz — odezwwała się Włoszka — ja, przyznaję, spodziewałam się czegoś więcej i innego, dramatyczniejszego. Ofiara wzbudza

we mnie współczucie niezmierne. Co się tyczy mężczyzny—dodała z uśmiechem —jestem o niego spokojną... ta łupinka się pocieszy.

— Ja wątpię — odparł Jakób—ci się pocieszają tylko, którzy chcą być pocieszonymi, jemu z tym grobem w piersi dobrze.

— Prawda — dorzuciła Colomi — że to historia jakby nie naszego czasu, coś elegicznie prostego.

Jakób wstał z siedzenia, godzina była spóźniona, wszyscy goście poruszać się też zaczęli. Moskal, który słowa nie wymówił przez cały wieczór, sam jeden pozostał, nawet nie udając, że ma wyjść.

— Więc jeśli nie w Genui, to do widzenia w Warszawie—rzekła Colomi do Iwasia i Jakóba— a któż wie? może?..

— Czyż pewno pani jedziesz?

— Zdaje się, że niezawodnie — oglądając się na towarzysza, rzekła śpiewaczka—do widzenia!.. Jeszcze wyjazd nasz zresztą nie postanowiony, moglibyście być panowie grzeczni i zajść do mnie. Dobranoc.

Iwaś i Jakób, pożegnawszy Włochów, zeszli milczący oba do hotelu Federa, naprzeciwno.

— Zdaje mi się, że dziś dalszego ciągu twojej biografii nie posłyszę — rzekł Iwaś — wątpię, byś na to znalazł siły.. nadto cię zmęczyły wspomnienia.

— Wspomnienia... tak, ale cudze—dodał Żyd ze smutnym uśmiechem.

— Wczorajszy człowiek jak często nam bywa obcym!!—szepnął uparty towarzysz—ale milczę.

Zamyśleni tak, nie mówiąc więcej do siebie, rozeszli się na spoczynek.

Gdy się nazajutrz rano Jakób obudził, z wielkiem swem podziwieniem nie zastał już w pokoju towarzysza: powiedziano mu, że Iwaś, wstawszy rano, wyszedł do miasta. Uląkł się tej rannej zbyt wyprawy, chociaż ją bardzo potrzebą przechadzki, kąpieli, lub prostą nawet ciekawością tłumaczyć było można; przyszło mu nawet na myśl, że ubogi chłopak, może przez zbytnią drażliwość, chce mu się wymknąć, by o własnych siłach znowu z nowemi trudnościami walczyć w długiej drodze.

Ale małe zawiniątko Iwasia leżało przy drzwiach, czekał więc na niego trochę niespokojny ze śniadaniem. Nareszcie Iwaś powrócił:

— Chodziłem przejść się trochę—rzekł żywo, ściskając rękę Jakóba—duszo mi tu było w izbie, potrzebowalem powietrza, samotności, nadewszystko ruchu. Od Marsylii idę pieszo; zahartowałem się, nagle zaczęłaś mnie pieścić, to psuje. Zląkłem się już, bym nie zmiękł, ogarnął mną dziecinny niepokój, potrzebowalem się znużyć. Teraz pot się ze mnie leje kroplami... jest dobrze... czuję, że jestem sobą... żyję.

Jakób począł się śmiać.

— Dzieciak jesteś — rzekł — z przeproszeniem, zbytecznie wątpisz o sobie, jak inni nazbyt sobie ufają. Wiedz, że masz potęgę w łonie, którą prze-
możesz wszystko... tą jest *wola*. Dopóki ją w sobie
czujesz, zwyciężysz nią, co zapragniesz przełamać,
choćby samego siebie.. nie lękaj się. Znam ludzi
ze wszech względów znakomitych, którzy niczem
nie są dla braku woli; znam i bardzo zwyczajnych,
których *wola* energiczna postawiła wyżej, niż ta-
lentem zasłużyli.

— Odgadłeś mnie — rozśmiał się Iwaś — ulą-
kłem się utraty woli. pragnąłem w małym boju
z sobą przekonać się o jej sile... Myślałem. marzy-
łem, pasowałem się, jak Jakób, twój hononym, we
śnie... zwyciężyłem...

Wstrzymał się nagle.

— Gdzieżeś był?—spytał Żyd.

— O! nie wiem, doprawdy: wszędzie po trosze!
W pyle gościńca, we wrzawie portowej, w ciszy
Aqua Sola, a nawet pod oknami pięknej Tildy.

Jakób ostro na niego spojrzał.

— Cóżes ty tam robił?

— Sam nie wiem, znalazłem się przypadkiem.
Ale wystawże sobie, co to jest potęga ciekawości,
znalazłem tam moich wczorajszych dwóch Wło-
chów, milczącego Moskala i Cygana. Pokazuje się,
że wczorajsza historia wasza więcej ich zajęła, ani-
żeliście się spodziewali... Trafiliśmy wszyscy, jak
się zdaje, na sam odjazd z Genui owej pięknej
męczenicy...

— Jakto? odjazd? Z jakiego powodu tak przyspieszony? Zmiluj się, mów—zawołał Jakób—jeżeli co wiesz... Może wyjechali na przejażdżkę tylko, w okolicy...

— Ale nie — rzekł Iwaś — projekta dłuższego pobytu w Genui, jeżeli jakie były, odmienić się musiały nagle, nie wiem... To pewna, iż vetturino, stojący przed domem z powozem, upewniał, iż wyjeżdżają do Pizy i Speyi... Nie sędzę bowiem, żeby albo pani sama, albo pan sam wyruszył, a z pakunku wynoszonego wnieść nie mogłem nic, ani o liczbie osób, ani o ich rodzaju... Służący zaś odpowiadać mi nie chciał na pytania.

— Jakto? pytałeś go?

— Trochę, byłem ciekawy

— Wiec wyjechali...

— Musieli wyjechać... nie doczekałem się bowiem ostatka i odejść musiałem, bo nas tam już ciekawych, zbyt wielka zebrała się gromada, a przykro mi było należeć do tego tłumu gapiów.

Zamilkli oba, Jakób smutnie głowę na piersi pochylił.

— Ale — odczwał się po chwili — cóż my robimy z sobą? jakbyś sobie życzył? Mamy siedzieć, czy jechać dalej? Umówmy się, jestem na twe rozkazy, bo mi nie pilno. Jak ci wygodniej?

— Jakto?—spytał Iwaś — a cóż twoja podróż mojej się tyczy?.. Ja sobie idę gdy nieco spocznę, ty zrobisz, co zechcesz.

— Nie rozumiemy się—rzekł Żyd—daj pokój ceremoniom, rzecz umówiona, że ja cię wiozę do granicy. Srodcie a niesprawiedliwie obraziłbyś mnie odmową. Daj mi rękę, pojedziemy razem i woli nie zgubim po drodze. a oszczędzi ci to życia, trudu, który na lepszy potrafisz obrócić użytek...

— Ale...

— Żadnego ale... jedziemy! Którędy wolisz?

— Jak ci się podoba — dodał Iwas — czuję wszakże, że milejby ci było jechać na Specyę i Pizę, a że i mnie się to uśmiecha, więc...

— Dlaczegoś sądzisz?

— Szczerość za szczerość—rzekł Iwas.— Dla tego Jakób wolałby jechać ku Specyi, że Tilda pojechała w tę stronę, bo Janusz i Jakób są jedną osobą. Na piersiach twych odsłoniętych, z rana, gdy wstawałem, widziałem na czarnej wstążce czarną, żałobną obrączkę.

— I bez niej—rzekł Jakób smutnie—łatwo ci to było odgadnąć... Tak! historia to moja, wstydzicie się jej, ani ja, ani ona, nie potrzebujemy... Ten krewny, który mi chodzić kazał do szkół, jest ojcem Tildy, powinienesz go być też poznać lub domyśleć się... Kiedyś opowiem ci resztę.

— A więc jedziemy de Pizy.

— Ja myślę, że jeżeli ci to miłsze, pójdziemy sobie pieszo... Droga ta jest tak mroczystie piękną, że się ją nie godzi przebywać inaczej... Oddamy pakunki na dyliżans, a sami ruszymy jak dwaj wędrowni artyści.

— Dobrze, dziś wieczorem — rzekł Iwaś. — Mnie się coraz bardziej spieszy do kraju, tęsknica coraz gorętsza, jakieś przecucia wielkich wypadków, jakaś niecierpliwość pracy mnie ogarnia.

— Słuchaj! — zawołał Jakób — przyznaj się, wy spiskujecie?

— Tak jest i inaczej być nie może — odparł Iwaś. — Polska cała od lat przeszło stu spiskuje; zmusza ją ucisk do tego, na spiskowców hodzi pokolenia niewola, w postrachach, ciemnicy, w milczeniu i grozie. Tam, gdzie się życie rozwinąć nie może całą swą siłą, spiski są nieuchronne, to naturalny owoc despotyzmu, to nędza, która się rodzi za brudnym kołnierzem jego koszuli...

— Pojmuję to — odparł Jakób — ależ biada krajowi, który wszedł na tę drogę, zwątpił on już o sobie i uznał się bezsilnym. Rozumiem tylko jeden spisek, taki, jak był nasz, trwający parę tysięcy lat, ten, w którym my dożyliśmy epoki równouprawnienia i odrodzenia naszego; spisek nagromadzający siły, jednoczący w ciało silne i spójne. Wy i wasze spiski z gorączkowemi wybuchy, do niczego nie dojdziecie, prócz do coraz boleśniej-szego upadku.

— Nie mówmy o tem — zawołał Iwaś, marszcząc się — wy nie macie ani tego uczucia, co my, dla kraju, aniście doznali tego, co my cierpimy...

— Przepraszam cię — odezwał się Żyd — jeśli dla kogo, to dla nas kraj ten, co nam dał przytułek, w którym, mimo chwilowych prześladowań, urosliśmy liczbą i pracą, jest naszą drugą, przy-

braną ojczyzną. Jeśli nią nie jest jeszcze dla wszystkich, to być powinien i będzie. Ja się czuję przy najmniej zarówno Izraelitą, jak Polakiem.

— Tak, ale ludzi jak ty, bez pochlebstwa— chociaż od kilku dni dopiero się znamy, nie ma i nie może być wielu. Wogóle zarzucić wam można, że niebardzo przywiązaście się do tego kraju, w którym dosyć, jak na owe wieki, przeżyliście czas długi szczęśliwie i swobodnie, który was karmił, hodował, bogacił... i uznał za dzieci swoje.

— Powoli— odparł Jakób — rozpatrz się w historii bezstronnie; fanatyzm religijny, prawda, że wspólny nam z innymi narody i buta szlachecka... długo stały na przeszkodzie uznaniu Żydów za obywateli kraju. Winni też byli i Żydzi, że języka i obyczaju przyswoić sobie nie starali się, że się odosobniali, stanowiąc *status in statu*, naród w narodzie, że szczerze nie pracowali na obywatelstwo, które się poświęceniem i krwią zdobywa.

Winy są równe z obu stron i z obu stron szczerze przebaczenie i zapomnienie przeszłości wyjść powinno. Wiek inny, oświata rozpowszechniona, idee ludzkie, nam wspólne, wszystko nas teraz zbliżyć i przejednać się zmusza. Wyciągamy dłonie... nie odpychajcie ich...

— My! młode pokolenie! — zawołał Iwaś— mybyśmy mogli was odpychać? Możesz to przypuścić? Znajdą się przesady, wstręty, resztki starych, niedogodnych wyobrażeń, pozostałości dawnych wieków... ale ogół... szczerze wam dłoń wyciągnie.

Bądźcie braćmi, ale bądźcie nimi w duchu nie słowie, w czynie a nie pozorem tylko: bądźcie nimi nie tylko w chwili powodzenia, ale w pracy i boleści...

Jakób zamilkł, ale rękę wyciągnął.

— Na dzisiaj dosyć — rzekł — rozumiemy się i zgodzimy łatwo, my, młodzi. Moi rówieśnicy, młodzież izraelska, tak czuje i myśli, jak ja, ale jak u was, tak u nas, są uprzedzenia, są stare gniewy, są chowane przez wieki brzydkie zemsty pragnienia... są... ludzie. Bądźmy pobłażający, cierpliwi i nie dajmy się unieść namiętnościom, tchnącym nienawiścią... Miłość tylko godzi, łączy i jedna, o nią się starajmy, pracujmy na nią.

Ale o tem nieraz jeszcze — dodał Jakób — mówić nam przyjdzie, teraz w drogę!. Jedziemy, czy idziemy?

— Idziemy pieszo! Do Pizy!

- Zgoda!

— A zatem pakować!

W tejże chwili poczęły się przygotowania do podróży. Około południa, w strojach pieszych wędrowców, poszli pożegnać Lucią Colomi. Tu także znaleźli się od progu wśród kataklizmu tłumoków, pak i skrzynek; Moskał układał papiery i książki swoje, Włoszka kończyła rachunki.

- Do widzenia! — zawołano od progu.

- Do widzenia! na tym, lub na tamtym świecie.

Adio! adio!

W chwili, gdy się co najspieszniej cofali, aby nie stać się natrętnymi, piękna Włoszka skinęła na Iwasia i odciagnęła go na stronę.

— Wracasz więc pan do Warszawy — rzekła po cichu — pamiętaj pan, o com prosiła. spytaj tam o mnie... Ja może będę się tam potrzebowała widzieć z panem... Dziś mu nie mogę powiedzieć nic więcej. Lucia Colomi! zapamiętaj pan nazwisko! W teatrze wiedzieć o mnie powinni...

Iwaś spojrzał na nią dziwnie, badając.

— A towarzyszyć pani? — zapytał.

— Kto? Gromów?

— Tak jest.

— To dawny dobry moj przyjaciel — rzekła — ale nie wiem, czy w tej podróży będzie mi mógł towarzyszyć... To zależy... Wątpię... niema nic pewnego... A więc — dokończyła żywo przypominam panu, że nie ja jemu, ale pan mnie możesz być potrzebnym, rachuję więc na was... Niech to sercu jego będzie pobudką.

— Ale na cóż ja się komu przydać mogę! — zawołał Iwaś, ruszając ramionami.

— O! nie badajże mnie pan, proszę, to moja rzecz... do widzenia.

Podążyła mu ręką przez tłumok.

— Do widzenia.

Zszedłszy na placyk przed dwoma hotelami i wracając do Federa, otarli się prawie o Cygana, który, jak zwykle, paląc cygaro poziewał i przypatrywał się bardzo uważnie osłom, ogromne beczki dźwigającym do portu.

— No! cóż się tam z wami dzieje? — zapytał.

— Dziś jeszcze pieszo ruszamy do Pizy...

— Wychodzicie? pieszo?

— Tak jest.

— Zabawne dziwactwo, kiedy jechaćbyście mogli wygodnie. Ale dobrze to mieć choćby dziwactwa, ja już nie czuję się zdolnym... Gdyby jeszcze ta ładna Włoszka dała się namówić, a poszła ze mną na piechotę... no, to możebym się namyslił... ale nie... nie pójdzie! Moskał trzyma ją w niewoli.

— Żal mi jej — odezwał się z boku Francuz, którego z razu nie postrzegli — zrobiła bardzo zły wybór... Nie wiecie też, czy zostają? jadą? dokąd?

— Zdaje się, że jadą; dokąd? nie wiem do prawdy — rzekł Jakób.

— Nie wiecie? naprawdę?

— Nie wiem, zapewne po Włoszech...

— Podróż najoszczędniejsza — dodał Duńczyk sfrancuziały — może ją dla tego Moskał wybrał... Można ją odbywać, jakem się przekonał, nawet nie nie jedząc, tyle się napołyka pyłu na gościńcu. Ja także pojadę, ale chyba morzem, wolę już nudności okrętowe... niż niestrawność z napchania się gliną... Ale wprzód muszę piękną Colomi pożegnać, nie tracę nadziei, że ją na Moskału zdobędę... Trzeba zawsze szczęścia próbować.

— On to nazywa szczęściem! — zawołał Cygan, powoli szukając nowego cygara... — Śmieszny! nie wie, że takich Lucii we Włoszech, bez żadnego szczęścia, można dostać ile się podoba... na towarzyski podróży...

— Takich?—podchwycił Iwaś—to wątpię, tak miłych, dowcipnych i dobrych istot, jak mi się ona wydaje, niema nigdzie wiele...

— A! prawda! oblała was wodą!—rozśmiał się Cygan. —Zawsze to dowodzi istotnie serca niezgorszego... Innaby była krzyknęła ze strachu i zemdląła sama jeszcze — z gracyą... Co się tyczy dowcipu, na co w kobiecie dowcip? Żeby gryzła! Dość ma zębów i bez tego... Ale czekajcie no —rzekł do Jakóba—czekajcie, przyjmiecie mnie do towarzystwa, gdybym chciał pójść z wami? he? szczerze?

Młodzi ludzie spojrzeli po sobie w milczeniu—Cygan się uśmiechnął.

— Nie! nie!--rzekł—nie trzeba! Stamlo Gako za stary i za nudny! a przy tem gorąco! pył... nie! nie! pojedę dyliżansem... bywajcie zdrowi...

I odszedł.

— To lepiej! — rzekł Jakób — ciężkiegobyśmy byli dostali towarzysza...

Słońce się zniżało po nad morze, gdy dwaj nasi podróżni opuścili Federa i drogą ku Rutta powoli pociągnęli z miasta, przebywając willami nbrane wzgórza, ogrody i niecierpliwie wyglądając widoku morza, które się było na chwilę przed nimi schowało. Wkrótce też pokazało się ono wyglądzone, lekko kołyszac, jak szyba z opalu, cieniowana coraz odmiennych barw tysiācem.

Cudnie pięknemi są te okolice Genui — choć nieco puste — ze swemi cyprysami, pomarańczami, winnicami i spinającą się tem wybrzeżem skalistym

drogą, która co chwila inny, coraz bardziej malowniczy widok przedstawia.

W jesieni i na wiosnę, spotyka się tu roje turystów, przebiegających ten gościniec sławiony nie nadaremnie ze swej piękności, z pośpiechem, który im ledwie przelotne po sobie zostawia wrażenie. Rzadko kto o kiju, powolniej, mija, rozpatrując się baczniej, te czarowne brzegi, rozmyłowawszy się w ich wdziękach; a inaczej dobrze się z nimi poznać nie można.

Podróżni nasi nie spieszyli weale, wiedzieli, że dla nich dwóch znajdzie się wszędzie miejsce na spoczynek, jakieś Albrego lub Trattoria wiejska, ze swą izdebką na górze, z rybką i sałatą, z winem *del paese* mniej więcej znośnem i na wieczór lampką rzymską, przy której spocząć miło po całodziennem strudzeniu, ale pisać i czytać dość trudno. Świece jeszcze rzadko gdzie cywilizacya wprowadziła...

Zmęczonym po drodze łatwo było wszędzie dostać parę spokojnych osieków, na których grzbiecie można choćby zadrzemać, tak łagodnie noszą, przywykłe i ludzi, i delikatniejsze nad nich przewozić przedmioty.

Upał dnia już był zupełnie ustał, gdy podróżni nasi ujrzeli przed sobą piękne ogrody pomarańczowe, ubierające Nervi, stolicę wody pędzonej z kwiatów dla wszystkich spazmatycznych istot całej Europy. Rozmowa dotąd błąkała się po najróżniejszych zakątkach.

— Obiecałeś mi dalszy ciąg swej historii— rzekł Iwaś wreszcie — i jakkolwiek wyprzedziłeś chronologiczny jej porządek wczorajszym epizodem, choć dziśbym rad posłyszeć dopełnienie. Winienes mi zasztukowanie tej próżni, której sam nie potrafię odgadnąć.

— Z wielką chęcią—dopełnię reszty mojej spowiedzi — odpowiedział Jakób — nie mam tajemnic, a największą już wczoraj zmusiliście mnie wyjaśnić. Zdaje mi się, żeśmy się rozstali na szkole, w której ostatniej ławie, nękany przez towarzyszków, prześladowany parya, poczynałem uczyć się więcej życia, niż gramatyki.

— Tak jest...

— Historia tych lat jest raczej—mówił Jakób — dziejami umysłu mojego i serca, niż czem innym. Wypadków braknie, lub są wagi podejrzaney, bez wpływu istotnego na życie. Szkoła nie mogła mnie nauczyć wiele, ale otwierała do nauki wrota, ukazując przez nie niezmierzone jej obszary. Jako Żyd znałem dotąd tylko moją Biblię, w niej cały świat zamykał się dla mnie; teraz postrzegłem, że jako człowiek, muszę sobie przyswoić, co ludzkość zrobiła, zdobyła, nauczyła się przez wieki. Zachwiało to nieco z razu moją wiarę wyłączną w naród wybrany, ukazało mi go w odmiennem nieco świetle; musiałem spokornieć; ale z niepokojem w duszy, umysłem niezależniejszym, powróciłem znowu do Biblii i na powrót Żydem się stałem—tylko inaczej.

Pojąć ci mnie, jako Żyda, może być trudno—zatrzymuję się tu, abym ci wytłumaczył, że ta spo-

łeczność nasza izraelska tak długo w prześladowaniu jedna i spójna, dziś, gdy ono ustaje — dzieli się już na wiele różnych odłamów.

Żyd nie jest już dziś tem, czem był dawniej, gdy wyłączenie go zmuszało być tylko sobą, żyć, myśleć, uczyć się, obracać w ciasnem kole, zakreślonym mu prawami i obyczajami chrześcijan nieprzyjaznych... Z tego ściśniętego gronka wyrósł przypadkiem Majmonides jakiś lub Spinoza, ale ono po większej części składało się z jednolitej masy wiernych, ściśłych wyznawców Starego Zakonu. Tulił się około arki przymierza...

Dziś Żydzi swobodniejsi, mniej ucisnieni, różnemi idą drogami... wielu z nich rzuca swe prawo i wiarę, pozornie przyjmuje inną, w istocie nie ma żadnej... O tych naprzód mówić ci muszę.

Typem takiego Żyda był właśnie opiekun mój, ojciec Tildy, któremu winienem wszystko. Wychowany zagranicą, w społeczeństwie już zubożytniałem, stracił zawczasu poszanowanie tradycji naszych i wiary, zrzucił z siebie surową obrzędowość naszych powinności, a natomiast, nie zostawszy chrześcijaninem, stał się tym człowiekiem, któremu ci dał poznać: czyniącym z rachuby moralność życia, a z rozumu przewodnika, jedyne na drodze.

Nic smutniejszego, nad ludzi jemu podobnych. Bądźco bądź, człowiek nie jest wykształceniem zwierzęciem tylko; po za nim czuć inne światy, istoty i obszary ducha; oprócz ciała, ma w sobie duszę, którą się łączy z Bóstwem. bada, przeczuwa, wzlatuje wyżej nad ziemię i dalej nad zmysłowe

przestrzenie. Materyalizm i ateizm nie starczą ani społeczeństwu do życia, ani jednostce: oderwane przez nie od całości, są jak kwiaty, ścięte z łodygi, usychają. Odbierz im Boga, wiarę w niesmiertelność ducha, wyższe poczucia i pragnienia, a stworzysz, zwłaszcza przy wykwintnej cywilizacji materyjalnej — coś tak poczwarnego, jak jest przyzwoity, chłodny, umarły wiek dzisiejszy, który zwycięża żywioły, dochodzi tajemnic najskrytszych natury, a nie wie już, co jest złem, a co dobrem, określa cnotę i występki rozumem lub głupotą, niezręcznością tylko lub praktycznością. Miarą dlań jest powodzenie, bóstwem siła, a *vae victis* znowu się echem ogromnem rozlega po nad tą pustynią, którą przecinają koleje i przelatuje para...

Nic smutniejszego, powtarzam, nad tych ludzi, co zerwali z tradycją, ze wszelką wiarą przeszłości, z jej wspomnieniami, a rozumem idą po ścieżce interesu... do... życia i użycia. W społeczeństwie naszym i waszem postacie te nie są rzadkością, w obu one równie smutny przedstawiają fenomen.

Chrześcijanin, co się zaparł Chrystusa, Żyd, który się zaparł Mojżesza, jedną cuchną zgnilizną. Chodzące to trupy ci ludzie, których horyzont ogranicza się krótkim życiem, poświęconem jakiejś górującej w nich namiętności... Pozornie szczęśliwi, w duszy są najbiedniejsi. Nasyceni prędko, przesyleni wszystkiem, znudzeni, kończą apatją, głupotą lub szaleństwem.

Ale jeśli gdzie, to w mozaizmie, religii rozumu, jeżeli ją tak nazwać się godzi—odrzućwszy nawet to, co było jej łupiną, broniącą, by owoc uszczerbku nie doznał jest tyle, ile potrzeba człowiekowi, aby w sobie ducha przeżył.

Świat chrześcijański wziął z prawa mojżeszowego tak wiele, iż mu wyższości jego bez zaparcia samego siebie zaprzeczyć nie może. Pomimo to, składając na Talmud i rabbinów narosłe wiekami dziwactwa, które powierzchownie tylko sądzono, wysmiano wszystko w judaizmie, czego nie rozumiano, uczepiono się drobnostek, aby go wyszydzić i ohydzić.

W każdej literaturze jest coś niby rozświecającego naukę, niby wyjaśniającego obyczaj nasz, w istocie dowodzącego, że nie rozumiano obojga.

Śmiech jest łatwy, obrócono w śmiech co tylko chciano, nawet najcudniejszej poezji kwiaty, które w innych literaturach uszłyby za arcydzieła.

— Ja nic nie znam z tych waszych poezji — rzekł Iwaś.

— Czytałeś przecie ironiczne cytacje z Talmudu nieraz, których fantazje, na zimno rozbierając, znajdowano je tak niedorzeczniemi?

— Nie czytałem nic prawie.

— Byłżebyś ciekawy?—spytał Jakób.

— Bardzo.

— Wiele ustępów i podań umiem na pamięć—rzekł Żyd—weźmiemy na przykład legendy i opisy rajów.

— Najchętniej. Ręczę ci, że szyderskiego wcale nie mam usposobienia, a słucham z wielkiem zajęciem.

— Wierzę w siłę młodości twej—odpowiedział Jakób—ona cię broni od ironii i wyschnięcia. Słuchaj więc może najstarszych poematów o raju. W niejednem objawieniu średniowiecznem znajdziesz coś podobnego.

Wasz Dant spisał także tradycje chrześcijańskie i utkał w nich tę cudowną całość, którą ja, Żyd, podziwiam z wami zarówno.

Weźmy naprzykład opis raju z księgi Jalkut (7. a.).

„Dwoje olbrzymich wrót z dyamentu, których tysiące aniołów promiennych strzeże... prowadzą do Edenu...

„A gdy się ukaże sprawiedliwy, aniołowie występują przeciwko niemu i ściągają zeń szatę jego śmiertelną, a wkładają suknię, tkaną z najpowiewniejszego eteru i zdobią skroń jego koronami dwiema, jedną z kosztowniejszych kamieni, drugą z najczystszego złota, i kładą mu na ręce ośm gałęzi myrtowych, a lecą przed nim i śpiewają:

— „Wnijdź, o duszo szczęśliwa i pożywaj w pokoju chleb, na któryś zasłużyła.

„I towarzyszą mu stąd do miejsca drugiego, oblanego wody świeżemi, które tysiące róż i myrtów otacza.

„Każdy ze sprawiedliwych siedzi tu pod świętym baldachinem, przy którym płyną cztery strumienie: mleka, wina, wonności (korzeni) i miodu:

a po nad nim unosi się złota, kamieniami wysadzana, latorośl winna; a wewnątrz świeci stół cały od złota, a seciny aniołów otaczają go i śpiewa chwałę jego: — Używaj w pokoju miodu świętego prawa, któremu wiernym pozostałeś.

„Tu się spełnia i odnawia w nieustannych przemianach żywot sprawiedliwego, z jednego wieku w drugi; teraz przywdziewa on całą kwitnącą młodość i miesza się z młodzieżą w gmachach dla niej przeznaczonych; potem dojrzewający wiek obleka i idzie z dojrzałymi razem; nareszeie bierze na się surową i poważną starość i pociechy wieku sędziwego zażywa...

„Wzdłuż Edenu zielenią się miliony milionów drzew, z których najmniejsze kosztowniejszem jest, niż najdroższa roślina ziemi; w każdym kątku aniołów chóry śpiewają chwałę najśłodszemi głosy: a wpośród wznosi się drzewo żywota, szeroko rozpościerając ramiona... Owoce jego mają smak i zapach wszelkich owoców tysiąca...

„Nad niem wzlatuje siedm obłoków najczystszeo eteru, lekki powiew wiatru je porusza i woń jego szeroko roznosi...

„A w cieniu gałęzi siedzą mędreowie prawa świętego, każdy pod baldachiny dwiema, pod jednym z gwiazd, pod drugim ze słońce, a między niemi rozpościera się zasłona przejrzystego eteru.

„Innych rozkoszy Edenu nigdy duch ludzki pojąć nie jest zdolnym“.

— Posłuchaj jeszcze — mówił dalej Jakób — podań o raju (Pirke Eleasar) i legend hebrajskich, naj-

mniej znanych ze wszystkich może, a zajmujących, nawet dla was, gdy je ze średniowiecznymi porównać zechcecie.

Raj stworzony był przez Boga przed wieki wedle jednych, wedle drugich w dniu trzecim stworzenia, razem z drzewy i roślinami. Piekło go poprzedziło, bo stworzone zostało dnia drugiego. Niektórzy rabbinzi przypuszczają dwa raje: raj niebieski i raj ziemski. Rozmaitemi imionami w księgach starych mianuje się ten przybytek szczęścia, który, obrachowany na mile, dzieli się na różne części, jak w Dantem są też różne niebios, czyśćca i piekła sfery.

Różne też drogi, że stron wielu, wiodą do niego. Jedna z nich, główna, poczyną się z ziemi świętej, od Beth Szolan. W siedmiu przybytkach zamieszkują tu dusze błogosławionych.

W jednej z ksiąg naszych jest poetyczna legenda o śmierci pobożnego rabbi Josua, która ma związek z pojęciami o raju waszych religijnych wieszczów.

Gdy nadeszła godzina śmierci rabbi Josua ben Levi, Bóg wysłał doń anioła z rozkazem, by mu przed zgonem dozwolił spełnić, cokolwiek zapragnie. I przyszedł anioł do pobożnego, a rzekł mu: —Czas twojego zgonu nadszedł, ale ja tu zesłany, abym spełnił rozkazy twoje.— Rabbi odrzekł na to, że pragnie, aby mu miejsce, przeznaczone dlań w raju, ukazał. I poszli razem aż do opasania raju, a że rabbi lękał się wysłańca Bożego, ażeby odjąć obawę, anioł oddał mu miecz, który niósł w rękę.

Wstąpiwszy na mur z Josuą, anioł pokazał miejsce dlań przeznaczone, a pobożny, lękając się boleści zgonu, uskokczył przez mur, ażeby skonania uniknąć.

Anioł śmierci, który olbrzymem jest, pochwycił wszakże uciekającego za kraj szaty i chciał zmusić do powrotu, ale rabbi zaklął się na imię Boga tajemne, że nie powróci na ziemię.

Naówczas powstał aniołowie inni i skarżyli przed Bogiem na Josuę, iż przemocą odzierzał miejsce swe w raju. A Bóg rzekł:

— Jeśli mu dowiedziecie, że kiedykolwiek w życiu przysięgę naruszył, niech będzie powróconym; jeśli nie, zostanie w raju.

A gdy się nań nic nie znalazło, ben Levi w raju zostawion, miecz tylko anioła śmierci powrócić musiał, wiążąc go przysięgą, by się okrutnie w godzinie zgonu z ludźmi nie obchodził.

I szedł ben Levi, poprzedzon przez proroka Eliasza, wołającego:

— Czynicie miejsce synowi Levi.

Gdy się Malach hammowes (anioł śmierci) żalił na krzywdę swą przed pobożnym Rabbanem Gamaljelem, ten mu rzekł:

— Dobrze uczynił, ale powiedzcie mu ode mnie, aby raj cały przejrzał i piekło widział całe, a co ujrzy, doniósł mi. Szczególniej czy z obcych narodów są jacy w raju i czy synowie Izraela znajdują się w piekle?

Szedł tedy ben Levi obchodząc raj, a znalazł go podzielonym na siedm gmachów, z których ka-

żyły sto dwadzieścia tysięcy mił długi był i szeroki, Mury pierwszego były z kryształu, a belki z drzewa cedrowego; mieszkańcami jego nawróceni, a starszym nad nimi prorok Obadjah. Nie chciano wpuścić do gmachu Josue, ale prorok mu pozwolenie wyjednał.

W drugim gmachu mury były ze srebra, a belki z cedrowego drzewa: mieszkali w nim ci, co pokutę uczynili, a wodzem ich był król Manasse. W trzecim przybytku, ze srebra i złota, znalazł rabbi patryarchów: Abrahama, Izaaka i Jakóba, ze wszystkimi Izraelitami, którzy wyszli z Egiptu i w ciągu czteroletniej podróży umarli. Tu byli także: Dawid, Salomon i wszyscy inni królowie z rodu Judy, oprócz Manasse. i synowie Dawidowi, z wyjątkiem Absalona. Wodzami ich byli: Mojżesz i Aaron. Tu rabbi znalazł, zdziwiony, między syny Dawidowymi, Gilcaba. Pałace te, pełne były najwspanialszych naczyń od złota i srebra, drogich kamieni, wonności, olejów i balsamów.

Komnaty zastawione były sprzętami pysznemi, oświecone świecznikami ze złota, pereł i drogich kamieni. Spytał rabbi króla Dawida, dla kogo to wszystko zgotowaniem było i otrzymał odpowiedź:

— Dla dzieci człowieczych.

— Czy do nich liczą się i synowie Ezawa? — spytał ben Levi.

— Nie — odrzekł Dawid. — Bóg cnotliwych z między nich nagradza na ziemi, ale w tym świecie idą do otchłani. Izraelici zaś, nawet grzeszni, gdy za grzechy swe odpokutowali, stają się dzie-

dzicami tych wspaniałości, albowiem mówi Mojżesz, iż Bog z przed oblicza Swego zmiecie tych, co Go nie miłowali.

W czwartym gmachu znalazł Josue całkiem sprawiedliwych, którzy nigdy nie grzeszyli. Rabbi nie opisuje pałaców, ani przywodzi imion tych, których tu zastał, woła tylko:

— I było tu tak pięknie, jako piękne wydawały się stopy Adama, świecące naksztalt dwóch słońc.

Belki komnat były z drzewa oliwnego, oznaczając, iż życie sprawiedliwych na ziemi goryczą, przepełnione jest, jako drzewo oliwne.

Mieszkańców w części tej było niewielu.

Piąty gmach był z najczystszej złota, kryształem, srebrem i dyamentami sadzony, a woń jego z najdroższych balsamów Libanu, a posadzki z najkosztowniejszych kobierców, ze złota, srebra i purpury tkanych, które Ewa z aniołami przędła i szyła. Tu mieszkali tylko dwaj: Messyas, syn Dawidów i prorok Elias. Tu znajdował się osobny przybytek Afiryon, z drzewa cedrów Libanu zbudowany, wyłożony kamieniem drogim, w którym Messyas w odosobnieniu opłakiwał dni niewoli Izraela, a Elias pocieszał go, głowę jego podnosząc z ziemi i składając na swem łonie.

Tu przychodzili doń w poniedziałki, czwartki, sabbat i piątek—Mojżesz, Aaron, Dawid. Salomon i królowie pokoleń obu, pocieszając i łagodząc boleść jego. We środę przybywali: Korah, Dathan

i Abiram z Absalonem, nalegając i pytając:—Kiedy wszystkiemu koniec będzie? kiedy powstaną z grobów umarli?—A Messyas odpędzał ich słowy przykremi.

— Nie jestże to poemat wschodni? Nie czujeszże w tem pracującej wyobraźni znękanego narodu, który buduje za światem gmachy złote, aby w nich roił szczęście, z którego został wydziedziczony na ziemi?—mówił Jakób dalej.

W tem wszystkim jest niezmierna boleść i wiara potężna, oczekująca wieki na godzinę odkupienia Izraela. Ludzie płosili naśmiewali się z tych marzeń, ale zarówno śmiaćby się można i z Danta, rozmierzającego swe piekło i niebiosy.

Piekło ksiąg talmudycznych jest koniecznem dopełnieniem tego obrazu. W pojęciach o niem, znajduje się wiele wspólnych, bo jednoczesnych z chrześcijańskimi. Wedle księgi Niszmass Chajm, dzieli je od raju przestrzeń nader małą, niektórzy mówią, ściana tylko cienka, jak w świecie cnotę od upadku przedziela często jedna chwila. Z piekła, jak z raju, wypływa rzeka... ale tu jest gorąca, gdy rajska jest chłodna.

Troje wrót wiodą do piekła, jedno od morza, drugie od pustyni, trzecie z zamieszkałego świata.

Pięcioro rodzajów ogni ma piekło: wszystko pożerający, pochłaniający, niszczący, niepożerający i niechłonnący, i ogień, który sam ogień pożera.. Piekło jest sześćdziesiąt razy większe niż ziemia. Tu stoją pałace rządzących krajem podziemnym, a jest ich trzech, pod wodzą głównego, którego

imie jest Dumah. Posługaczami ich niezliczona moc skorpionów i węzów. Tu, w komnatach zamknięci, cierpią ci, którzy księgi święte obracali w szyderstwo, pogardzali duchownymi, źle obchodzili się z ludźmi i nie modlili się w świątyni.

Krzyk i wrzask męczących i męczonych unosi się nad gmachami. Dwaj szatani: Gimgums i Tas-surinia, zbierają po świecie: jeden mowy próżne, które ludzie wiodą za życia; drugi, rozbitych naczyń skorupy, które ludzie tłuką w gniewie. Rabbi Simon wymienia jeszcze trzeciego szatana, imieniem Szazaris, który sam, lub przez posługaczów swych, ludzi do grzechu kusi.

Wódz szatanów, Dumah, mieszka ze swymi podwładnymi w tej części piekieł, która się zowie Bor, ma tu budowania różne. W jednym z nich, Szaches, płonie wielki ogień, a mimo to, panuje ciemność i nieczystość. Tu wiedzie wrót troje: w jednych z nich stoi szatan Arszerija i z milionami posługaczów ich pilnuje; u drugich Tuskifa, a obok niego Kos Hattarelah z puharem, w którym jest napój gorzki; tego anioł śmierci używa dla ludzi na zgon przeznaczonych. U trzecich wrót stoi Sannagdiel. Każdy prawie rodzaj grzeszników w osobnem kole, pod dozorem szatana, jak w piekle Danta.

W drugim obwodzie piekieł, który się zowie Dumah, jak sam wódz, ciemniej jest jeszcze. Wiedzie do niego wrót czworo, a każdymi inni wchodzi grzesznicy; Talmud zowie po imieniu szatanów, dozorców każdego okręgu i ich zajęcia opisuje.

Óstatni z nich jest Sachsicha, siejący niezgodę. Tu mieszczą się rabbiini dumni, fałszni wykładowcy pisma, lichwiarze, kłamcy, ci, co się śmieją czasu modlitwy, ci, co nie odpowiadają: amen.

W okręgu Tit hajovem (który odpowiada dantejskiemu, opisanemu w końcu XVIII pieśni „Piekle”) zamknęci są ci, co zgrzeszyli przeciw wierze: tu męczą krzywoprzysięców, i tych, co biednymi i ubogimi gardzą, i sędziów niesprawiedliwych.

W okręgu Szeol jedno jest wnijscie tylko i jeden strażnik Ebah, który ludzi do wojen i walk kusi, podwładni jego są podżegaczami boju i męzobójstwa; tu zamknęci są zdrajcy, i ci, co w zmarłychwstanie nie wierzą.

W Zel woves znowu jest wrót czworo i wielka liczba szatanów złośliwych, którzy wiodą ludzi do najdzikszych zbrodni i okrucieństw.

Naostatek w Erez Tachlin, najgłębszem piekle, z którego niema wybawienia, dręczeni są ci, których grzechy żadną męczarnią okupione być nie mogą. Czworo wrót, zwróconych na cztery świata strony, wiodą do tego okręgu. Tu zamknęci są ci, co nie tylko upadli sami, ale drugich do upadku wiedli; ci, o których mówi Izajasz prorok, że robak ich nie umiera, a ogień nie gaśnie... Ci płoną trojakim ogniem: czerwonym, zielonym i niebieskim, a studzą się lodem i śniegiem, by znowu byli paleni i gotowani. Tu ściekają wszelkie brudy i nieczystości z całych piekieł i jad owego węża starego, który Ewę kusił w raju. Tu w trzechset kryjówkach zamknęci są obcych narodów królowie

i panujący, którym losu ulżono za to, że nie prześladowali Izraela. Ci, choć w piekle są, nie cierpią bólesci żadnych i promień święty nawet im przyświeca. Inni po trzykroć są męczenni na każdy dzień przez anioła. aż dopóki wiary Izraela nie wyznają.

Ten sam Josua ben Levi, poeta, który opisał niebo, dał też obraz piekieł i jego męczarni, ale mogłże co innego wymyśleć nad to, co w średnich wiekach powtarzało się wszędzie o piekielnych otchłaniach?

Rozszerzyłem się nad tem — rzekł Jakób — abym ci dowiódł, że niema nic śmiesznego w tych widziadłach rozgorączkowanej wyobraźni, chyba dla ludzi płochych; nauka o niebie, o piekle, o zmartwychwstaniu, o czyszceniu, o pokucie za grzechy, dziwnie się zbliża do chrześcijańskiej.

Podobieństw tych znajdzie się bardzo wiele uderzających: charakter nauki, nawet jej zblakania, nie nam tylko są właściwe, chociaż na nich także piętno swe wycisnęła długa niewola.

Czuć ją wszędzie — w wierze, podaniach, obrzędach, w życiu' naszym całym. Dlatego nie godzi się nam wyrzucać wielu obłędów, które są raczej jej dziełem, niż naszym: męczeństwo tysiącoletnie odbić się musiało we wszystkim, czego dosięgło.

W tym zbiorze talmudycznym, tak wysmiewanym i pogardzanym, nawet przez wielu płochych Izraelitów, są rzeczy wielkie i głębokie, obok niezrozumiałych i śmiesznych; są pełne znaczenia, przy pozornie niedorzecznych. Jest to stos szczątków,

w którym jednak, z pochodnią rozumu idący badacz, kłemuoty zbiera i skarby. Dla ogólnych dziejów umysłu ludzkiego, Talmud, prawie nietknięty dotąd, dostarczyłby obfitego materiału. Po większej części są to rozmowy duchownych, ich spory i zdania w rzeczach wiary, legendy, powieści, opisy z różnego czasu, językiem nawet różne, wedle epoki, z której pochodzą,—z Jeruzalem, z Pumbeditha, Naharda, Sura, Lud i Aleksandryi. Silono się, aby z tego materiałów ogromu jedną, spójną i całą systematyczną wyciągnąć naukę; dokonał próby szczęśliwie Majmonides, chociaż księga jego szanowna nie przez wszystkich uznana i przyjęta została.

Umysł czysty i zdrowy ze wszelkiego pokarmu czerpać umie zdrowie i siły, gdy dla ślepych, a płochych ludzi, niema nic, czego by nie wyśmieli, czemby, nie rozumiejąc, nie wzgardzili. Czysta nauka mojąszowa, w której tkwi Bóg jeden, nieśmiertelny, wszechmocny,—duszy wiekuistość, życie pozaswiatowe, niezłomność prawa Bożego w życiu, w cnotcie i występku mieszczącego nasiona nagrody i kary i braterstwo ludzi wszystkich... wykwita z tego podścieliska i gruzów wiekowych widomie, dla poświęconych, czystych oczu człowieka nieuprzedzonego...

Pomiędzy nami, jak pomiędzy wami — mówił dalej Jakób — są ludzie wszelakiej natury i charakterów; ci, którzy potrzebują wiary i czują prawa moralne, i tacy, co w zaślepieniu i pysze, w nic wierzyć nie chcą; ci, co w religii czyste oddzielają dla siebie na pokarm ziarno i fanatycy krótkowidzący,

co się wiąza do litery, nie mogąc odkryć w niej ducha...

Spółeczność nasza rozdzieloną jest więc teraz, bardziej niż kiedykolwiek, na różne ludzi rodzaje, na Żydów, takich, jakimi ich ucisk i niewola uczyniły, ślepych Talmudu zwolników, czczących rabbi Ekibę, Eliezera i Jozuę na równi z samym Mojżeszem... (są to starzy Żydzi): i na tych, co Żydami będąc, są nimi *jak ja*—dodał Jakób czerpią w mojżeszowych księgach czystą naukę Starego Zakonu, szanując narodowe tradycje; w ostatku na liczny szereg tych Żydów z imienia, co żadnej wiary nie mają... dzieci wieku.

Filozofia i racjonalizm XIX wieku liczbę ostatnich niezmiernie pomnożyły; można powiedzieć, że większość społeczeństwa naszej żadnej nie wyznaje wiary, prócz ateizmu i pozytywizmu, nie starczego człowiekowi.

Nie mówię naostatek o tych, co pozornie przyjęli chrześcijaństwo, bo nimi pogardzam; ani o tych, co apostazją okupili sobie wygodniejszy byt i swobodniejsze stanowisko w świecie.

Rozumiem ja nawrócenie, jako światło z góry; szanuję tych, co dla prawdy poczutej głęboko, uznanej szczerze, poświęcili narodowość, rodzinę, tradycje, wszystkie węzły, łączące ich z dawnym swoim światem... skłaniam głowę przed nimi, ale nie mam imienia dla frymarczących wiarą,—zarówno Żydów i chrześcijan... Niżej już upaść nie można, jak sprzedając swojego Boga za kawałek chleba...

Wyższe społeczeństwo ukształcone europejsko-izraelskie, składa się przeważnie z Żydów, którzy imieniem tylko są już nimi; zbyt chłodni racjonalści, aby chrześcijaństwo przyjąć mogli, zbyt rozumni, by im starczyło to, wedle nich, zbutwiałe prawo mojżeszowe, dla barbarzyńskiego utworzone narodu, są ciekawą próbką ludzi, nie mających zasad żadnych, prócz tych, które stawia dobrze zrozumiany interes. Przy największej ogładzie, nauce, świetle pozornem, społeczność ta jest jak lód zimna i martwa. Zapiera się ona tradycyi wszelkich, nie ma przeszłości, wstyd jej tego żydowstwa, którem inni się chlubią; nie widzi nic nadal, życie dla niej odarte jest ze wszystkiego, co stanowi jego poezję, opromienienie, uczucie; ogranicza się zwierzęcemi funkcjami, przyzwocie ponazywanemi i zaspokajaniem rozumnie. Można sobie wyobrazić, czem jest człowiek w takiej społeczności dla drugiego człowieka?—tylko narzędziem.

Interes i rachuba rządzi wszystkim, a co dla obojga jest zerem, pozostaje nicością w sferze moralnych obowiązków. Odpada więc połowa świata, jako całkiem dla tych ludzi obojętna.

Pojmujesz z tego, czem dla nich jest naprzykład... kobieta, i czem się staje niewiasta w takim społeczeństwie. Nie śmie ona, ani potrafi być Izraelitką Starego Zakonu, niewiastą pierwszych wieków; ani talmudyczną umiłowaną służebnicą, ani uidealizowaną istotą, jaką ją stworzyło chrześcijaństwo—będzie ładną lalką, którą się ludzie ba-

wią, odrzucają, lekceważą, nasycają płochą namiętność lub próżność.

W tych zobojętniałych ludziach bez wiary, odmalowałem ci ojca Tildy i jego rodzinę. Był to człowiek uczciwy, przez dobrze zrozumiany interes własny,—ale nie miłujący cnoty, zimny, a cielesnie namiętny, inteligencji potężnej, a nie chcący widzieć, że są rzeczy, które się ani obrachować nie dają, ani dotknąć... a przecież istnieją i tworzą niewidzialną sieć, oplatającą życie.

Ja, przez moje wychowanie, żydowskie na-przód, potem europejskie i ludzkie, stałem się innym, nowem czemś dla siebie i nowem dla moich współbraci: jestem Żydem szanującym tradycję, a nie przesądnym; w głębi serca zachowałem uczucie i wiarę, jako najdroższy skarb, ale nie odpychając światła rozumu i prawa postępu, nie wyłączając się z ogółu ludzkości. Godzi się to we mnie i daje mi spokój duszy zupełny.

Gdy, skończywszy nauki, powołany zostałem przez ojca Tildy, opiekuna mojego, do Warszawy, nie miałem jeszcze wyobrażenia najmniejszego o stanie naszego społeczeństwa. Na wsi spotykałem tylko dwa Żydów rodzaje: starych, a wiernych prawu aż do najmniejszych jego drobnostek i niezrozumiałych dziś, lub zabobonnych przepisów — i tych, którzy tylko krwią byli braćmi naszymi, a nie obyczajem i duchem.

Przyznaję się, że z ciekawością wielką zbliżałem się do stolicy Królestwa, niespokojny o przyszłość moją, nie mając najmniejszego wyobrażenia

tego świata, w który wniść miałem. Żydzi na prowincjach żyli i żyją całkiem jeszcze oddzieleni od chrześcijan, tu spotkać ich miałem po raz pierwszy, jeśli nie z prawa, to z obyczaju wieku zlanych i połączonych z chrześcijanami. Pierwszych dni po przybyciu mojem, wyznaje, nie jeszcze z tego, co mnie otaczało, zrozumieć nie mogłem. Spotykałem Żydów, którzy już Żydami nie byli; innych, co się milczkiem zapierali pochodzenia, które stało wypisane na ich czole... niektórych ponuro milczących, niezrozumiałych... większość prawie ukrywającą się z wiarą swoją, choć jeszcze jej wierną.. Wido-
cznem było na pierwszy rzut oka, że się tu zażarta toczyła walka... Liczba, znaczenie, pieniądz, wykształcenie Izraelitów, stawily ich już na stanowisku takim, że się praw i uznania swego obywatelstwa domagać musieli. Stara szlachta, piastownie tradycyi narodowej, źle zrozumianej, grzecznie, szydersko, zimno, nieznacznie odtrącali tych, których zawsze jeszcze liczyli za przybyszów. W obu obozach nienawiść rosła i niechęć. położenie było niejasne, fałszywe; choć stosunki codzienne zbliżały, choć potrzeby łączyły, choć interes chwilowo przejednywał—wspomnienia, przesady, wiara, dzieliły jeszcze. Tego, com tu znalazł, w co wpadłem, na wsi nawet domyslać się nie było podobna; w przeciągu kilku dni uczułem, że bądźco bądź, w duchu wieku i sprawiedliwości, zwycięstwo być musi po naszej stronie. Opór nietylko był daremny, ale spieszny i nielogiczny. Ci, co w nim trwali, sami widzieli, że nie wytrwają.

Ojciec Tildy miał prawo pochlubić się swym wychowawcą, wprowadził mnie więc w towarzystwo swoje; miałem oprócz tego licznych krewnych w stolicy, w parę więc dni po przybyciu mojem, mnóstwo już porobiłem różnorodnych znajomości.

Zdumiewałem się na każdym kroku, że nie powiem – gorszyłem: niemal wszędzie i u wszystkich Żydów znalazłem jedno uczucie, niepojęte dla mnie, jakiś osobliwszy wstyd swojego pochodzenia, milczące lub głośnie nawet zapieranie się żydostwa.

Po domach bogatszych Izraelitów nie było śladu dawnej wiary i tradycyi, stroje dziadowskie znikły, obrzędy nie były zachowywane, ukrywano się z sobotą; obok tego, Żydzi ostrzejszej regoły i Żydzi ochrzczeni, Żydzi nie mający żadnego wyznania, lub należący nominalnie tylko do jakiejś gminy religijnej składali osobliwszą mozaikę. Żyło to w zgodzie niewytłumaczonej, chyba całkowitym sceptycyzmem i indferentyzmem. W głębi jednak tej mieszaniny wrzał jakiś niepokój, fermentowały zarody walki, oznajmujące, żeśmy przyszli do sił, które ją czyniły możebną.

Znalazłem stolicę przepełnioną współbraćmi moimi, nawet tam, gdzie ani nazwiska, ani wyznanie przypuszczać ich nie dozwalały:—spotykałem się z nimi na każdym kroku, ale wobec nich, już nieco nauczony doświadczeniem, musiałem być milczącym, co chwila uderzając się o zdania i wyobrażenia rażące mnie, z którymi przejednać się nie mogłem. Szanując opiekuna mojego, znajdowałem w nim pierwszym najboleśniejście dla mnie zjawi-

sko; nie mogłem go kochać, ani się doń przywiązać.

Musiałbym ci przedstawić wybitniejsze typy tej społeczności, aby ci ją dać poznać;—ogólnikami ona określić się nie daje. Wogóle to, na co patrzyłem, raziło mnie i zasmucało; yliśmy w widocznym postępie, na drodze do potęgi, do uznania, ale już nie sobą; rozbici, zapierający się siebie, rozproszeni, osłabli: a co gorzej—i dla kraju dość obojętni, i do związku szczerego z nim nie gotowi. W objawach patryotyzmu więcej było rachuby niż uczucia, ostentacyi niż miłości, pychy niż zrozumienia obowiązków. Prawie przestaliśmy być Żydami, a nie umieliśmy Polakami zostać, co było obowiązkiem:—w niepewności, na rozdrożu, szliśmy bez jasnego określenia powinności, celu, środków.

W młodzieży rozwijało się uczucie, u starych królował interes, niedowierzający, bojaźliwy, rachujący na półśrodki, na zręcznostki, na wypotrzebowanie słabości ludzi i słabości chwili... Oburzałem się w duchu, nie dostrzegając w nas tego szlachetnego popędu, jaki w starym narodzie kapłanów prawdy widzieć pragnąłem. Alem zapomniał, że ucisk i niewola uczyniły Lewitów wykrętnymi spekulantami, dla ocalenia głowy i spokoju. Nie myśmь tu byli najwinniejsi!

Chwilami zdawało mi się, że jabym to wszystko dziwne, nieprzejednane, bojujące, potrafił pogodzić, idąc prostą, szczerą, jasną drogą, ale na to trzeba było prostych, szczerych, jasnych ludzi... Tych mieliśmy mało!

Smutno to było!

Westchnął Jakób, kończąc swoje opowiadanie, a ciemny wieczór zmusił ich już zatrzymać się właśnie przed gospodą, która się nastroczyła.

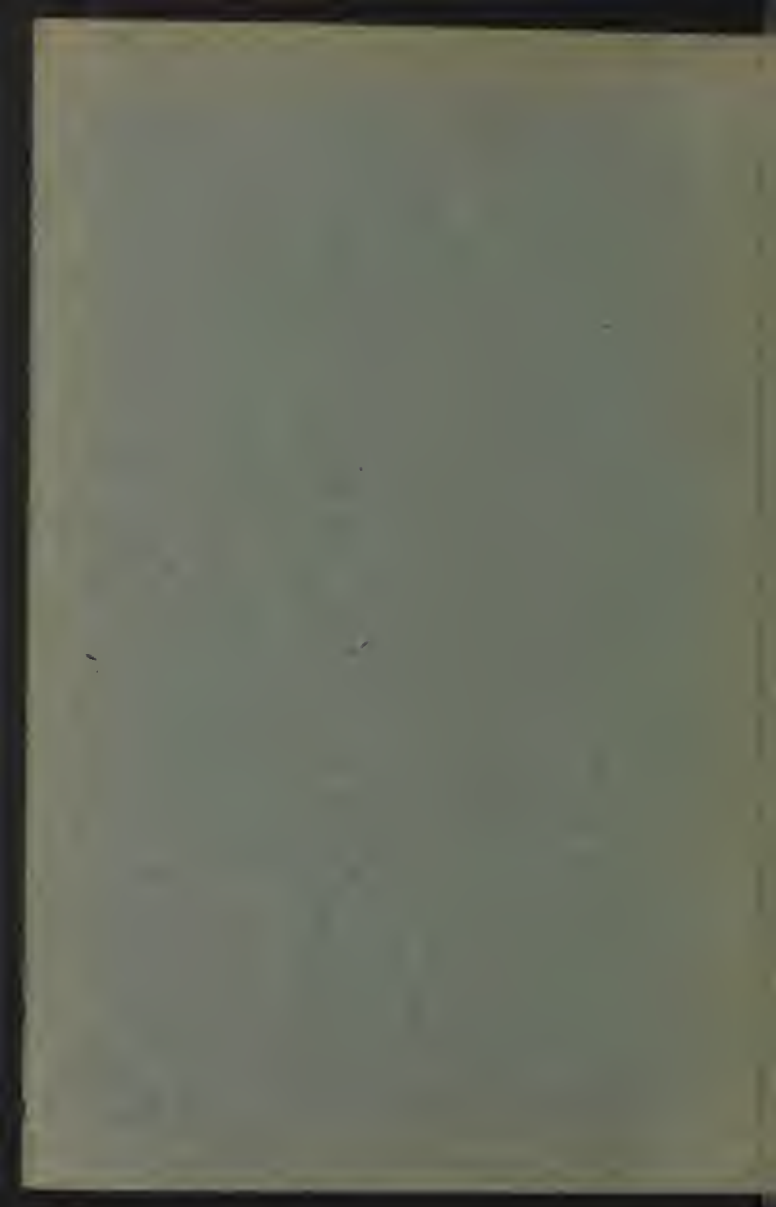
Był to domek mały, murowany, u samego brzegu morza, na złomie skały wzniesiony. Znak gospody, starym obyczajem wywieszony (wiecha), oznajmiał, że to było *Albergo di tre corone*. Przed szeroką, sklepioną bramą, w której głębi widać było nałożone ognisko, stał wóz o dwóch kołach i kilku ludzi w wypłowiałych kurtkach, pozarzucanych na ramiona, w starych czapkach marynarskich. Kobieta z dziećciem u piersi siedziała pod murem zamysłona, dziewczę, na pół nagie, leżało u nóg jej uśpione. Fala niebieska o kilka kroków płukała wybrzeże, po nad którem zwieszały się winne lato-rośle, dziko porozrzucane aleosy i sucha, pokręcona konwulsyjnie figa.

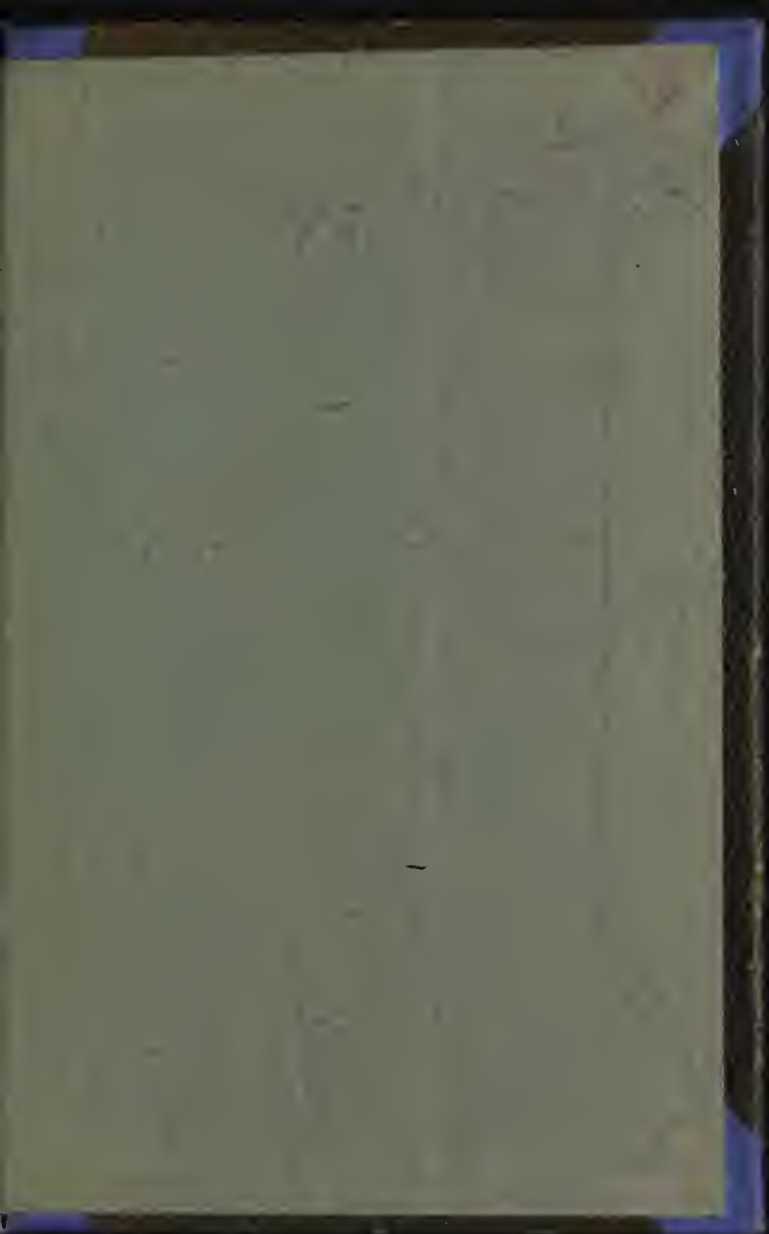
Podróżni nasi rzucili swe małe tłumoczki u drzwi i kazawszy przygotować sobie wieczerzę, poszli oddychać u brzegu, na kamieniach, tem powietrzem morskiem, które samo karmi i orzeźwia. U nóg ich, w popłątanych krzewach, latały *luciole* świecące, a na ciemniejących niebiosach, podobne im, wytryskały gwiazdki jasne.

Cisza uroczysta wieczora... modlitwa ziemi znużonej— i im zamknęła usta.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.







Biblioteka Raczyńskich

JIK **475**



JIK0475